

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXIV.

POEZJE

ZYGMUNTA

KRASIŃSKIEGO.

TOM DRUGI.





LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1883.

SPIS RZECZY.

Et cuncta terrarum subacta. —
LUCANUS.

. . . . Aestant ingens
Uno in corde pudor mixtoque insania luctu,
Et Furiis agitatus amor et conscia virtus.
AENEIDOS. Lib. X.

Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje — Bogi i ludzie szaleją.

A jako Jowisz pan na niebie, tak Rzym pan na ziemi kona i szaleje. — Fatum jedno spokojne, niewzruszone, rozum nieubłagany świata, patrzy z wysoka na wiry ziemi i nieba.

Wśród zamętu wznoszę pieśń, która mi gwałtem z piersi się dobywa. — Niechaj duch zniszczenia ku pomocy mi będzie. — Niech moje natchnienie kręci się i toczy się, rozlega na wsze strony jako piorun burzy, która grzmi teraz nad wiekami przeszłości i wszelkie życie strąca do otchłani — a potem niech umiera jak on po dokonaniu dzieła. — Tam nowy świat na wschodzie! Ale mnie już nic do niego.

Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? — Gdzie patrycjusze twoi z nożem ofiarnym i włócznią w ręku, z sercem pełnem tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemięzcy plebejanów, okróciciele Włoch i Kartagi? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na wschody Kapitolu?

Gdzie mówce twoi, panowie duszy tysiąców, stojący po nad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? — Gdzie żołnierze legjonów bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów? — Wszyscy zniknęli jedni po drugich — przeszłość ich zagarnęła i jak matka tuli do łona. — Nikt ich nie wydrze przeszłości.

Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, nie piękne jak pół-bogi, ni silne jak olbrzymy tytańskich czasów; ale dziwaczne, migające złotem, wiankami na czole, z puharami w dłoni; a wśród kwiecia sztylety, a wśród biesiady trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty — niby to życie bez

granic wśród pieśni i jęków, ryku hyen i nawoływań gladjatorów. — Śmiech z takiej wiosny umajonej krwią i woniami spiekłych kadzideł! — Śmiech z takiego życia! — Ono przejściem tylko, ono nic nie utworzy, nic nie zostawi po sobie, prócz krzyków kilku i sławy marnego skonania!

Motłoch i Cezar — oto jest Rzym cały! —

Izydo matko wiadomości i milczenia, stopy twoje zbryzgane pianą morza, okryte pyłem długiej podróży, obca mowa brzmi na około ciebie — i stoisz na forum romanum i dotąd się rozpatrzyć nie możesz, kędy sama jesteś, kędy brzegi Nilu.

Z pagórków Armenji, z nizin Chaldei, Mitra też pan młodości i śmierci ciągnie ku Rzymowi i już stanął w lochach Kapitolu i nożem ofiarnym potrząsa wśród głuchej nocy nad trupami ofiar.

W portykach greckich, w słodkim cieniu korynckich filarów barbarzyńskim chodem stąpa syn północy — stanie czasami i na toporze wsparty szuka błękitnemi oczyma, czy gdzie nie spotka Odyna, Boga ludów swoich.

Odyn Cymbrycki dotąd się nie zjawił — żal mu borów sosnowych i śnieżnej pościeli i szarego nieba i chorów Walhalli. — Ale chwil kilka jeszcze — i on puści się na pielgrzymkę do Rzymu!

Naprzód Bogi i ludzie. — Drogi wasze się pokrzyżują od wschodu na zachód, od północy na południe. Miejsca dla was nie będzie. — Idźcie wiec i kołujcie, błądźcie i wracajcie potem.

Tak zwykle przed śmiercią bywa.

Naprzód Bogi i ludzie — szalejcie do woli — ostatni to szał, ostatnia to gonitwa wasza — a Fatum z was się urąga, krzyż godłem swoim wzięło i wy wszyscy wcześniej czy później padniecie przed krzyżem.

Z tego świata co się żżyma i kona wycisnę myśl jedną jeszcze — w niej będzie miłość moja, choć ona jest córą szaleństwa i zwiastunką zguby!

Naprzód w szał, naprzód w tan Bogi i ludzie w około myśli mojej — bądźcie muzyką, co przyśpiewuje jej marzeniom — burzą, pośród której ona się przedziera jak błyskawica — bo imię jej nadam, postać nadam, i choć poczęta w Rzymie,

dzień w którym Rzym zginie, nie będzie jej ostatnim. Ona trwa, dopóki ziemia i ziemskie narody — ale za to w niebie dla niej miejsca nie ma!

Gdzież jesteś synu zemsty — w jakiej ziemi leżą zwłoki twoje. — Duch twój pomiędzy jakiemi duchami? —

Ze świata gruzów wywołałem cienie umarłych — w nocy na forum stanął senat przedemną — schylone widma, obarczone pamięcią podłości i między nimi nie było ciebie!

Gladjator powstał z lochów cyrku i szedł na czele swoich przy świetle księżyca — przebici wszyscy — usta sine powtarzały w śnie śmierci: «Morituri te salutant Caesar.» — Ale pomiędzy nimi nie odkryłem ciebie.

Na palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów, panów świata dla mnie wzruszyły się prochy — płynęli przedemną — djadema krwią zlutowane trzymało się ich czoła — każdy na czole niżej miał znak potępienia — purpura na ich barkach powiewała, a z za niej świeciły gwiazdy przez otwory wydarte sztyletami zabójców — ale i tam nie ujrzałem ciebie.

Męczenników Chrystusa słyszałem śpiewy i modły. — Dźwięki te wzlatywały z katakomb i szły prosto ku niebu — był tam głos jeden niewieści, smutniejszy, piękniejszy nad inne — znany tobie kiedyś, ale teraz sam jeden nie związany z twoim.

Gdzież jesteś synu zemsty, synu pieśni mojej! Już czas zmartwychwstać, by deptać po zwłokach olbrzyma — pamiętasz — przysiągłeś. — Wyrzekłeś się wiary, nadziei, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zanurzyć się tam, gdzie miljony. — —

Godzina dobija — bo kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym bluszczem i ludem. — Powstań — chodź — wzywam cię. — Ja i straszniejsza potęga jeszcze, od której cię wybawić nie zdołam, ale imię twoje oderwę od ciała twego i ono na zgubę pójdzie wraz z tobą!

Z dala odemnie! — nie dla was te dzikie manowce — w kampanij rzymskiej zostańcie u stóp Appeninów towarzysze

moi. — Ja pójdę — ja go raz jeszcze chcę ujrzeć przed zgonem, przed śmiercią na wieki.

W tej jaskini leżącej wśród mroków przepaści, on na marmurowem łożu rozciągnięty, bez oddechu, bez sennych poruszeń, bez żadnego marzenia, czeka na przebudzenie — obiecane — straszne i na dzień sądu bliższy dla niego, niż dla reszty świata!

Starożytne pruchna świecą na około jak oczy sfinksów — wąż z łuską promienistą śpi od wieków przy stopach jego — rysy zasępione, spalone gorączką, sen tak długi chłodu po nich rozlać nie potrafił.

Kształty jego ciała podobne do kształtów greckiego posągu i takich już dzisiaj nie ma na tej ziemi — nogi białe jak marmur paryjski w czarnych koturach, złożone na czarnej pościeli. — Ztąd i zowąd, pod niemi, nad niemi, mchy i bluszcze się wiją.

Tunika biała na piersiach spoczywa — odłamek lampy w dłoni i miecz rdzą stoczony u boku spoczywa — a druga ręka opuszczona, martwa i palce jej skurczone, jak gdyby zasnął w rozpaczy.

On cały zawieszony leży między snem a śmiercią — między ostatnią myślą, którą pomyślał przed wiekami, a tą, która niedługo w nim się obudzi — między potępieniem całego życia, a potępieniem wieczności.

Nim powstaniesz opowiem twe dzieje.

W Chersonesie Cymbrów, w ziemi srebrnej potoków, ojciec twój niegdyś stąpał brat za brat z królami morza, choć przybył z odległych stron, choć cudzą miał grecką mowę i twarz greckiego pół-boga.

Ale polubiły go niewiasty i męże, bo powieściami długie słodził noce, a we dnie pierwszy do walk i biesiady. Manowce szarego oceanu bitą drogą mu były — w połysku gwiazd niebieskich wyczytywał pogody i burze — najcięższą włócznią przerzucał najwyższe maszty i za wichrami goniąc, spokojne miał czoło.

Na lądzie róg jego dzwonił po dolinach i skałach. — Niedźwiedź nigdy mu się nie potrafi odciąć — a kiedy wrócił z łowów lub rozbicia, kładł się na mech, na paprocie, i spełniając gęste puhary, opowiadał gonitwy, zapasy, rozboje.

Na dalekich wodach dom jego nabijany kością słoniową i złotem — sługi niewolniki stojąc na progu pod lasem filarów, patrzą na morze, zasiane wyspami błyszczącemi jak gwiazdy i wyzierają jego powrotu — ale on się nie spieszy, bo polubił dźwięk trąb konchowych i śpiew kapłanek Odyna — bo młodość swoją puścił na błędy i zmienne losy, by później dokonać wielkiego zamiaru — i puhar podnosi do ust i pije zdrowie króla mężów, starego Sigurda. —

«Grimhildo, córo Sigurda, lud mój od wieków nosi kajdany i jęczy — wraz z ludem moim sto innych ludów po wszystkich brzegach mórz południowych usiadło na zwirze i płacze.

«Żeby ich wyzwolić, trzeba mi twojej piersi natchnionej! Ja sam rodem jestem niewolnik, ale duchem mściciel — wrogi moje silne jak tytany — żeby ich podkopać i obalić, trzeba mi twojej piersi natchnionej! Dziewico poświęcona Odynowi, ty wejdziesz w progi moje, ty będziesz towarzyszką moich trudów, i dzieci nasze kończyć będą dzieło moje — a ono się przeciągnie w późne wieki wieków!»

Tu ojciec twój — umilkł i stopniami ogarniał ją potęgą wzroku i milczenia swego. — Ona stojąc na skale, spoziera na szarą nieskończoność morza; z rozpuszczonym włosem, z zamglonemi oczyma, bezsilna, szalona miłością. — Już Odyna pawęż jej nie zasłoni, porzuci stopy ołtarza i pójdzie z obcym na dalekie brzegi.

«Hermesie, dawniej wojowniki nasze nie śmieli spojrzeć na czoło moje. — Tyś się zjawił jak bohater zstępujący z Walhalli, tyś rzekł: Grimhildo — i patrz, ja muszę być niewolnicą twoją.—

«Nie znam ojczyzny twojej, wrogów twoich nie znam; kraj, do którego mnie ciągniesz, nigdy we śnie nawet nie ukazał się przedemną, ale pójdę, nieszczęśliwa — zhańbiona pośród dziewic — przeklęta gniewem Odyna — tylko pozwól raz jeszcze mi zasiąść na świętym głazie i odśpiewać pieśń ostatnią!»

Amfiloch Hermes szedł za dziewicą na pokładach mchu, na warstwach granitu, przez święte bory szronem obwisłe, wśród ryku wodospadów. Sosny tłumem cisnęły się wszędzie; z ich

tłumu czasem szkielet dębu się wydostanie uwieńczon jemiołą. — Wyżej niebo gorzkie, ołowiane — po bokach tysiąc manowców krąży i woła za sobą na puszcze — ale Dziewica zna ścieżki wiodące do Boga, z którym idzie żegnać się na wieki.

Wodzowie hord, panowie gruntów, królowie morza, majtki ich i towarzysze stoją w półkolu przed posągiem Odyna i czekają na kapłankę. — Jeden tylko Sygurd z pokolenia Bogów, król wszystkich, usiadł na pniu ściętej sosny i ogromną dłonią zakrył czoło — pierś jego nadyma się pod pancerzem z łusk rybich — ale milczy i wszyscy za nim milczą — słychać tylko szum morza bijącego o skały za borem.

Grimhilda przeszła pośród nich z oczyma wlepionemi w posąg Odyna, ku któremu stąpała w groźnej powadze. — A cudzoziemiec pozostał z tyłu, wśród orszaku swoich, z założonemi rękoma na korynckiej zbroi, oparty o drzewo.

Pod wstępującem sklepieniem jaskini, na głazie tajemnicami zapisanym, usiadła i zdała się marzyć. — Bóg północnych plemion stoi nad nią, broda jego i włosy skrzepłe lodem, przypruszone śniegiem, oczy szklanne, rażące, w olbrzymiej dłoni maczuga, krwią ofiar zbroczona, a w piersi głęboka rana, którą zadał sobie, kiedy dopełniwszy ziemskiego wcielenia zażądał wrócić do biesiad Walhalli.

Sen jej trwał długo i teraz powoli z niego się budzi, zwolna podnosi ramiona, mówi jeszcze tłumionym głosem: «Znam cię panie wśród bohaterów twoich. — Duch twój czarnym strumieniem zbliża się do łona mego — huczy w koło mnie jak potok, co rozrywa głazy. — Ja tam, gdzie wiry twoje. — Ja tam, gdzie wszechmoceność gniewu twego — siła twoja moją — słuchajcie mnie wszyscy.»

Odrzuciła nagle powieki z ponad pałających źrenic — ręce wyrwała ku tłumowi i ręce jej drżały jak w chwili konania — w głosie jej były dźwięki zarwane z mowy bohaterów, co wstąpili na chmury i teraz wśród burzy przelatując, wołają na dzieci swoje:

Po co biegniecie dniem i nocą bracia. — Syny ludu mego, kto was pędzi z tyłu. — Kto wam kazał porzucić ziemię srebrną potoków?

Olbrzymy przykute podnieśli się z śniegów, na których

leżeć mają aż do końca świata, podnieśli się na pół i bijąc łańcuchami o szczyty z lodu, w nozdrza chwytają zapach krwi z oddali. —

Czy słyszycie, jak młot Thora w pył druzgoce hełmy i puklerze, czaszki i piersi ludzkie? — Śmiech karłów rozlega się w przestrzeni — włócznia Horgiebrudy zawieszona nad ziemią całą!

Kto wam podoła, o potomki moje? — Coraz dalej pędzicie ku miastu wielkiemu. — Tam czeka na was biesiada — puhary pienią się pełne krwi nieprzyjaciół. — Każdemu z was przygotywane jest miejsce. — Zasiądźcie w chwale, syny moje! —

Głos jej upadł nagle i w szmer się zamienił — oczy szukają czegoś w świecie widzeń, który się przed nią roztacza — usta wysilają się na słowo jakieś. — To słowo powstaje, rośnie w głębinach jej duszy, jak wąż ucieka, kryje się znowu — ona darmo za niem goni, cała blada, nieszczęśliwa, mdlejąca. — Jeszcze chwila — może go wyrwie z łona, bo wzrok jej płonie, twarz nowym zajaśniała szałem:

Miasto, miasto na siedmiu wzgórzach pali się pożarem — kruszce drogie, przejrzyste kamienie, topią się i płyną. — Ciała topią się na krew i płyną. — Zamek wielki i Bóg wielki na nim runął! — na pomoc Odynie — umrę jeśli nie wypowiem tajemnicy twojej — imię jego — kto mi powie imię jego?

I opadła głowa matki twojej i zawarły się jej usta — król dotąd trzyma dłoń na twarzy, ani razu nie spojrzał na córkę i wszyscy stoją niewzruszeni, bo nikt nie śmie przystąpić do świętego głazu. —

A więc Bóg twój oniemiał i ty z nim umilkłaś na wieki — po nad twojemi ustami cisza grobowa — na czole twojem lodowatość śmierci. — Ale ten, który ci inną ojczyznę obiecał, nie opuści ciebie — ruszył się z pod cieniów dębu i sam natchniony stąpa ku tobie. — Krzyk oburzenia powstał w tłumie, królowie morza włóczniami uderzyli w puklerze. — Siwe Skałda wyrzekli przekleństwo. — Ale on już przeszedł straszną zagrodę, już nachyla się nad Tobą, podaje ci rękę i rzecze:

Przez imię Roma, imię wrogów moich i twoich wołam cię do życia, powstań Grimhildo! — I odwrócił się i krzyknął trzy: Roma — obudzona podniosła się, powtórzyła raz

jeszcze słowo tajemnicze, powtórzyła głosem pożegnania cichym i niewieścim, i poszła za cudzoziemcem jak żona za mężem. —

Teraz ojciec twój senny młodzieńcze, stoi na pokładzie i z uśmiechem niedowiarstwa, w ocean pełne wylewa kielichy na cześć Possejdona, potem ku majtkom się odwraca i mówi: — Silniej żagle, dzielniej wiosła trzymajcie, a Bóg Trójzęba wnet uśmierzy te fale. —

Pod ich stopami drży każda belka, jak ciało niewiasty — u widnokręgu ciemności warstwami się pokłady — z ich łona płyną bałwany, zbierając się w kłęby, to rozpuszczając się w nurty, jak niegdyś wąż Piton, nim legł pod strzałami słońca — naprzemian pękają tonie i spajają się białemi pianami — naprzemian w szumie wiatrów głuche oddechy i przeraźliwe jęki.

Pod duchem wspartym stękającemi słupami usiadł Hermes na furach wywiezionych z Chersonesu Cymbrów, i spokojnym głosem tłumaczył dziewicy świat, do którego się zbliżała — opisywał jej wyspę o winnicach i gajach w pobliżu wielkiego lądu — on tam ma swoich oraczy i kupców, dom i okręty swoje. — Tam skarbce jego pełne kosztowności i broni — i ta broń zda się kiedyś! bo w tamtych stronach ród ludzki nie hasa pod wodzą bohaterów — ale ujrzmiony, hańbę swoją ubiera w złoto, marmury, jedwabie, i liże stopy miasta wznoszącego się na między-morzu.

To miasto niegdyś w obliczu świata stało się Bogiem kłamstwa i ucisku — pod jego tchnieniem śmiertelnem brat powstał na braci, syn na ojca, zdrajca na ojczyznę, i jako czas nie zużyte, ono pożarło wszystkich królów ziemi! Tu pogoda zeszła z czoła ojca twego i stał się podobnym do burzy, która statkiem miotła.

Hellada moja niegdyś była duszą narodów — pieśni jej były paniami świata. — Barbarzyńców zuchwałych, co przyszli od wschodu, odpędziła szczękiem szabel i dźwiękiem strun swoich.

Ogień niebieski wydarty Bogom, jej tylko jednej, jej tylko dostał się w udziale — nieszczęśliwa zaufała miastu przeklętemu. — Dzicz między-morza spłynęła do jej wysp szczęśliwych, do jej mirtowych nadbrzeżów. — Nie zdobyli jej bronią, ale rozdzielili jadem pochlebstwa, upoili nektarem obietnic! —

W tej chwili rozejdą się chmury — wiatr je rozpruł na zachodzie i kilka gwiazd zamignęło. — Hermes raz tylko rzucił okiem i kiedy znów tonęły w wyziewach, krzyknął do sternika: na prawo, całą noc na prawo, a o tej samej porze jutro przepłyniem Gadesu cieśninę! — I dalej tuląc ją do łona rozpowiada o przodku Filopomenie, przedostatnim z ludzi, którzy walczyli przeciw miastu podlącemu — po nim raz jeszcze król barbarzyniec wyszedł w pole i przegrywał lat trzydzieści, aż legł własną ręką przebity — od dnia tego nikt już trzeci się nie zdarzył na obronę ziemi!

Chwilą milczenia, chwilą rozpamiętywania uczcił pamięć wielkiego Mitrydata, potem wrócił do smutnej powieści — ona słucha z niewzruszonemi, pałającemi oczyma. — Grimhildo, Bóg twój dał ci zgadnąć natchnieniem to, co sam wydobywałem nieraz pracą nienawiści, domysłem nadziei, z nocy przyszłych wieków — cieszmy się królewska córko — bo miasto nieprawości po zabiciu wszystkich żyjących i wolnych, rozpoczęło teraz samobójstwo swoje!

Skarby wyssane z całej ziemi już im wkrótce nie wystarczą — nie długo oręż z ich rąk się wysunie — wśród rzezi i festynów dobijają im ostatnie chwile. — O żono moja, śmiej się z tych fal i wichrów, bo my tu nie zginiem, my będziem częścią wielkiego zniszczenia!

Po tych słowach głos bohatera przybrał jeszcze bardziej gorzkie i szyderskie dźwięki — wspomniał o Bogach Hellady potężnych kiedyś, którym dzisiaj już rzadko kto wierzy: — Wyrocznie ich oniemiały oddawna, ale posągi stoją dotąd, bo świat stary odzwyczaić się nie może od nałogów młodości — wszystkie Bogi ziemie objawiły się w mieście przekleństwa. — Jedne piękne, podobne nieśmiertelnym, do greckiego dłuta — inne potworne, wyrosłe na piaskach pustyni, po szczytach gór dalekich — ale on wie, że jest tylko Bóg jeden, który przed wiekami położył dłonie na wirach chaosu i zwyciężył go na wieki.

Imię jego, zapyta kapłanka Odyna?

Przeznaczenie — i poszedł ku sterowi łodzi, bo podwajała się burza.

Czy pamiętasz wyspę Chiarę na której wzrośliście ty i siostra twoja boska Elsione? — Czy pamiętasz wyprawy ojca, kiedy na maszty zarzucał żagle nie trójkątne greckie, ale barbarzyńskie podłużne; sam w dackim kołpaku, z toporem Cymbrów w dłoni, z zatoki wymykał się nocą i puszczał na manowce archipelagu?

Wszystkie myśli Jugurthy i Mitrydata odżywały w jego duszy — ku dzikim plemionom latały nieustannie chęci jego i duch. — To gdzie błota meockie, gdzie pustynie i wiatronogie rumaki, to gdzie Syrty w głębiach Afryki i jadem zaprawione strzały, błąkał się na przemian, szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu — dłonie królów dzikich ściskając, ucząc się ich mowy, broń ich zatykając na piersi swojej, sypiąc im dary i rozżarzając ich chucie obietnicą roskoszy i łupów.

Wtedy matce twojej bolesno schodziły dnie i nocy. Ale niewolnik żaden, obcy żaden, nie wyczytał cierpienia z jej rysów; usta jej nie drżały kiedy rozkazywała.

Czasem tylko wziąwszy was oboje za ręce, wiodła przez długie portyki w głąb pałacu. Tam w framudze nabijanej mchem i konchami stał wojownik z głazu.

Dzikość nieśmiertelna marszczy mu skronie — w ręce trzyma czaszkę zabitego wroga; a u stóp jego bryły lodu wykute z paryjskiego marmuru.

Przed nim schyla głowę matka twoja i duma nad ubiegłą Ojczyzną: — Irydionie mój, Sygurdzie mój, ty ziemi srebrnej nie zobaczysz nigdy, ni dziada twego, króla mężów. — Patrz — Patrz — oto Bóg mój święty — natchnienie moje straszne, to Pan Walhalli, niezwalczony Odyn. — I córkę przyciskając do piersi: — Gdzie ojciec Elsinoe, mów gdzie Hermes w tej chwili; — słyszę wiatrów szumy i fal żałobne jęki. — Okręt jego pośród wód nieskończonych, nachylony, odarty z żaglów, lub może na bezbożne wyrzucony brzegi. Ale nie — on zwycięży burzę, on odejmie się dzikim, i wróci do nas z chwałą pół-boga.

A kiedy róg przybywającego odezwał się od morza, kiedy bliżej zagrzmiał wśród gajów cytrynowych, kiedy nocną rosą obwisły, spiekły słońcem i dżdżami sczerniony, rzucał się Hermes w objęcia żony i oko jego czarne, namiętne, blaskiem nadziei pałało — wtedy znów bywały dni pogodne i szczęśliwe

na Chiarze; zapominała kapłanka o gorzkich przeczuciach, a wy biegałyście swobodnie, roskosznie, po trawnikach wśród kwiatów, po nadbrzeżach wśród muszli, po salach marmurowych wśród trójnogów i kadzideł, odpoczywając na łonie matki, na ojca kolanach; a on co wieczór błogosławiąc wasze głowy do snu pochylone: — Pamiętajcie, powtarzał, nienawidzić Romy. Dorósłszy, niech każden z was ściga Ją przekleństwem swojem — Ty żelazem i ogniem — Ty natchnieniem i niewiasty zdradą. —

Czasem też do Chiary prokonsul lub pretor, lub wyzwoleniec jaki Cezara przybywali w goście — wtedy Hermes kazał zastawić długie łoża i stoły. — Lesbijskie wino płynęło strugami, brzmiały głosy niewolnic, niewolników lutnie pieśniami starego Homera. — Anakreonta, Anakreonta, wołali Rzymianie. — Wtedy z szyderskim uśmiechem ojciec twój skinąwszy na śpiewaków, Rzymianom pełniejsze nalewał kielichy, świeże rozdawał wieńce; a kiedy wpadli w szum i żarty, znienacka mówił o dziejach przeszłości, o chwale państwa, wspomniał z Kartagą przewalczone boje, wycięte Varusa Legjony i Hiszpańskie Sertorjusza bunty — i pił zdrowie Imperatora aż puhar pękał w palcach jego!

Już zbliża się trzynasta rocznica dnia, w którym kapłanka opuściła bogów. — Głos jej dziczeje, kiedy woła na dzieci swoje — wzrok jej dziczeje, kiedy je tuli do łona — wspomina ojca siostry, wodzów ludu, i na pół przerywane słowo pożegnania z ust jej wypada. — Przed jednym Hermesem upokarza się jej obłąkanie. — Czego ci nie dostaje Grimhildo moja, królewska córo? — Czy słyszałeś o zemście duchów nieśmiertelnych — na czas tylko ja byłam twoją; u krańców ziemi leży wyspa okuta lodami — góra na niej buhająca płomieniem. — Tam przykuty olbrzym śmierci już ramię wyciągnął, już nachyla dłoń ku otchłani by rzucić kłębek śnieżny życia mego. —

Hermes dłoń rozciąga nad jej skroniami. — Cień jego rąk, gdyby strumień pokoju spada na jej czoło, wlewa się do duszy: — Patrz na to niebo gorejące, na to morze iskier — gdzie chmury twej północy i nieużyte bogi twoje — gwiazda Amfilocha cię broni — ona cię nie wyda złym duchom. — Ale i jemu ciężar jakiś serce przyciskać zaczyna.

Jakiż to krzyk uderzył o wnętrzne sklepienia i rozbił się aż na filarach portyku? — Spieszą niewolnicy w głębie pałacowe do komnaty pana. — Tam na porfirowem łożu rozciągnięta kapłanka, a wódz grecki stoi u wezgłowia z pochyloną głową i depce czarę na której brzegach ostatnie krople się sączą. — Oni spuścili oczy, słuchają, czekają, a kiedy się odwrócił zadrżeli wszyscy — bo pierwszy raz w życiu boleść wyższa nad siły rysy mu kaziła — odwrócił się — wskazał by mu syna przyprowadzić i córkę.

— Grimhildo! teraz ja twego pana wyzywam. — Tam gdzie wśród bohaterów krew pije na najwyższym tronie pałacu swego, tam niechaj dojdzie przekleństwo Amfilocha Greka. — O żono! nie opuszczaj mnie — daremno — daremno — kilka kropel tylko zostało — cały puhar trucizny wrze w piersiach twoich, o Grimhildo moja! —

Podniosła się i bladą była jak posąg na sarkofagu: — Widziałam go po trzykroć w nocy — szedł z Walhalli podobny do czarnego oceanu i wołał na mnie: o kapłanko moja. —

— Nad śpiącym Irydionem, nad śpiącą Elsinoe zawiesił ramiona ciężkim odziane żelazem i groził im w potędze swojej — przeklinał ich życie ziemskie, jeśli nie pójdę do niego. —

— Na czas tylko byłam twoją. — Tam pod jego stopami leży nóż ofiarniczy i zasłona czarna, wieniec pogrzebny kapłanek. — Ty go łożysz przy mnie, ty mi ją rzucisz na skronie po śmierci. —

I schodzi ku niemu po stopniach z marmuru — kibić wyniosła podana naprzód, śnieżne ręce wyciągnięte, drżące jak gdyby cienie śmierci rozgarnąć chciała, a fałdy szaty białej wloką się za jej stopami. — Zeszła, na mężu się oparła — on ją opasał ramieniem i ku przybytkowi stąpać zaczynają. — On idzie krok za krokiem, walczy z nieznaną, zatrzymał się i wzrok cisnął ku niebu jakim Prometeusz ze skały, Laokoon z nadbrzeżów morza, wyrzucał bogom nędze tej ziemi; ale do jęków się nie zniża, milczy i znów idzie dalej. — Przeznaczenie ich oboje porywa za sobą.

Wzrok jej zlał się wtedy ostatni raz na głowę twoją Irydjonie — u stóp Odyna żegnała cię imieniem dziadowskiem: — Sygurdzie, bądź mi kiedyś postrachem dumnych — Elsinoe, duch mój będzie zawżdy z tobą — pamiętajcie o ziemi potoków i o Bogu moim — — O dzieci moje, ja dla was umieram —! Usta jej zbielały — sine cienie łamią się po twarzy i naprzemian to woła, to odpiera was od zatrutego łona.

Nagle myśl jej porzuci przytomnych i wraca w inne strony i czasy. — Tam ojciec duma stary — tam ją królowie morza przeklinają — wyciągnęła rękę — umierając, prorokować będzie: — Bracia moi do boju — na siedmiu wzgórzach namioty wasze — na szczycie Kapitolu biesiada wasza — a tam nisko w dole zgrzyta i płacze w łańcuchy spętana, Roma, Roma, Roma! —

I upadła przed Bogiem swoim. — Amfiloch podniósł ją w objęcia — chciała ramieniem obwiązać mu szyję — opadło ramię. — Sama na wznak się chyli, włosy jej zlewają się na dół coraz niżej i niżej, aż z Jego rąk drętwiejących na marmur stoczyło się ciało.

Przykląkł i czarną zasłonę, wieniec pogrzebny kapłanek złożył na Jej czole — potem wstaje w dzikiem obłąkaniu i woła: — Gdzie topór z Chersonezu Cymbrów niewolniki? — Podali mu go drżące niewolniki — on go wziął, ścisnął i zbierając wszystkie siły śmiertelne przeciw nieśmiertelnym, stąpa ku posągowi. — Żelazo podniósł, trzy razy błyskawicę ważył po nad głową, a za czwartym razem obalił Boga, wroga swego, i zdeptał w milczeniu rozpaczy!

Taki ród twój, taka przeszłość twoja potomku Filopomena, wnuku króla mężów, senny Irydionie! — A teraz Ojciec twój porzucił dom przodków na Chiarze i z urną Grimhildy płynie ku Rzymowi. — On stracił tę którą kochał — osiądzie więc pośród wrogów i przynajmniej pełnem sercem nienawidzieć będzie, a dzień przepowiedziany, dzień zniszczenia, nadciągnie tymczasem!

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Sala w pałacu Irydiona w Rzymie. — Z obu stron rzędy kolumn ginące w głębi — pośrodku fontanna i kadzidła palące się w trójnogach. — Irydion pod posągiem ojca swego. — Niewolniki zapalają światła w lampach z alabastru.

I. NIEWOLNIK.

Syn Amfilocha oparł głowę o nogi umarłego —

II. NIEWOLNIK.

O zimne stopy z marmuru, i zasnął —

III. NIEWOLNIK.

A tymczasem w Gineceum siostra jego, pani nasza, mdleje i płacze.

IV. NIEWOLNIK.

Przez Polluksa, słyszałem z ust pewnych, że porwą ją dziś wieczorem murzyny Heliogabala.

I. NIEWOLNIK.

Pokój jemu — wychodźmy bracia, wychodźmy —

(Przechodzą.)

IRYDION.

Przesunęli się jak cienie szanując spokój ducha mojego. — O ojcze, dla nich i dla wszystkich dotąd we śnie leżę — ty jeden wiesz, że ja czuwam (wstaje i idzie do tarczy bronzowej, na której puginał zawieszony). Zmierzch zapada, godzina już bliska. — Oni przyjdą zaraz — w podaną godzinę stary Brutus musiał własnych synów zabijać — (uderza o tarczę) Elsinoe — Elsinoe! —

Ot! idzie ku mnie jak widmo nieszczęścia — wieniec cyprysowy włożyła na skronie — matka jej niegdyś tak stąpała pod gniewem Odyna.

ELSINOE (wchodząc).

Czy już przybyli służalcy, czy już zaszedł rydwan przeklętego!

IRYDION.

Nie jeszcze — ale chciałem raz ostatni cię natchnąć duchem ojca mego.

ELSINOE.

O bracie —!

IRYDION.

Wiesz sama że Cezar nalega w szale — że senat przezwał cię już boską i posągi twoje stawiać rozkazał po świątyniach miasta — wiesz sama żeś nie siostra moja, żeś ty nie jasnowłosa Elsinoe, nadzieja domu rodzinnego, pieszczota serca mego. — Tyś ofiarą naznaczoną za cierpienia wielu i za hańbę ojców twoich!

ELSINOE.

Tak — uczyliście mnie tego od dzieciństwa i gotowa jestem. — Ale jeszcze nie dzisiaj, nie jutro — trochę później, aż sił nabiorę, aż nasłucham się nauk Masinissy i rozkazów twoich — aż do dna puhar waszej trucizny wypiję! —

IRYDION.

Wybrana, gotuj się do losów twoich. — Spieszno nam po drodze na której stąpamy.

ELSINOE.

Przypomnij sobie, kiedyśmy igrali na trawnikach Chiary, jam cię tak kochała, o bracie, jam zawsze skronie twoje różami wieńczyła i mirtem. — Oh! zmiłuj się nademną! —

IRYDION.

Niewiasto, ty mnie kusisz do litości — daremno, daremno!

ELSINOE.

Na co próśb i żalów tyle. — Zdarzało się za dawnych czasów, że można było śmiercią odkupić się ludziom i Bogom — patrz — tam błyszczy twój sztylet Irydionie — przyśpieszmy sobie nicość Irydionie!

IRYDION.

Bluźnisz myślom ojca mego. — Trza żyć i cierpieć, by wielki Duch Amfilocha rozradował się pośród cieniów. — O siostro, dawniej dla zbawienia narodów dosyć było życia jednego

człowieka — dziś inne czasy — dziś cześć poświęcić trzeba! (Obejmuje ją ramieniem.) Dziś w róże się uwieńczysz, w uśmiechy się wystroisz — o biedna, złóż tu głowę skazaną — ostatni raz w domu ojcowskim brat cię przyciśka do łona. — Żegnaj mi w całej urodzie świeżości dziewiczej — już ja ciebie nie ujrzę młodą — nigdy, nigdy już. — On cię przepsuje tchnieniem zatrutem, on — ale on zginie. — Czy ty rozumiesz siostro, on, on zginie wraz z całem państwem swojem!

ELSINOE.

Teraz na twojej piersi o bracie, a za chwil kilka na czyjej?

IRYDION.

Te filary drżą na podstawach swoich, plamy jakieś czarne biegają między niemi. — Bogi, nie dajcie mi upaść u wejścia do areny. — Masinisso przybywaj. —

GŁOS Z ZA FILARÓW.

Kto się waha, ten urodził się do słów nie do czynów. — Śmiechem go witać i śmiechem go żegnać będę (wchodzi Masinissa). Posłanniki Cezara już idą ku twojemu pałacowi. —

IRYDION.

Ty, na którego czole napisane słowo — potęga! — Ty, co stoisz nad grobem tak wyniosły jak za dni twojej młodości, natchnij mnie siłą w tej wyrocznej chwili!

MASINISSA.

Gdzie dziewice wybrane — gdzie wieniec z kwiatów dla oblubienicy Cezara? (zrzuca cyprysy z głowy Elsinoi.) Dziś zaczyna się dzieło nasze!

(Z głębi sali wchodzą służebnice z drogimi szaty.)

CHÓR SŁUŻEBNIC.

Jaką była Afrodyta wstając z błękitnego Oceanu, pośród tęcz piany morskiej, pośród woni Zefirów, taką ty będziesz. Niesiemy ci róże, kadzidła i perły!

IRYDION.

Weź jej ramię starcze (prowadzi siostrę pod posąg Amfilocha). Słuchaj mnie niewiasto jak gdybym umierał, jak gdybyś już głosu mego nigdy usłyszeć nie miała.

Wejdziesz w progi nienawistne, będziesz żyła wśród przeklętych, ciało twoje oddasz synowi sprosności — ale duch

niech czystym i wolnym zostanie; osłoń go tajemnicą, uczyń go niedostępnym jako niegdyś był przybytek, w którym matka nasza prorokowała!

ELSINOE.

Biada, biada sierocie!

IRYDION.

Nie daj nigdy Cezarowi zasnąć na piersi twojej — niechaj wszędzie słyszy Pretorianów wołających do broni, Patryciuszów knujących spiski, lud cały walący do bram pałacowych a to czynić będziesz powoli, dniem po dniu, kroplą po kropli, aż go szałem otoczysz i wyssiesz całe życie z serca jego. — Teraz powstań — zbliż głowę (kładzie ręce na jej włosach) — poczęta w pragnieniu zemsty, wzrosła w nadziei zemsty, przeznaczona niesławie i zagubie, poświęcam cię Bogom, Manom, Amfilocha Greka!

ELSINOE.

Głosy Erebu odzywają się zewsząd — o matko moja!

CHÓR NIEWIAST (otaczając ją).

Czemu drżą członki twoje pod śnieżną zasłoną, pod wstęgami z purpury, któremi obwiązujem ci piersi? — Czemu bledniesz pod wieńcem, który splotłyśmy dla ozdoby czoła twojego?

IRYDION.

Patrz — mdleje nieszczęśliwa!

MASINISSA.

Nie — ona żyć zaczyna jako żyć jej trzeba. — Czy widzisz jak te usta spienione pracują?

ELSINOE.

Rzucam próg ojcowski, Bogów domowych nie wynoszę z sobą, wieniec mój święty, nieskażony, cisnęłam między popioły rodzinnego ogniska. — Ojciec mnie skazał, brat mnie skazał. — O ja nie wrócę nigdy, ja idę na męki i długą żałobę

Matko! do Odyna w prośby za córą twoją. — Spiesz się matko — nie proś o długie życie. — Natchnienia, tylko natchnienia! Dzieci śmiertelnych pierś moja nigdy nie wyda, ale przyszłość poczynać się będzie w mem łonie!

Roma zaufa miłości mojej. — Roma zaśnie w objęciach moich!

(Eutychian wchodzi na czele Etiopów niosących dary.)

EUTYCHIAN.

Trzy razy święty, po trzykroć fortunny, Imperator, Cezar i August i Kapłan najwyższy i Trybun i Konsul, przysyła synowi Amfilocha pozdrowienie, a boskiej siostrze Jego sto konch purpurowych, sto kubków ametystowych. —

ELSINOE.

Natchnienia, natchnienia wśród męczarni!

IRYDION.

Stało się — (chwyta ją za ramię i prowadzi do Eutychiana). Masz jasnowłosą.

EUTYCHIAN.

Rydwan z kości słoniowej czeka na córę szczęścia! —

IRYDION.

Pięćdziesięciu Gladiatorów moich daruję Cezarowi — ona lubiła patrzeć na ich gonitwy. — Idźcie — oni pośpieszą za wami —

(Uderza w tarczę — orszak niewiast i Etiopów wychodzi z Elsinoą.)

CHÓR GLADIATORÓW (w głębi).

Czy natrzeć na zwierza, czy wroga obalić, czy twoją siostrę obronić?

(Wchodzą.)

IRYDION.

Bracia Grecy i Barbarzyńcy, wykupieni przezemnie z paszczy ludu Rzymskiego! — bądźcie mi wiernymi aż do dnia łupów!

CHÓR GLADIATORÓW.

Dopóki nie ugrzęzną ciała nasze w mule z krwi i piasku, sprężyste, nagie, gibkie ciała nasze!

IRYDION.

Słyszycie jeszcze ich kroki i głosy — ślady za nimi — krótkim mieczom waszym powierzam głowę Elsinoi; a kiedy staniecie w obliczu Imperatora głęboki pokłon oddajcie, nowemu panu!

CHÓR GLADIATORÓW.

Niech zginie — niech zginie przed czasem!

(Przechodzą.)

IRYDION.

Stare gnębiciele świata — zdziercy Hellady — syny fałszu i wiarołomstwa, poświęciłem wam nietkniętą dziewicę. — Nieśmiertelne Bogi, gdziekolwiek jesteście wysłuchajcie prośbę moją — niech ona będzie przedostatnią ofiarą wydana na pastwę Rzymowi; a ja z tylu nieszczęśliwych, wybranych po wszystkich stronach ziemi, wydartych groźbą i mękami, zapomnianych po mękach i zgonie, niechaj będę ostatnią!

MASINISSA.

Sygurdzie!

IRYDION.

Nie nazywaj mnie takiem imieniem — lub daj mi Królów morza, otocz mnie ludem dziada mojego, a z purpury Cezarów nici jednej nie zostanie! — Ale droga moja wytknięta wśród ciemności — gdziekolwiek wytężę ramiona, tam zapory twarde jak żelazo, ruchome jak węże, i wśród nich czołgam się bez bytu, beż życia!

MASINISSA.

W nędzach i miernościach ludzkich niechaj będzie twoja nadzieja i wiara, bo los postawił cię u bram walącego się miasta — otoczył cię wiekiem przesilenia i zgrzybiałości, którego sam częścią nie jesteś — na skargi będzie czas kiedyś, później — kiedyś — kiedyś — —

IRYDION.

Ah! hańba tym Nazareńczykom, co wolą ginąć jak bydło niźli bić się jak męże — oni, oni to mnie wstrzymują!

MASINISSA.

Aleksjan syn Mammei codzień do nich zstępuje i naradza się z pierwszymi Kapłany. — Jeśli go nie uprzedzisz, on szalę przeważy, on zmiecie Heliogabala, on swoje państwo nazareńskiem uczyni i Rzym trwać będzie w późne wieki wieków!

IRYDION.

Nie — przez Thora, Ja mu przyrzekam że nie będzie Cezarem!

MASINISSA.

W katakombach los Rzymu się roztrzygnie. — Idź — znamię ich na twoich piersiach, wada ich na twojem czole, niech tajemnice ich w twoich ustach będą. — Zaszczepiaj zemstę w imieniu Boga nie zemszczonego dotąd. — Gdzie Jego ołtarze, gdzie Jego chwała na powierzchni ziemi? — A kiedy będziesz ich wiódł i uzbrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o wtedy synu mój, duch mój będzie z tobą!

(Zbliża się i opiera na jego ramieniu.)

Czy pamiętasz noc, w której ojciec twój umierając, wołał — Masinisso — powierzam ci syna i myśl moją. — Ja wtedy nachyliwszy się nad nim, jak teraz nachylam się nad tobą: O Hermesie! tam wśród cieniów do których zstępujesz, zapytaj się o Masinissę, a one ci odpowiedzą — on nigdy nie opuszcza komu przyrzekł towarzyszyć do końca!

O Hermesie! duchy nasze trójcą połączone i nic ich rozerwać nie zdoła. —

IRYDION.

To się działo o podobnej godzinie — tylko że Elsinoe była przy mnie i płakała w moich objęciach!

MASINISSA.

Dziś to samo powtarzam. — Wierz i ufaj do końca — razem na ziemi — razem przed zgonem i po zgonie Rzymu — o dziecię moje wybrane, nie rozłączym się nigdy, nigdy — —

IRYDION.

Z twojej wyschłej piersi nurty siły płyną. — Daj rękę starcze. — Tak, razem przed zgonem i po zgonie Rzymu!

(Pada na krzesło przed posągiem.)

To się działo o podobnej godzinie. — Wzrok umierającego płonął jak wschodząca gwiazda — wtedy przysiągłem. — Czy słyszysz te wściekłe okrzyki? — Cezar rozdał ludowi puginały i sesterce, a lud się raduje z roskoszy Cezara. —

(Togę zarzuca na głowę.)

Zostaw mnie sam na sam z piekłem serca mego!

Świątynia w lochach pod Kapitolem. — Olbrzymi posąg Mitry w głębi — słychać oddalającą się muzykę — wychodzą kapłani i wieszczbiarze. — Heliogabal w szatach Arcykapłana i Elsinoe się zostają.

HELIOGABAL.

Widziałaś moją potęgę jasnowłosa Greczynko. — Rozmawiałem z Bogiem światła i Gieniuszami nocy, a pierwsi kapłani wschodu dziwili się moim słowom i ofierze.

ELSINOE.

W pogardzie u córy lodów miękkie rozwiązłe Bogi, w dymach kadzidłowych tonące, dźwiękami fletów obwiane, oblane krwią trwożliwych jeleni lub niemowląt — i słońce djamentowe co na twoich piersiach jedwabnych połyska, nie wyrówna słońcu po nad śniegami północy. —

HELIOGABAL.

Żmijo którą kocham, czegóż żądasz więcej?

ELSINOE.

Gdzie Odyn pan matki mojej, kuty ze stali i dębu, na dżdże, szrony i wichry spokojny niewzruszony, z czarą w której krew bohaterów się pieni — od południa skały ścielą mu się w poręcze Tronu i on oparty o skały patrzy na morze Północy, które szybami lodu u stóp Jego pryska (podnosi wieniec hyacyntów i rzuca na Heliogabala). Zwiędłe kwiaty idźcie do mdłego kwiecia — ale córa kapłanki Cymbrów nie dotknie się puchu.

(Odchodzi.)

HELIOGABAL.

Zostań się, przez tajemnice Baala zostań się nimfo. — Jam Arcykapłan, jam piękny, jam Apollo Delijski — niegdyś Legia cała okrzyknęła mnie Cezarem dla gładkosci liców moich. — Nimfo, zostań, rozkazuję tobie. — Jam August, Antonin, Aurelius, pan Rzymu, Afryki, Indji. — Czego milczysz? czemu spojrzenia twoje tak zimne i przebijające? Obsypałem cię zausznikami, naramiennikami, purpurą, drogiemi szafiry, zastawiłem ci biesiady o jakich nie marzyło się kochankom Sardanapala, stu lwów zagryzło się wczoraj przed tobą — wygnałem wszystkie nałożnice, a ty zawsze jak marmur nieugięty połyskujący i mroźny!

ELSINOE.

Przeszkadzasz mi, przeszkadzasz dziecino karmiona muszczkami ptasząt. — Byłam wśród Walhalli, wśród naddziadów moich siedzących na tronach, każdy z trumną wroga pod stopami — gwar słów twoich przerwał myśli moje dalekie — niepojęte. — Co ty chcesz — czego pragniesz odemnie? pora już późna. — Bogów moich najlepiej mi wzywać o takiej porze. Żegnam cię Auguście — Cezarze — Aureliuszu. —

HELIOGABAL.

Jasnowłosa, najurodziwsza, najkształtniejsza, zaklinam cię, błagam ciebie, patrz jak drżę cały, jak umieram przed tobą. — Bogi i Boginie! — w całej Azji takiej głowy, takiego łona, takich oczów lazurowych żaden z was nie stworzył! —

ELSINOE.

Ciszej — tam głos matki mojej wśród wichrów się przedziera!

HELIOGABAL.

Położę się na stopniach ołtarza i całować będę palce białych nóg twoich!

(Zbliża się do niej.)

ELSINOE.

Na mnie trza żelaznych ramion i ust brzmiących pieśnią straszną, pieśnią bitew. — Idź do Pretorianów, sługo Pretorianów!

HELIOGABAL (padając przed ołtarzem).

Przeklęta, ty zginiesz zawcześnie — przed całym ludem każe cię rozbić na krzyżu. — O urodziwa! — słuchaj. — Jeśli ci nie dosyć Cezara dam ci Mitrę. — Każe cię ogłosić Mitry kochanką. — Ja wszystko mogę. —

Chwilę jeszcze bądź przy mnie — lepiej mi kiedy stoisz choć z daleka. — Ja biedny, ja tak młody, a już otoczony spiskami i śmiercią. — Nudno mi, nudno i wszystkie strony świata nic mi nie pomogą. — Krew ludzi i zwierząt, woń kadzideł i kwiatów nie służy już Heliogabalowi. — Czy słyszysz? Czy chcesz bym skonał z wściekłości? — Nimfo — Elsinoe! — Tu razem obok siebie z dłonią w dłoni, skronie poarłszy o skronie, zaśnijmy! —

ELSINOE.

Tak — śpij dopóki nie przyjdzie Centurion i nie zamorduje Cezara. — Nieszczęśliwy, powiedz mi gdzie zbroja twoja? Nieszczęśliwy, temi palcami z wosku tej rękojeści miecza utrzymać nie potrafisz! — Czekaj — Ja pójdę i Bogów moich się zapytam, czy został jeszcze ratunek dla ciebie. —

(Wychodzi.)

HELIOGABAL.

Na pomoc Imperatorowi, na pomoc!

(Wchodzą wieszczbiarze, kapłany, Eutychian.)

CHÓR KAPŁANÓW.

Co się stało synowi słońca, panu tajemnic i ofiary? Usta jego pianą zroszone, gwiazda przepychu pękła na Jego piersiach — a wzrok w obłędach swoich, w kołowaniach swoich zda się żądać krwi, zda się żądać roskoszy, to znów słabieje i zda się żądać snu wiecznego.

HELIOGABAL.

Furie rozdzierają członki moje. — Ja wiem, ja wiem.

EUTYCHIAN.

Evoe Bachche! Uczeń mój pijany na wzór ciebie, kiedyś Indye po pijanemu zdobywał. —

HELIOGABAL.

Aleksjan przytknie mi stal zimną do szyi: — daj gardło Cezarze. — Brońcie mnie — każdemu z was dziesięć talentów. —

EUTYCHIAN.

Sam pierwszy za dziesięć talentów przebiję Cezara. —

HELIOGABAL.

Litości nademną! — Słońce mścić się będzie nad wami. —

CHÓR.

Powstań boski — Cezarze. — Tyś naszym panem i ziemia cała poddana woli twojej. — Bogi nieprzyjazne zazdroszcząc ci chwały, trapią cię zgubnem widzeniem — ale ta mara się rozpłynie w ogniu wiekuistym, w świetle przenajczystszym Mitry, jak fala mętna w oceanu lazurach, jak ciało Semeli w potędze Jowisza!

HELIOGABAL (podnosząc się).

Podajcie mi ręce niewolniki — kto was tu sprowadził? — Ja chcę by ona weszła do łoża mego — czy słyszycie? by ciało jej drżało w moich ramionach — inaczej wszyscy, ile was tu stoi przedemną, zginiecie pod kłami lampartów!

EUTYCHIAN.

Me hercule! Jam na lwa zasłużył. —

HELIOGABAL.

Milcz — dziś żartów nie chcę — gdzie ona?

CHÓR.

Jej postać wschodzi z pośród ciemności. — Jej Bóg cudzy walczy z naszym Bogiem!

HELIOGABAL

Milczcie — słuchajcie. —

ELSINOE (w głębi na głazie hieroglifami okrytym).

Pytałam się ich wszystkich. — Oni zrazu milczeli siedząc na tronach swoich każdy, jak zasnął po odbytej biesiadzie. —

Pytałam się ich wszystkich. — Jednego czarna zbroja chrzęsła. Jeden tylko się przebudził i wzniósł niedopitą czarę ku ustom spokojnym. —

Pytałam się ich wszystkich — a tam gdzie czara ust się dotknęła, kropla krwi się wyśliznie i lecąc przez niebiosa spada mi na czoło. —

HELIOGABAL

Mów boska moja! — wszak jeszczem nie potępiony — wszak nie zginę przed czasem? —

ELSINOE.

Wszyscy na kolana. — Wyrok Bogów grzmi w duszy mojej. —

HELIOGABAL (przyklękając).

Przebacz wielki Mitro.

EUTYCHIAN.

Dobra noc wielki Mitro.

(Przyklękając.)

CHÓR (przyklękając).

Niech przepadnie cudzoziemka! święty, potrójny, szybkolotny Mitro!

ELSINOE.

Wtedy ujrzałam na ziemskich równiach męża zbrojnego w żelazo i zgrozę. — Czoło jego było spokojne jak powierzchnia wód głębokich — w prawicy jaśniał miecz zwycięstwa. —

Poznałam — nie rozumiałam — nie ufałam sobie. — Ale imię Jego powtórzyły wichry nocne i głos zleciał od szczytów Walhalli: — On zbawi Cezara. —

HELIOGABAL.

Imię, imię?

ELSINOE.

Sygurd syn Kapłanki — (schodzi z głazu i zbliża się do Heliogabala). Nie tarzaj się więcej w prochu — powstań a wy oddalcie się wszyscy! —

(Wychodzą.)

Nędzny! gdyby ci przyszło wsiąść na kark bałwanom i jeździć po nich jak na koniu bez wędzidła — ażebyś musiał leżeć na śniegu otoczony stadami kruków i całą noc patrzeć w lodowate oko księżyca — biedny ty z purpurą twoją i Bogami twemi! Ale nie drżyj, nie rozpaczaj, bo cię wyrwie z toni syn Amfilocha Greka!

HELIOGABAL.

Kto? brat twój — Irydion — prawda! czarna jego źrenica dziwne sieje połyski. — O gdyby ten lud cały nosił jedną głowę tylko, którąby zwalić można jednem cięciem! Wtedy jabym zasnął na twoich piersiach, zasnął spokojnie! Irydion Amfilochides!

On będzie moim dobrym Geniuszem — powtórz raz jeszcze!

ELSINOE.

Daj rękę dziecię i nie lękaj się dopóki moje Bogi czuwają nad Tobą.

(Wyprowadza go.)

Inna część pałacu Cezarów. — Perystyl. — W środku jego przed ołtarzem ofiary siedzi MAMMEA — ALEKSANDER SEWERUS przed nią. — W głębi przysionek oddzielony ciasnem przejściem.

MAMMEA.

Kilka razy widzieli łzy w jego oczach, ale nikt nigdy nie dostrzegł uśmiechu na jego twarzy — rysami mówią, że przypominał Platona, tylko że coś surowszego panowało mu z czoła. — Podania najsroższych nawet nieprzyjaciół jego w tem się zgadzają. —

ALEKSANDER.

Codzień bardziej serce moje lgnie do jego nauki. —

MAMMEA.

Wierz słowom moim — w niej jedyna mądrość na ziemi i jedyna nadzieja po zgonie. —

(Ulpianus ukazuje się w przysionku.)

(Wstając) Toś ty Domicianie?

ALEKSANDER.

On sam, mój Domicianus, najukochańszy z ludzi, mistrz mojego dzieciństwa.

(Idzie i rzuca się w jego objęcia.)

ULPIANUS.

Bądź dobrej myśli — i ty Augusto, bo fortunne przynoszę wam wieści. —

MAMMEA.

Ah! jakże długo milczałeś! jakiego smutnego przeczucia nabawiłeś mnie! — Chwała nieśmiertelnym Bogom że się nie ziściły. —

ULPIANUS.

Nie odpisywałem z Antiochji, bo lękałem się żeby kto moich listów nie przejął. — Im dzieło bliższe celu, tem ciszej pielęgnować je trzeba, a nasze już wkrótce pono dojdzie upragnionego końca!

MAMMEA.

Mów, mów. —

ULPIANUS (obzierając się).

Czy te ściany głuche i nieme?

ALEKSANDER.

Nuż śmiało patrz — ja głośno wołam, że pod tem jarzmem krótkie życie mi już obmierzło. — Wczoraj jeszcze karzeł Imperatora, ten garbaty Roboam, przyniósł mi kosz pełen zatrutych owoców, który odepchnąłem nogą! —

ULPIANUS.

Nie unoś się Aleksjanie — jeszcze cierpliwość niech panuje w tobie — skromność niech ci z oczu wyziera lękliwie i wrogi twoje niech cię nazwą dzieckiem.

Pokojem myśli i powagą ciała dzieją się wielkie czyny. — Cóżby z tego wynikło gdybym był wpadł do Antiochji, do Laodycei, do Efezu, do Smirny i zaczął wołać o pomstę świadcząc się Bogami, że Heliogabal tronu i życia nie godzien? — Byłem ja tam wszędzie ale milczącem okiem obejrzałem naprzód tłumy ludu i kohorty Legionów. Każdego skargi wysłuchałem na pozór obojętnem uchem, a dopiero kiedym się przekonał, że dojrzewa ziarno nienawiści, że wszyscy równie pragną zmiany, rzekłem w sobie: — Czas nadszedł. — Iskra rzucona, pożar w całej Azji wznieci — i z Trybunami, z Kwestorami, z Pretorami tu i owdzie zawierając ugody, tym ukazałem zyski, innym wyższe urzęda, każdemu z twojego wyniesienia poczyniłem cel i nadzieję zgodną z jego własnemi chęciami. — W tem nadeszła wiadomość, że cię brat mianował Konsulem Cezarem — przeczuwając że w tej łasce czarny podstęp ukryty, natychmiast przybiegłem do Rzymu i w imieniu Legionów przynoszę ci obietnicę świetniejszego losu. — Dozwól tylko czasowi jeszcze nieco upłynąć, a uderzy o brzeg naszego zbawienia! —

ALEKSANDER.

Czemuż odkładać do jutra. —

ULPIANUS.

Bo w Rzymie Imperator otoczony ludem, który go za Naumachije kocha, i Pretorianami którzy czczą w nim rozrzutności Boga. — Wiem ja wprawdzie, że lud kocha Cezara dopóki go nie zamorduje — wiem także, że pretorianie obozujący za miastem, oddawna sprzyjają naszym zamiarom. —

ALEKSANDER.

Trybun Arystommachus kazał mi oznajmić dzisiaj jeszcze że w każdej chwili gotów odważyć życie za mnie i Mammeę. —

ULPIANUS.

Arystommachus jedyny w godzinie wybuchu — ale przedtem niechaj milczy jeśli może, bo tę jedyną tylko przysługę nam wyświadczyć zdoła. — Są tam inni rozważniejsi i sprawniejsi od niego. — A straży pałacowej, a żołnierzy rozsypanych w mieście czyż za nic nie liczysz? czy nie wiesz, że codzień kąpią się w łaskach Cezara? — Aleksjanie, i wschód cały jeszcze nie do nas należy. — Syryjczycy nie zapomnieli, że znali Heliogabala dzieckiem w Emezie — później arcykapłanem w świątyni słońca. — Z resztą pamiętaj: że ten który włada, samem imieniem władcy stoi długo jeszcze, choć podpory jego mocy spruchniały — U ludzi marne słowo jest także potęgą!

MAMMEA.

Nie zaprzeczam prawdy słów twoich, ale spiesz się o ile możesz, bo stoimy nad grobem, otoczeni nasłannikami jego szaleństwa i złości — w każdej chwili na tych licach roztoczyć się mogą znaki trucizny — i biedne to dziecię moje, chwała moja, przyszłość moja, przyjdzie głowę pochylić i skonać na łonie matki!

ULPIANUS.

Dziś jeszcze będę w namiocie Arystommacha i u Luciusza Tubero (zbliża się do Aleksandra). Następco Augusta, nie lękaj się by parka dni twoje przecięła nim dostąpisz władzy nad ludźmi — nie. — Bogi zmiłują się nad tem miastem znękanem — ale kiedy ją osiągniesz, strzeż się jadu ukrytego w tunice Dejaniry — w purpurze Cezarów!

MAMMEA.

Czyż nie wiesz, że w synu moim ostatnia nadzieja i ostatnia chluba Rzymu? Z myśli Platona, z słów Chrystusa uczyłam go miłości ludzi — on znieważonym i uciśnionym poda rękę brata!

ULPIANUS.

Ale niech wie zarazem, że niesfornych wygubić trzeba. — Po wszystkich targach Azji widziałem rzymskich rycerzy pobratanych z wyzwoleńcami. — Tam w krzesłach kurulnych rządzą światem, łokieć i szalę trzymając w dłoniach — ztamtąd rozsyłają gońców z udanemi wieści, by się ceny wzniosły lub zniżały — tam konfiskują dobra, a odwołujących się do senatu wtrącają w czarne lochy lub przybijają do krzyża — widziałem — i w zgrozie odwróciłem oczy!

ALEKSANDER.

Potomki wielkich Konsulów, Dyktatorów!

ULPIANUS.

Ich okrucieństwa dziś nam wiernie posłużą. — Po nich jak po szczeblach ja cię do tronu powiodę — ale kiedy na nim zasiądziesz, niech te schody runą w otchłań nogą twoją zrzucone — a na to trza więcej niż nauki Chrystusa!

ALEKSANDER.

Znam trudy, które mi się dostały w udziale — nocy schodzą mi na rozpamiętywaniu czynów Dackiego Trajana — albo mu wyrównam, albo zginę młody!

ULPIANUS.

Aleksjanie! wspomnij także na Rzeczpospolitę i tam przypatrz się mężom, którzy w togach chadzali. — Ah! cóż nam zostało z ich świętych przykładów — gdzie lud rzymski, którego prawa brzmią mi dźwięczniej niż pieśni Homera, niż marzenia Platona? Wszystkie czoła przypruszone siwizną bez czynów — marną starością strachu lub znudzenia! Wróżbiarze, sofisty, śpiewacy, tancerki, zalegają forum — i wieki już przeszły od dnia w którym Julius pchnął konia w bród Rubikonu. Wstecz nie podobna się wrócić. — Za dni Kassiusza już za późno było — Bogów tylko prośmy o Pana, w którego prawicy odmłodnieje państwo choćby miasto różczki oliwnej zabłysnąć w niej miało — żelazo Liktorów!

MAMMEA.

Znałam na wschodzie ludzi posępnych i świętych — oni mówili, że nadchodzą czasy i lepsze i nowe, że po tylu nędzach zjawi się Cezar, który uzna ich Boga!

ULPIANUS.

Nazareńczycy! — Augusto, strawiłem życie na myśleniu

o rzeczach boskich i ludzkich i nie dbam o te krety nurtujące starą ziemię naszą!

MAMMEA.

Z ślepego przesądu nie otrząsłeś się jeszcze. —

ULPIANUS.

Jowiszu kapitoliński, nie słuchaj jej słów bezbożnych. — Jam stary Rzymianin. — Jam wyrósł wśród pamiątek wolności i chwały, choć ich za dni życia mego już nie było na ziemi. — Państwo chylące się do upadku wydało tych mdłych gorszycieli, ale za naprawą jego musi nastąpić ich zguba! (Chwytając Aleksandra za rękę:) Tem tylko czem wyrosło, odbudujesz miasto — niezgiętem męstwem i tajemniczemi obrzędami naddziadów. — Wszystko inne niech przepada, cudze Bogi i ludzie cudzy!

ALEKSANDER.

Matka moja poważa chrześcian, bo w ich przepisach ukryte są skarby stałości i cnoty — patrz Dominicianie na oczy jej zroszone łzami — ona lubi chrześcian, bo oni mi sprzyjają.

ULPIANUS.

Użyj ich więc za narzędzie, które skruszysz potem. — To moje ostatnie słowo o nich (słychać muzykę.) Flety syryjskie! — Może arcykapłan Mitry przychodzi odwiedzić kochanego brata. —

MAMMEA.

Nie. — On codzień o tej samej porze chodzi do ogrodów Palatynu z kochanką. —

ULPIANUS.

Słyszałem o tej Greczynce wiele zawiłych powieści na wschodzie — przybyli z Rzymu twierdzili, że brat długo się przypochlebiał, a potem niecnie ją przedał Cezarowi. —

MAMMEA.

I wierzyłeś temu?

ULPIANUS.

Włosy moje siwe oddawna przestały dziwić się podłości choć jej może czarne dotąd nie pojmują. —

MAMMEA.

Ale pamiętasz Amfilocha, od kiedy przypłynął za dni jeszcze wielkiego Septyma na Italskie brzegi — widziałeś zawsze

godność niezrównaną w postawie i słowach jego — czy na dworze, czy w własnym pałacu, on zawsze wyglądał gdyby drugi Cezar w Rzymie!

ULPIANUS.

Prawda — ale pamiątka jego wyniosłości mało tu znaczy, bo najczęściej syny wielkich ojców czołgają się poziomo w hańbie znikczemnienia. — Niech mi lud i senat rzymski odpowiedzą!

ALEKSANDER.

I moje też słowo nie stanie na świadectwo przeciwko Grekowi — choć nigdy nie znać młodzieńczej otwartości na jego bladych rysach, jednak coś szlachetnego żyje w całej jego postaci — nie wiem, co drzemie w głębi tego serca — wiem tylko, że tam ni strachu ni uniżenia nie masz!

ULPIANUS.

Jakże więc wytłómaczyć to co się stało?

ALEKSANDER.

Ślepem zrządzeniem nieubłaganej konieczności — kilka razy Imperator spotkał Irydiona idącego z Elsinoą. — Kilka razy do cyrku Flaviana razem przybyły ich rydwany. — Sam wtedy widziałem jak zaraz bratu mojemu nabrzmiały żyły po skroniach i jak złote lejce, któremi lwów swoich kierował z dłoni wypuścił. — I przez niebieską Venus! wszyscy, którzy tam stali pożerali ją także wzrokiem, bo piękniejszej nie widzieli nigdy!

ULPIANUS.

Dawniej kiedy u ojca bywałem, ona jeszcze greckim obyczajem zamknięta w Gineceum niczyjemu oku widzialną nie była.

ALEKSANDER.

Powiadam ci, że w całym Rzymie takiej drugiej nie znaleźć! — Byłem w sali Narcyssa kiedy Heliogabal czekał na nią pierwszej nocy porwania — oparty o mnie, zgrzytał i szczypał mi ramię, bo wtedy jeszcze dość łaskaw był na mnie. — Ja drżałem z oburzenia i litości, zdawało mi się czasem, że słyszę odgłosy walki — wtem wbiega prefekt pretorium, wiesz, nadworny błazen Eutychian i do ucha szepnie panu swemu: — Idzie Jasnowłosa. — Weszły karły i karlice, czarni rzezańce i lidyjscy fletniarze. — Idzie Jasnowłosa — powtórzył Imperator

3*

i skoczył, ale natomiast wstąpił do sali orszak Gladiatorów w ciemnych tunikach — wszyscy nieznajomi na dworze. Brat mój opuściwszy głowę ugryzł mnie ze strachu, lecz Eutychian z grubym śmiechem oświadczył, że syn Amfilocha tych ludzi darował siostrze i Cezarowi. — Za ich rozstępującemi się rzędami ukazała się dopiero Elsinoe!

ULPIANUS.

Na pół zemdlona, niesiona na ręku służebnic?

ALEKSANDER.

Nie — owszem stanęła pośrodku sali i żadnego znaku bojaźni, hołdu, poszanowania nam nie złożyła. — Zrazu miała schyloną głowę, ale wnet podniosła kibić i czoło, wnet spojrzała ognistemi oczyma gdyby pani na wszystkich. — Cezar zawołał ją bliżej — ani postąpić, ani odpowiedzieć raczyła — wtedy skinął na nas i wyszliśmy wszyscy.

ULPIANUS.

Stara krew Helleńska w której coś boskiego zostało — a brat czy bywa u dworu, czy widuje siostrę?

MAMMEA.

Słychać, że raz odwiedził Cezara i że długo z nim bawił — zwykle zaś stroni od ludzi, siedzi w pałacu swoim otoczony niewolnikami i barbarzyńcami, którym dobrodziejstwa sypie.

ULPIANUS.

I ojciec niegdyś to samo zwykł czynić. —

MAMMEA.

Roskosz go nie wabi, zbytek nie łudzi — a choć widno, że myśl zacięta go dręczy, umie panować nad sobą i milczeć. —

ULPIANUS.

A gdyby ta myśl była żądzą zemsty za krzywdy siostry? — trzeba ufność jego pozyskać — zrazu błędne wskazywać mu cele — wreszcie prawdę z zasłon obnażyć. — Niechaj duma i skarby jego staną się naszemi sługi! — Lecz teraz mówcie zkąd poszło, że potwór tak zokrutniał, osiągnąwszy czego pragnął? — Ta niewiasta wpływ na nim wywarła niepojęty dla mnie!

ALEKSANDER.

Eutychian głosi, że ona dotąd nie uległa jemu — a od chwili porwania zamknął się w perestylu Agrypiny i odtąd ustały biesiady pałacowe.

ULPIANUS.

Tajemnica nie długo trwać będzie — on ją zamorduje by spalić na stosie arabskich kadzideł, a na wystawienie jego wydrze pierwszemu lepszemu życie i dobra, oskarżywszy go wprzódy o zbrodnię zelżonego majestatu. — Lecz przed tem sam może — —

MAMMEA.

Nie Domicjanie, nie chcę by zginął śmiercią poprzedników. Panowanie mądrości i dobrego nie zacznie się mordem syna siostry mojej — powtarzam ci, że nadchodzą czasy miłosierdzia. — Ty go usuniesz od tronu i każesz zanieść jak śpiące dziecię na ziemię wygnania!

ULPIANUS.

Na to by trzeba Nazareńczyka. — Nie daleko od tych miejsc Brutus zamordował ojca swego — a ta lekka dusza nie miałaby pójść kędy poszły stroskane, wielkie cienie pierwszego z Cezarów!

MAMMEA.

Biada mi!

NIEWOLNIK (wchodząc).

Irydion syn Amfilocha przyszedł powitać Severa Cezara konsula i szlachetną matkę jego!

ULPIANUS.

Zdarzyło się w porę. —

(Irydion wchodzi.)

MAMMEA.

Czyż zawsze z posępnem czołem — czyż boska Sofija nie zdoła pogodniejszem oświecić je promieniem?

IRYDION.

Niech ci Rzymianin co zginął pod Filipami odpowie, Augusto, ile mu owa boska przyniosła otuchy. — Zresztą nie

poczuwam się do wyrazów liców moich. — Duch mój wewnątrz spokojny i zimny, niczego nie żałuje, niczego nie pragnie i niczego się nie spodziewa. — Jakże zdrowie twoje Cezarze? czy Bogi modłom twoim sprzyjają w tych czasach?

ALEKSANDER.

Dziś właśnie spełniły się życzenia moje. — Najmilszy mój Domicianus przybył z Antiochji!

IRYDION.

Witam cię mężu konsularny. — Jeśli dobrze zapamiętam, uczęszczałeś niegdyś w progi ojca mego.

ULPIANUS.

Mowy Amfilocha brzmią dotąd w uszach moich. — Żyjesz starzec, który często siadywał przy jego ognisku?

IRYDION.

Masinissa?

ULPIANUS.

Podobne imię. — Ojciec twój zapoznał się z nim na syrtach Getulów, jak sam opowiadał, wśród dnia skwarnego zbłąkany pogonią za tygrysami.

IRYDION.

On dotąd jak za dni ojca mego siadywa przy ognisku naszem.

ULPIANUS.

Pytam się o niego, bo nie raz mnie zastanowił myślą dziwną i gorzkiem słowem; raz utrzymywał, że Tyberius był największym z Cezarów!

ALEKSANDER.

Jakto przez Bogi Many Antonina?

ULPIANUS.

Dowody Jego wyszły mi już z pamięci, to jedno przypominam sobie, iż tak sztucznie władał niemi, iż tak dzikie pomysły rozwijał o przeznaczeniu ludzi, żem milczał w przerażeniu.

MAMMEA.

Nie życzę sobie widzieć tak okropnego mówcy!

ULPIANUS.

Lecz kiedy czarowne wpływy jego rozumu odeszły odemnie, uspokoiłem się jak człowiek co wytrzeźwia się z pijaństwa i własne odzyskuje myśli — bo jakżeż nie przeklinać tych, co miasto sprawiedliwości ucisk ludziom rozdając, obywateli, za to że nie zwierzęta, posyłają pod rózgi i topory Liktorów? Nie prawdaż synu Amfilocha?

IRYDION.

Tak lub nie — ile dusz tyle serc i sądów!

MAMMEA (do Aleksandra).

Na twarzy niewzruszonej uważaj tę wargę spaloną, to oko w płomieniach!

ALEKSANDER.

Matko, ja chcę mu dobre, szczere słowo powiedzieć!

MAMMEA.

Czekaj jeszcze!

ULPIANUS.

Jednak sam nie więzisz ni katujesz niewolników, choć masz słuszne prawo śmierci nad niemi; nie odpychasz ubogich Swewów, Daków, Markomanów żebrzących w mieście. — Tak wieść głosi o tobie!

IRYDION.

Matka moja barbarzynką była!

ULPIANUS.

A syn jej chce wmówić we mnie, że jest Epikurejczykiem!

IRYDION.

Przez Zeusa Olimpijskiego, stoikom nie udaje się teraz.

MAMMEA

Ja może lepszych kolei nie obaczę nigdy — ale on, ale ty Irydione, wstępując w złotą bramę życia — młodość jeszcze jak sen nad wami ulatuje i radzi wam: byście ufali słodszym przeczuciom — ani tobie, ani jemu jeszcze rozpaczać nie wolno.

ALESANDER.

Daj rękę synu Amfilocha. — Nieszczęście jak miłość wiąże ludzi z sobą — bądźmy przyjaciołmi, a może kiedyś razem będziemy się cieszyć!

IRYDION.

Dzięki wam szlachetni Rzymianie! znać was nadewszystkich ukochały Bogi, kiedy wam zostawiły nadzieję. — Lecz wcześniej czy później na was i na mnie przyjdzie koniec jeden — śmierć i zapomnienie!

ULPIANUS (do Mammei).

Albo sztuką Danaów nas zwodzi, albo go Jowisz odlał z kruchego metalu. (głośno) A gdyby złudzenie prawdą się stało — gdyby cień który miasto zalega, ustąpił jak chmnra przed pomyślnym wiatrem, a światło cnoty samo jedne zostało, cóżbyś uczynił?

IRYDION.

Uczciłbym nieśmiertelnych ofiarą i dziękczynieniem.

ULPIANUS.

A dla przyśpieszenia dnia takiego nic byś nie przedsięwziął? — Czy rozumiesz mnie? Gramy w przypuszczenia jak inni w koście — rozmawiamy o niepodobieństwach, by prędzej uleciał czas który nam ciąży!

IRYDION.

Rozumiem cię lepiej niż Ty mnie pojmujesz.

ULPIANUS.

A więc?

IRYDION.

Przez Odyna, powiedz takiemu dniowi by zawołał na mnie, a ja mu odpowiem!

ULPIANUS.

Pamiętaj!

ALEKSANDER.

Pamiętaj!

IRYDION.

Nie zapomnę tej chwili Rzymianie! Zobaczymy się mężu konsularny!

ULPIANUS.

Gdzie idziesz?

IRYDION.

Czeka na mnie grono przyjaciół u stóp Awentynu i zastawiona biesiada i nowe jakieś pieśni sykulskiego Poety. — Idę ich słuchać, by prędzej uleciał czas który nam ciąży.

ULPIANUS.

Młodzieńcze, idziesz ducha własnego zapomnieć na łonie rozpusty!

IRYDION.

Lucius Mummius nic nam nie zostawił prócz roskoszy i śmierci. — Długiego życia Aleksandrowi i Auguście Mammei.

(Wychodzi.)

ULPIANUS (patrząc za odchodzącym).

Z tego wosku kto wie czy będzie wam można stronnika ulepić.

Inna część pałacu Cezarów — podłużne Atrium z sadzawką pośrodku — mozaiki, freski wystawujące Faunów, Satyrów, nimfy — na słupach jaspisowych kamienne żółwie, skorpiony, krokodyle — wzdłuż ścian posągi Venery i Bachusa. — Tu i owdzie grona dworzan — pretorianów — tancerzcnic — muzykantów — karłów. — EUTYCHIAN prefekt pretorium — RUPILIUS — EUBULUS — jego parasyty.

EUTYCHIAN.

Evoe Bachche! dla tego nic mi nie ubędzie, bo cóż zdoła Cezara oderwać odemnie — jednak takich gości wcale mi nie potrzeba na dworze — i dzisiaj Imperator chce go widzieć — i dzisiaj kazał mi tu czekać na niego.

RUPILIUS.

Pół-Bogom podobny Eutychianie. —

EUTYCHIAN.

Mów pół-boski. — Imperator jest całym Bogiem — ja zaś po Imperatorze pierwszy. —

RUPILIUS.

A więc pół-boski Eutychianie, pozbawmy go wierzchnego światła. — Niechaj *dulces moriens reminiscitur Argos!*

EUTYCHIAN.

Evoe! — tylko mi nie przywodź wierszy Marrona. — Nasi starzy za Augusta nie pojmowali sztuki.

(Zamyśla się.)

RUPILIUS.

Nie mieli wyobrażenia o sztuce. —

EUBULLUS.

Nic zgoła się nie domyślali, co to poezja!

RUPILIUS.

Bez żadnej wyobraźni. —

EUBULLUS.

Mniej jak bez żadnej.

EUTYCHIAN.

Zgoda, trza usłać mu drogę do cieniów. — Tym czasem posłuchajcie tej pieśni. — Boski ją Neron dla swoich karłów napisał!

RUPILIUS.

Oto był zaszczyt muzyki i rytmu.

EUBULLUS.

Prawdziwy brat sióstr dziewięciu.

CHÓR KARŁÓW.

Stoim z ubocza, a na szczycie wieży pan nasz stroi lirę swoją — u stóp jego wśród nocy czarnej i mglistej pali się miasto Bogów!

On wzniecił te ognie — on chciał widzieć jak Troja gorzała laty — on żyć nie mógł jak żyją śmiertelni! płomieńmi więc się otoczył i stał się panem dramatu z ognia!

Dźwiękami jego nęcone ze wzgórza, coraz bliżej wśród jęków i szumów podskakują ognie. Nad miastem co przepada, inny Rzym rośnie w powietrzu. — On dziko świetnieje w piramidach z iskier i słupach syczących płomieni!

A my klaszczem w dłonie, krzyczemy z radości. — Dzień zniszczenia nadszedł wysokim i pięknym. — Na falach Flegetonu pałace i świątynie nikną - - a nam nic nie będzie — nas ocalił mistrz sztuki i dźwięku!

FILOZOF (zbliżając się do Eutychiana).

Ty, co niejako wszystko możesz i jesteś drugim Bogiem w Rzymie, racz dozwolić Anaksagorowi Neoplatończykowi dwa razy na tydzień głośno czytać i mówić w Termach Karakalli.

EUTYCHIAN.

Jakie twoje zasady? — jakich Bogów wyznajesz? Czyś trzeźwy, czyś pijany kiedy uczysz ludzi?

FILOZOF.

Bogiem moim Jedność w Jedności Jednością poczęta, wszystkim niejednościom z konieczności przeciwna i zawarta sama w sobie, wzierająca w siebie samą.

EUTYCHIAN.

Satis est — tą nauką nie przewrócisz państwa (do Rupiliusa). Chyba go Tyresias w piekle zrozumie.

RUPILIUS.

Chyba Cerber z trojaką paszczęką.

EUBULLUS (do Rupiliusa).

Znamienity Rupiliuszu, kazałeś mi wczoraj coś zapisać na tabliczkach.

RUPILIUS.

Czytaj mój miły.

EUBULLUS (czyta).

— Pojutrze Gladiator Sporus i Tygrys Ernan. —

RUPILIUS.

O trzy razy szczęśliwe przypomnienie — wielki Eutychianie!

EUTYCHIAN.

Co?

RUPILIUS.

Z siebie uczynię ofiarę dla ciebie.

EUTYCHIAN.

Przez Isysa, Anubisa, lub jakiegokolwiek egipskiego bałwana, wdzięczny ci jestem — ale cóż takiego?

RUPILIUS.

Z Maurytanji sprowadziłem tygrysa centkowanego złotem i hebanem — w nozdrzach gdyby krew świeża ludzka, w ogonie siła dwóch koni. — Mam gladiatora dzielniejszego od

wszystkich nadwornych, człowieka co mi się zaprzedał z głodu, prawdziwego Krotoniatę. — Sprosiłem zatem wszystkich miłych moich na biesiadę i już założyłem się z Carbonem o cztery przeciwko jednemu, że Sporus zamęczy Ernana — ale kiedy losy nas zmuszają, trza do innej walki użyć Gladiatora!

EUTYCHIAN.

Stój! (do pretorianów) Zaśpiewajcie waszemu wodzowi Evoe flety i strony w brzęk! (do Rupiliusa) teraz mów dalej.

CHÓR PRETORIANÓW.

Niech żyją kości i wino — sesterce i róże. — Dopóki czara się pieni, dopóki Plutus się uśmiecha, stopy nasze do tańca, ręce gotowe do boju. — Daj nam choćby czarne po syrtach murzynki, choćby śniade po lasach Germanki! Partów i Getów starym obyczajem nie chodzimy ścigać. — Ojce nasze leżą w grobie, z niemi nużące pochody. — Tu na łożach, tu czoło ustroiwszy bluszczem, tu w Rzymie czekamy na wrogów — niech nadejdą — wtedy z objęć czarnowłosych, wśród dźwięku szklanic, porwiemy się do tarczy i odporu — do miecza i rzezi! Teraz Evoe! niech żyją koście i wino, sesterce i róże!

EUTYCHIAN.

Choćby się nie udało to krzywoprzysiężesz?

RUPILIUS.

Świadcząc się wszystkiemi Bogi Chaldei i Syrji.

EUTYCHIAN.

Jacta est alea — dziś jeszcze.

RUPILIUS.

Otóż i nasz Grek bladawy.

(Irydion wchodzi i idzie ku Eutychianowi.)

EUTYCHIAN.

Aż dreszcz po mnie przeszedł — w oczach jego coś piekielnego — mówią, że jego ojciec był czarnoksiężnikiem. — (Oplera się na Rupiliuszu.)

RUPILIUS (usuwając się).

Pół-Bogom nie wolno się lękać.

IRYDION.

Stawiam się na godzinę naznaczoną. — Eutychianie prowadź mnie, gdzie przykazano tobie!

EUTYCHIAN.

Tak — zaraz, znamienity Greku (do Rupeliusa). Jaki człowiek, jaka duma. — Vae capiti ejus!

RUPILIUS (do Eutychiana).

Zdrój Lethe wyleczy go z pychy. —

IRYDION

Na dworze Cezara wy wszyscy czas tracić lubicie. — Idźmy!

EUTYCHIAN.

Tędy, szlachetny Irydionie.

(Wychodzą.)

Inna część palacu Cezarów — szczyt wieży otoczony kolumnadą.)

HELIOGABAL, ELSINOE.

ELSINOE (odchodząc).

Powierzam cię Bogom i sile jego!

HELIOGABAL.

Ty okrutna!

(Irydion wchodzi, Elsinoe zatrzymuje się.)

ELSINOE.

Księżyc wschodzi — wrą ognie i kipi trucizna!

(Znika.)

HELIOGABAL.

O ratuj mnie — lub jeśli nie możesz ocalić, nie zwodź, nie udawaj, wyznaj od razu, a ja ciało moje białe przebiję tą złotą klingą (zdejmuje puginał z filaru) czy widziałeś kiedy takie szmaragdy?

IRYDION.

Zkąd boskiemu Cezarowi przyszło dzisiaj myśleć o zawczesnym zgonie?

HELIOGABAL.

Cyt przyjacielu! — mylisz się, jeśli sądzisz, że Cezar nie zdoła się zabić — a z tego puharu jeśli wypiję Elizejskie pola

(bierze czarę z Trójnoga). Sto nurków przepadło w morzu nim jeden tę perłę wydostał — niezrównana!

IRYDION.

Z tej czary pić będziem zdrowie Słońca ale pod innym niebem, wśród innych ludzi. —

HELIOGABAL.

Spojrzyj mi w oczy. — Czy ty nie kłamiesz? ah! odwróć oczy. — Bogi w nich szczerym ogniem zapisały, że matka twoja czarownicą była. — Przystąp bliżej filarów — trzymaj się kraty — mów co widzisz w dole. —

IRYDION.

W głębi dziedziniec iskrzy się od drogich kamieni, gdyby jasnolite dno czarnej przepaści!

HELIOGABAL.

Sam, sam wybierałem topazy, beryle i ostre kanty Chrysolitów i krwawe Onyxy. — Dzień jeden i noc całą brukowali ten podwórzec, a ja nie zasnąłem nie odszedłem aż skończyli — wtedy ich wszystkich stracić kazałem!

IRYDION.

Kogo?

HELIOGABAL.

Podłe niewolniki! — co się pytasz o nich? — Oni poprzedzili pana swego. — Czyż w Rzymie kto powinien wiedzieć, że się Cezar do śmierci gotuje! — było ich stu tylko i chłopiąt dwoje. — Ah! ja nie oddam w ręce ludu śnieżnych członków moich — ja tu głowę moją świętą rozbiję — niech po djamentach krew moja spływa do Erebu!

IRYDION.

Cóż grozi tak nieodzownie?

HELIOGABAL.

Aleksjan — przebrzydłe imię. — Aleksjan! aby zginął przed czasem. — Aleksjan! potrójnej Hekacie głowę jego poświęcam — on, on, Aleksjan czarne waży myśli i gotuje zdradę. —

IRYDION.

Opatrzne oko moje wytężone nad nim i nad matką jego. —

HELIOGABAL.

Nie przerywaj mi — nie broń go jeśli miłe ci powietrze którem oddychasz — słuchaj — na to byś słuchał, przyjść ci kazałem. — Szpiegi mi donieśli, że z Ulpianem się naradza, że od kilku dni bledszym się wydaje, że w zadumaniu to odwija, to przygłaszcza puklę — a ten Ulpianus, co przyleciał z Antiochji, ha! czy wiesz co on zamyśla?

IRYDION.

Słyszałem często o nim jako o zawołanym prawniku. —

HELIOGABAL.

Ty go chwalisz — o Bogi nieśmiertelne! — a ja ci mówię że bez tego człowieka od lat trzydziestu żaden spisek się nie obszedł. — Domicianus Ulpianus! — Słodki na pozór w mowie, ale stoik nieubłagany, zawsze gotów zabić panującego, lub jeśli się nie uda, samego siebie — istny spisek chodzący, jedzący, pijący — żywe przekleństwo dla jakiegokolwiek rządu, miecz Damoklesa nad głową moją — i ty mi go chwalić będziesz! — Prawnik zawołany! — Proch! Jupiter! nie tylko jego, jabym same prawo zamordował. — Mówże co robić?

IRYDION.

Nie rozpaczać kiedy jeszcze cicho i spokojnie, a jeśli przyjdzie do niebezpieczeństwa, na mnie polegać!

HELIOGABAL.

A jeśli już odzywają się wróżby mojego pogrzebu? — Jeśli przeciw Bogom siostry twojej inne silniejsze się podnoszą? (list rozwija) Patrz. — Symmach Niger opisuje mi straszne znaki, co objawiły nad Dunajem — o wschodzącem słońcu, otoczone świętym orszakiem Bachusa, wśród głów bluszczem umajonych, wśród rąk potrząsających Tyrsami, widmo Aleksandra Macedońskiego stanęło na szerokiem błoniu. — Zbroja lśniła się na piersiach jego, ta sama, którą nosił, kiedy zmiótłszy Dariusza szedł podbijać Indje. — Hełm gorzał na pochylonej głowie. — Za nim stąpali wodzowie polegli oddawna. — Ludy Moesji i Tracji bili przechodzącym głębokie pokłony i cisnąc się za nimi doszli aż do brzegów morza. — Tam w powietrzu rozwiały się umarłych cienie! (Opiera się o kolumnę) Podaj mi Falernu — (bierze puhar.) Tak, Aleksander

Severus z rąk Macedończyka weźnie państwo i życie moje! Dii avertite omen!

IRYDION.

Albożwyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septymiusa niegdyś ukochał matkę twoją? Albož zapomniałeś, że dusza Macedończyka żyła w boskich piersiach jego? a teraz kiedy bohater, co był opiekuńczym duchem ojca twego z grobu powstaje, by chwałę ci zwiastować, ty bledniejesz i potrzeba ci wina — pociech — ręki przyjaciela, byś nie zemdlał i na ziemię nie runął. — Hańba ci synu Karakalli!

HELIOGABAL.

Nie — nie — on Aleksandrowi, on wschodzącemu słońcu się uśmiechał blademi ustami — mnie twarz każda, głos każden, lud, senat, pretorianie, Rzym cały śmiercią grozi. — Ja czuję, że mnie razem, zgodnie, krok za krokiem odrywacie od słodkiej matki ziemi, i wszyscy ilu was jest, wleczecie do piekła!

IRYDION.

Bądź lepszych myśli. — Czyż w odwiecznej walce między człowiekiem a miastem, człowiek nigdy wygrać nie zdoła?

HELIOGABAL.

Co mówisz!

IRYDION.

O losach waszych! Zginęliście jedni od miecza, inni z rąk własnych, wszyscy wśród hańby i przerażenia, zdradzeni przez powierników — przeklęci od nieprzyjaciół. — Dla czegóż jednym trybem zawsze dziać się mają sprawy ludzkie? Rzym do tych czas knuł spiski, mordował Cezarów — niech Cezar stanie się spiskowym, niech Cezar uderzy na wroga!

HELIOGABAL.

Kto? jak? widzę potęgę na czole twojem ale jej nie pojmuję!

IRYDION.

Czyż te pałace, świątynie, cyrki, czyż ten zamek trzy razy spalony z starym Bogiem swoim nigdy upaść nie mają? Czy nie słyszałeś o miastach wschodu piękniejszych i ogromniejszych, co niegdyś były cudem dla ludzi, pieszczotą dla Bogów? A dziś tumany piasku przechadzają się po nich i na zwalonych

arkadach samotne skowyczą hyeny! Czyż Hyerozolyma z rojami wściekłych obrońców oparła się wszystko niszczącym losom? a jednak miała Boga samotnego i silnego jak Fatum! — Idź i zapytaj się pustyń z czego powstały! — A te wzgórza osadzone marmurami i granitem, czyż to nieśmiertelne Bogi? Patrz na nie i zrozumiej słowa moje. — Oto prawdziwy Aleksian, oto wróg twój mściwy, rozciągnięty u nóg twoich, ale nadymający się dniem i nocą by obalić ciebie. — Jeśli go nie ubieżysz, biada ci nieszczęśliwe dziecię w ramionach Olbrzyma (chwyta go za rękę). Wznieć silną wolę w sobie — ten świat, który ci wskazuję, wyzwij do boju! Stań się! czem kilku było na ziemi: Niszczycielem — a te gmachy pijane życiem tysiąców, te wille rozigrane w promieniach słońca, te trofea, te wszystkie pamiątki i roskosze ludzi oddamy w puściznie po ludziach skorpionom i wężom!

HELIOGABAL.

Teraz przejrzałem! Nie raz to samo czułem, pragnąłem. — Ha! jaka chwała dla Mitry, kiedy Jowisz kapitoliński piasek gryźć będzie — ale czyje ramię podejmie się czynu! kto powstanie na święty zamek i na wieczne miasto?

IRYDION.

Syn kapłanki i Amfilocha greka.

HELIOGABAL.

Czy myślisz, że jaki żołnierz pójdzie za tobą lub za mną w tak ostatecznej chwili? A senatory, a rycerze, a lud wreszcie cały! — Bój się nieśmiertelnych — co tobie się stało, co ty zamyślasz Irydionie!

IRYDION.

Z natchnienia Bogów Cezara ocalić!

HELIOGABAL.

Strach mnie ogarnia — Geniusz miasta zwyciężył wszystkich, jażbym się miał targnąć na niego!

IRYDION.

Żyj więc w trwodze, dopóki nie skonasz w mękach.

HELIOGABAL.

Dopełnij zlecenia Bogów potężny śmiertelniku — purpurą

cię obłóczę — zdejmę sandały z nóg własnych i do twoich je przywiążę, jedno bądź mi ku pomocy, nie opuszczaj mnie, wybaw mnie od śmierci!

IRYDION.

Zbawić cię tylko mogę rozpędzeniem Senatu, wycięciem Pretorjanów i przeniesienim stolicy!

HELIOGABAL.

Senat rozegnać, to jeszcze, to jeszcze potrafim — ale reszty dokonać?

IRYDION.

Dawniej Katilinie, późniejszemi laty Neronowi nie brakło na pożarnikach. — Łatwiej rozrzucić w perzynę to co żyje dzisiaj, niż zbudować w głazy to, co ma żyć jutro. — Zresztą ci, co się zostaną na zgliszczach, zwać się jeszcze będą Rzymianami. — Długo jeszcze kilka pałaców rozpadłych na chaty, zwać się będą Rzymem. — Zostawić zgrzybiałym dzieciom to imię drogie — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach. — Cezarze! w dniu wielkiego morderstwa ja sam ludzi ci dostawię i stanę przy boku twoim!

HELIOGABAL.

Zkąd — jakich — gdzie oni?

IRYDION.

Nie tobie jednemu Rzym wszystkie dni życia powlekł śmiertelnemi ciemności. — A niewolnicy, a Gladjatorowie, a barbarzyńcy, a wyznawcy proroka nazareńskiego? Ty na czele, oni w ostatnich ciągną szeregach, ale ich i ciebie zarówno geniusz Romy przenaczył boleśnemu życiu i haniebnej śmierci! Zbijmy więc ich nędze w jeden podrzut zemsty, na jedną chwilę tylko — a panowie amfiteatru, a żołnierze pretorjum, nie dotrzymają kroku tylu zgłodniałym, namiętnym i wściekłym!

HELIOGABAL.

Dobrze — dobrze — o potem czyż oni nas samych nie pożrą — gdzie się podzieć wśród takiego zgiełku! Kto skróci ich zuchwałość, czem pragnienie krwi zgasimy w ich piersiach?

IRYDION.

W pierwszych dniach zemsta i chciwość upiją się krwią i złotem wśród pożaru miasta. — Następnie ich ramiona i chęci związane tylko wspólną nienawiścią Rzymu, rozprzęgną się i każdy wróci do przesądów wiary swojej, lub do zwyczajów swojego narodu. — Wtedy już rozdzielonych i osłabłych na wschód pociągniem za sobą, obietnicami lepszej jeszcze roskoszy. — Tam wymrą od skwarów nieznośnego słońca, wymrą od zbytków, na które się rozpaszą obyczajem zwycięzców i dzikich — a reszta rozpłynie się i wyschnie wśród ludów, które cię kochają i Boga twego wyznają. — Naprzód więc bez trwogi, ale w milczeniu śmierci — inaczej nigdy nie dorwiemy się życia!

HELIOGABAL.

Io triumphe! Tyś z Prometeuszem razem chodził po ogień do niebieskich progów — (klaszcze w dłonie). O gdybym nową świątynię zbudował w Efezie — o gdybym żyć mógł wśród wieszczbiarzy moich!

IRYDION.

Młode państwo założysz na miejscach, w których wziąłeś życie — wolny od bezsennych nocy, razem Arcykapłan i Cezar, podobny starożytnym Pół-bogom Nilu, słodkie dni pędzić będziesz wśród dymów aloesu i mirry, wśród tonów cytary i fletu. — Gdzie spojrzysz tam czołgać się będą niewolniki ciche i stopę wegniesz w ich karki czarne. — Co zażądasz stanie się twojem — co każesz ludziom zapomnieć, zapomną — co każesz pamiętać, zapamiętają — wielkie imiona przeszłości zgasną w obliczu twojego — a nie będzie już wtedy senatora lub prawnika, coby marząc o Rzeczypospolitej, śmiał przedrzeźniać twoją Mitrę chaldejską, natrząsać się z obwisłych rękawów wchodniej szaty twojej!

HELIOGABAL.

Przemierzłe Kwiryty! niby ich stara toga, ich fibule, ich tuniki, piękniejsze! Mitro słuchaj mojej przysięgi — obym nigdy do twoich promieni się nie dostał, oby genjusze nocy członki moje rozerwali, jeśli wszystkich Bogów Rzymu spętanych w łańcuchy, nie rzucę przed twoje ołtarze. —

Synu Amfilocha, co radzisz, uważam za dobre i pożyteczne — przez Baala i Astara ta zburzymy to miasto — radź dalej tylko!

IRYDION.

Każ potajemnie skarby twoje wywieść do Efezy. — Zbawiaj lud igrzyskami, pretorjanów hojnemi datkami — a tymczasem ściągaj do miasta z legji Vindelickich zaciężne Goty, z nadreńskich zaciężne Cheruski — w miarę jak będą przybywać ja zapoznam się z nimi — matka nauczyła mnie dzikiej mowy północnych!

HELIOGABAL.

Zapominasz o włoskich legjach stojących w Efezie, w Tarsus, w Pergamie, w Milecie. —

IRYDION,

Wyszlij gońca do pretora Variusa by je zgromadził i najśpieszniejszym pochodem udał się na Partów. — Zajętych nad Kaspią przykremi utarczki, dojdzie wieść o tem co się stało w Rzymie — wtedy jednych złowi nieprzyjaciel, drudzy się rozsypią, inni przybiegną połączyć się z nami i żyć z łask dworu twojego.

HELIOGABAL.

Bitne to kohorty — pomyśl jeszcze — może niebezpiecznie?

IRYDION.

Nie lękaj się nikogo po zniszczeniu Romy. — Bezkarnie deptać można po ciele z którego wyleciała dusza — a my samą duszę państwa, duszę świata wydrzem i zabijem!

HELIOGABAL.

A gdyby nas Aleksian uprzedził tymczasem? Zamiejskie pretorjany szemrzą coraz bardziej i piosnki nucą o jego odwadze. — Ulpian senat przyciągnie. — Obudzą mnie w nocy, przerżną mi gardło — —

IRYDION.

Ty wprzódy wyrzeczesz nad nimi — Salve Eternum. — — Tylko Eutychianowi nie zwierzaj się z niczem — przybierz zimną i spokojną postać — odwiedź Aleksiana i Mammeę — a kiedy z nimi będziesz rozmawiał, niech słowa słodkiemi, niech spojrzenia twoje spokojnemi będą. — Uwierzą li czy nie, zawżdy to ich wstrzyma na czas jakiś od stanowczego działania. —

HELIOGABAL.

Uśmiechnijcie się Bogi! Mitro, rozjaśnij zasępione czoło! — Venero, matko lubieżności, połóż się na modrych falach, lecącemi otoczona syny! Bachusie, pij zdrowie Heliogabala! Dajcie róż i Falernu. — Chodź najmilszy z ludzi — rozciągniem się na purpurze — pić będziem i chwalić Bogów za to że wróg nasz zginie! (Skacze mu na piersi). Ten pocałunek weź od Cezara — nieprawdaż — wonne usta moje i gładkie czoło wzorem najśliczniejszej dziewicy? — Chodź: — Ja i Elsinoe panować będziem na Syryjskich wybrzeżach, tam gdzie święte gwiazdy rozmawiają z ludźmi o losach przyszłości.

(Wychodzą.)

Ogród Cezarów na palatyńskim wzgórzu. — Pod posągiem Diany.

ELSINOE I IRYDION.

ELSINOE.

Dalej iść nie sposób, za długo by mi wracać było. — Lecz ty nie opuszczaj mnie jeszcze. —

IRYDION.

Śpieszno mi także — ostatnia czerwień słonecznych promieni już umiera na szczytach Amfiteatru; a nim wrócę do siebie, muszę zamiejskich pretorjanów odwiedzić. —

ELSINOE.

Nie proszę o długie godziny — błagam o jedną chwilę tylko (kładzie głowę na podstawie posągu). Spojrzyj na twarz niepokalanej — patrz, obwiała ją tunika zmierzchu. — O jabym mogła była kochać jak ona, kiedy wśród cichej nocy oparta na łuku złotym, spuszczała się przez fale błękitu, by marzyć nad sennym Eudymionem! — A teraz pójdź, zapytaj się ludzi na co wyszła siostra twoja? — Między Pappeą i Messaliną, odpowiedzą ci, postawiono jej ołtarze. —

IRYDION.

Kto się poświęcił dla dobra ludzi powinien o ich sądzie zapomnieć. — Czy wiesz kto jest Bogiem Nazarenów? Ten

co dla zbawienia braci sam przystał na hańbę Krzyża! — O Elsinoe i nam podobne dostały się losy!

ELSINOE.

Ty już cudze wiary przejmujesz! szukasz pociechy u tych którymi pogardzili ludzie! Ale ty znasz Aleksandra, wiesz jak go wychowała Mammea, słyszałeś o nim przepowiednie starców, że zrówna kiedyś boskiemu Aureliuszowi! — Wczoraj w przysionku Dejaniry napotkałam jego. — Zatrzymał się i spojrzał — pierwszy wzrok był niepewny, drżący — drugi już mocniejszy, wyrazistszy — wreszcie odwrócił się w milczeniu pogardy.

IRYDION.

On i wszyscy żyjący w tem mieście przeznaczeni zgubie. —

ELSINOE.

Precz, precz, ja nie żądałam zemsty — odwołaj, odwołaj!

IRYDION.

Biedna, uspokój się. — Nieszczęśliwa, jakże ci teraz — w nagłej bladości zdałaś się omdlewać przed chwilą?

ELSINOE.

Lepiej mi, lepiej — daruj — nie do takich żalów powołały mnie Bogi — idź — ja wrócę kędy mnie furje czekają — ja pójdę stopy wikłać z gadem co nieustannie pląsa na około. Tam zawczesna starość w nagrodę upodlenia i męki — tam konwulsja wstrętu — ale cicho, cicho — ty nie znasz tajemnic dziewiczego łona!

IRYDION.

Ach! ty coś niedawno płonęła życiem tak promiennem, nimfo ruchu i piękności, gdzieżeś się podziała? Tę łzę co spływa po twarzy mojej wydałem dla ciebie. — Lecz teraz oddal się — pamiętaj na wyroki Odyna i dotrwaj do końca.

ELSINOE.

O bracie!

IRYDION.

Pogardzonemu szałów przysparzaj, doniszczaj rozum Jego i życie — Vale!

ELSINOE.

Niechaj cienie Amfilocha i Grimhildy będą na około ciebie — — Vale!

Sala Amfilocha w nocy — IRYDION wchodzi z MASINISSĄ — za nimi przełożony niewolników.

IRYDION.

Czegoś chciał Piladzie?

PILADES.

Ani słowa nie przemówił — jedno zasiadł i postanowił czekać na ciebie. — Myśmy zwykłym obyczajem domu twojego, dali mu chleba, mięsa i wina. —

IRYDION.

Niech wejdzie. —

(Wychodzi Pilades.)

MASYNISSA.

Strzeż się tego człowieka. —

IRYDION.

Czemu?

MASYNISSA.

Ten człowiek przychodzi cię zabić — masz!

(Miecz mu podaje.)

IRYDION.

Jeśli prawdziwe twoje przeczucie, szkoda tej kartagskiej stali. — Tym pucharem z którego pijał Amfiloch roztrzaskam mu głowę (wchodzi Gladiator.) Czego chcesz niewolniku?

GLADIATOR.

Przez chwilę być sam na sam z tobą. —

IRYDION.

To mój powiernik — mów śmiało przed nim. —

GLADIATOR.

Pan rzekł do mnie! — Miasto darcia się z tygrysem, zamorduj Greka a będziesz wolnym. — Lecz ten który mnie przysłał, sto razy gorszym jest od ciebie (rzuca sztylet na posadzkę). Niechaj przepadnie niewola! —

IRYDION.

Kto cię przysłał?

GLADIATOR.

Człowiek nowy, podlec i tchórz, okrutnik i lichwiarz. —

IRYDION.

Ha! to pewno Rzymianin!

GLADIATOR.

Zgadłeś — Actius Rupilius. —

IRYDION.

Nadworny błazen nadwornego błazna — (kładąc puchar.) Wiedziałem o tem — patrz — czaszka twoja rozpaść się miała na odciski tej rzeźby korynckiej!

GLADIATOR.

O synu Amfilocha nie przeląkłem się ciebie. — Roślejszym i dzikszym parłem stopą piersi na piasku Areny — ale głodny byłem — jeść mi dali w pałacu twoim — spragniony byłem — dali mi wina w pałacu twoim — czekając na ciebie, słyszałem braci Gladjatorów, którzy imię twoje błogosławili. — Teraz bądź zdrów, ja zginę jutro pod kłami tygrysa. —

IRYDION.

Nie — ty żyć będziesz i zemścisz się niewoli twojej na panach twoich. — Ho! Pilades!

(Pilades wchodzi.)

Sto sesterców wydać temu człowiekowi i tunikę i pierścień żelazny jaki noszą domownicy moi. — Imię twoje?

GLADIATOR.

Za dni dzisiejszych zowią mnie Sporusem.

IRYDION.

W mowie twojej prostej coś dumnego się odzywa. — Ostatek jakiejś przeszłości żyje w tobie, jak promień lampy wymykający się ze szpary sarkofagu. — Jeszcze raz pytam się o imię twoje?

GLADIATOR.

Niegdyś przodków moich na wzór Jowiszów czcił lud i senat rzymski — ale to przeszło. — Imię moje: Lucius Tiberius Scipio!

IRYDION.

Marzysz niewolniku — ród ten wygasł już oddawna. —

GLADIATOR.

Ale tylko w pamięci ziomków — ostatniemu z naszych, o którym świat wiedział, Nero zabrał żonę, pałac w Rzymie,

imiona w Italji, Sycylji i Afryce — i posłał go na wygnanie do Chersonezu — syn jego po latach wielu wrócił do miasta o żebranym chlebie — odtąd jesteśmy nędzarze, a ojciec mój już był Gladiatorem!

IRYDION.

I nikt was nie poratował w Rzymie?

GLADIATOR.

Kto miał wspomódz starego Patrycjusza? Czy prawnuki naszych Liktorów, dziś bogate Pany? Czy Imperator, wróg przeszłości, morderca pamiątek? Ojciec mój hakami wywleczony z Amfiteatru, skonał w spoliarium przeklinając Bogów. — O! niech przepadnie miasto które opuściło wnuki swoich konsulów (podnosi sztylet.) Jedno słowo tylko, a pójdę Rupiliusa, tego dzisiejszego Rzymianina zabić!

IRYDION.

Śmierć jednego jest szałem dziecka, tam gdzie trza śmierci tysiąców. — Zachowaj się na szersze pole, do lepszego dzieła.

GLADIATOR.

Jeśli dzień taki lub owaki bliski, w którym można będzie mścić się i łupić, to ci przywiodę Verresa, Kassiusza, Sullę — wszyscy z dawnych jako ja, i wszyscy w nędzy!

IRYDION.

Każdy z nich znajdzie schronienie pod temi filary — na teraz dom mój niechaj będzie naszym. Vale.

MASYNISSA.

Idź, żądaj zemsty sercem całem, a losy ci jej nie odmówią. —

(Gladiator wychodzi.)

IRYDION.

Wygrywam starcze, wygrywam! Ah! Triumfatory dawne, coście braci moich spętanych w łańcuchy wiedli obok królów w kajdanach, zburzyciele Kartagi, Koryntu, Syrakusy, patrzcie! — Ostatni Scipio stał się sługą i Greka narzędziem — przyszedł żebrać u niego i jadła i mordów! — Ach! doczekałem się upadku przeklętych i dumnych — Masynisso! tym kieliche pijm zdrowie Scipionów!

(Nalewa mu i daje.)

MASYNISSA.

Długiego powodzenia rodowi Scypionów!

(Oddaje w ręce Irydiona)

IRYDION (pije i rzuca puhar).

A jako ten kamień drogi, niechaj pryśnie pycha Romy!

MASYNISSA.

Pochłaniamy stopniami cudze wole i siły — rośniemy Sygurdzie, ale dopóki Nazaret nie wrócony na naszą wiarę, dopóty nie zdołamy walczyć wstępnym i zwycięzkim bojem!

IRYDION.

Starzec — Bóg, przed którym oni zginają kolana i myśli, ku czarnym sklepieniom długo trzymał wzniesione ramiona, wzywał ducha i wpoił tego ducha w skronie moje rękoma drżącemi, z których sączyła się woda tajemnicy — grono bladych wynędzniałych braci śpiewało, powtarzając imię moje nowe: — Hieronim, Hieronim — a ich głos ciągnął się jak pogrzeb nadpowietrzny, niewidomy — w tej pieśni jednak były słowa nadziei!

MASYNISSA.

I znamię ich zawiesiłeś na piersiach?

IRYDION.

Zawiesiłem. —

MASYNISSA.

Przycisnąłeś do ust w pokorze?

IRYDION.

Przycisnąłem. —

MASYNISSA.

Dobrze — teraz ich serca się rozdzielą! —

IRYDION.

Już zaczęły się mięszać — w starych, w tych, którzy odbyli męczeństwo, i niebo jak twierdzą roztwarte nad sobą widzieli, naprożno chciałem rozniecić iskrę zapału — odpowiadali mi zawsze te same słowa — jak strumień co zawsze o jedne rozbija się zwiry: — Przebaczenie — Zapomnienie — Miłość zabójcom. — Ale młodsi, świeżo namaszczone żołnierze, niewolniki, barbarzyńcy, pielgrzymy, co odwiedzili pustynie Egiptu, coś dzielniejszego czują. — Ich wzrok się płomieni na

wzmiankę obelg i męczarni. — Ich serca przynajmniej czegoś pragną na świecie. — Zrazu błogosławią złemu co ich gniecie, ale wreszcie, kiedy krew zagra im po żyłach, chcącym niechcącym wyrywam przekleństwo. —

MASYNISSA.

Na to, byś wcielił królestwo nie tej ziemi w namiętności ziemi, trza ci niewiasty. — Oni ubóstwili córę dziecińswa i wczesnej starości; z łupów cielesnych roskoszy wydumali parę tajemniczą; oni przed niewolnicą męża schylili czoła. — Z tylu dziewic które tam więdnieją w modlitwach i postach, jedną wybierz i rzuć im po nad dusze. — Uczyń ją zwierciadłem myśli twoich — niech je odbija i ciska na okół bez pojęcia, bez czucia — ale siłą co w piersiach męża góruje porwana i zniszczona!

IRYDION.

Znam jednę — wszyscy darzą ją imieniem błogosłowionej i świętej przed czasem, a ona lubi mi rozpowiadać niebiosa. —

MASYNISSA.

Tknąłem i odbrzękła mi struna — nieprawdaż, oko jej czarne jak węgiel, błyszczące jak żary — ród Metallów kończy się na niej? —

IRYDION,

Wiesz — po co się pytasz?

MASYNISSA.

Pamiętaj chwalić jej Boga, każdą ranę Jego chwalić, z każdym gwoździem, co przebił Jego, żałośnie się pieścić. — Ona się kocha w tem ciele rozkrzyżowanem, w tych rysach, które sobie wymarzyła pięknemi, gasnącemi w zwycięstwie miłości. — Ona ich nie widziała, kiedy konały ze wstrętem bolu, w milczeniu osłabienia, zmazane krwią, z wichrem gwiżdżącym wśród włosów! — Słuchaj, przeprowadź Jej myśl od niego do siebie — on daleki, on był kiedy na ziemi, on nie wróci nigdy. — Ty żyjesz i jesteś przy niej. — Ty będziesz Jej Bogiem! Alma Venus i Eros sprzyjajcie!

IRYDION.

Ah! kto zbada tajnie jej bytu, kto schwyci źródła jej życia? — Ona żyje ciemnościami w tych puszczach podziem-

nych, widoma i niepojęta, nacechowana boleścią i z niej wyłudzająca urodę. — Sam Fidiasz by jej kształtów wszechmocnem nie zatrzymał dłutem — ona całą piękność swoją uniesie z sobą razem w ostatniem westchnieniu! Przeciwko niej ja słaby jestem!

MASYNISSA.

Czego się wahasz i wątpisz? ona twoją być musi — nie dla marnej roskoszy, ale że rozum mój, że dzieło nasze żąda jej zguby, jak zapytanie odpowiedzi i dźwięk dźwięku następnego. Kiedy jej głowa opadnie na łono twoje, kiedy pierś jej zadrży, jak pierś każdej niewolnicy i dusza niebieska zapomni siebie samej w ciała pożarach — wtedy w katakombach znajdziesz wiernych służalców, o synu! — wtedy duch mój będzie z tobą i zemsta stanie się ciałem.

(Odchodzi.)

IRYDION.

Masynisso!

MASYNISSA.

Czego żądasz?

IRYDION.

Błagam cię — powiedz mi, jak przyjaciel — nie — daj wyrok, jak sędzia — od czasu, w którym śmiałem się dziecinnie, w którym niewiadomie, wesoło trącałem o krzywdy i hańbę pokolenia mego, aż po dziś dzień, każde słowo, sprawę, wszystkie chęci moje odwołaj, przelicz — rozumiesz?

MASYNISSA.

Czemu wzrok twój tak zesmętniał i głos twój taki rozdarty zbłąkany?

IRYDION.

Wszak co świętem i lubem było dla drugich, było zawsze świętokradztwem dla mnie? Wszak dzikiej cnoty ślubowanej Furjom dochowałem wiernie? Dotąd nie ma na mnie ani skazy litości, ani plamy żalu?

MASYNISSA.

Ale też nie ma czynu, syna, ręki twojej. — Dopóki to dziecię w powiciu nicości, dopótyś sam jeszcze nieznany i słaby — w tym samym dniu, o tej samej chwili staniesz się ty przez dzieło twoje i dzieło twe przez ciebie samego!

IRYDION.

Ah! w tych piersiach coś niepotrzebnego zostawiły Bogi! — czuję jad, co podchodzi mi skronie i do ócz się tłoczy. — Niewiasty ten jad nazywają łzami! — Powiedz! wszak ja kiedyś miałem być człowiekiem?

MASYNISSA.

I jesteś nim właśnie w tej chwili nikczemności. Ty nie wiesz, że każden z was zdołałby zostać Wszechmocnym myślą własną, nieubłaganą, zażartą — ale wróg przewidział i zawiesił w łonie waszem serce — bojaźń, ułudę, podłość, którą tulicie jak niewolniki, którzy przystali na hańbę. — Tem on was rozdwoił i rozrzucił nisko i daleko. — Tem on panuje na długo i żaden go nie strąci, choć każden mógł go strącić!

IRYDION.

O kim mówisz, kto mnie nędznym i nieszczęśliwym uczynił? Jednego tylko znam zabójcę wszystkich chwil moich. — Rzym się nazywa.

MASYNISSA.

Jest inny Rzym, który zaginąć nie może! On nie na siedmiu wzgórzach, on na gwiazd miljonach oparł stopy swoje! On nie ród ludzki, marny jeden, ale plemion Anielskich wielkich i urodziwych! krocie znękał. — Z was wszystkich on ma tylko błaznów, z nich męczenników i w każdej chwili jako wy w omamieniu chwalicie, oni w mądrości i piękności swojej o pomstę wołają!

IRYDION.

Co ty mi zwiastujesz, ty straszny, niezgłębiony?

MASYNISSA.

Walkę!

IRYDION.

Gdzie? Kiedy?

MASYNISSA.

Po zgonie Rzymu! — Wszędzie, kędy twój duch zdoła czuć i myśleć!

IRYDION.

Bez końca, bez końca więc? —

MASYNISSA.

Ja sam cię do niej powiodę — na padole obłąkanych wygrywaj tymczasem dzieje swoje zatrute przez wroga!

Przeciw Niemu i Jego służalcom obrócisz kiedyś czoło w pełności rozumu!

IRYDION.

A zwycięstwo, czy będzie zwycięstwo? Czy kiedy zdejmę tu, czy na jakiej gwiaździe ciężką zbroję moją? Czy kiedy opuszczę głowę bez oczekiwania, bez niebezpieczeństwa, wolny, ukochany, kochający, szczęśliwy?

MASYNISSA.

Nie pytaj się przed czasem! — Idź naprzód, panuj zwierzęciu w sobie, naucz się być samotnym na ziemi, jako on jest na szczytach świata; naucz się cierpieć jak cierpią duchy potężniejsze od ciebie. — Bo nim dojdziesz tego, na co wyrość możesz, ogień cię przetrawi razy tysiąc, konanie cię przetworzy razy tysiąc, gniew Jego cię odepchnie razy tysiąc. — Będziesz jak fala rzucana pod obłoki i strącona w przepaście — tylko że ona martwa, ślepa, głucha, a w tobie nieśmiertelne czucie!

IRYDION.

Jaki bądź nieprzyjaciel mój, przed nim nie uniżę ducha — noc późna — wrócisz jutro rano — jutro pomówimy jeszcze. — Idź teraz — — Prawda, prawda! nie miałem litości nad siostrą, miałżebym tej nieznanej żałować?

MASYNISSA.

Pamiętaj na słowa moje: bo miną kiedyś narody tej ziemi, ale mój rozum nie przeminie.

(Odchodzi.)

IRYDION (zrzucając chlamydę).

Idź — ty mi ciężysz — (rzuca pierścień) precz — ty mnie palisz — chciałbym włosy zmieść ze skroni — one mną nie są — one dolegają mi. — Gdzie Ja? Irydionie pokaż mi się! Męczarnio, co żyjesz w głębi łona tego, wynijdź — kto ty jesteś, niech ujrzę, raz niech się dowiem! (zdejmuje sztylet z nad tarczy.) Powiedz mi ogniku nocny, modra klingo, czy ty zdołasz wyssać mnie z piersi moich? — ale słyszysz, na zawsze! — Nie, nie, tyś także złudzeniem! — Katon gdzieś się obudził i tam już inny Cezar stał nad nim, trząsając mieczem i kajdany! (rzuca sztylet i depce.) Kłamco, coś zwiódł tyle dusz cierpiących marną obietnicą nicości — ja urągam się tobie — ja czy tu, czy tam niewolnik! Ja nie spocznę nigdzie — leż w kurzawie żmijo

fałszu. (obciera czoło) Nieznośnie temu, który zaginąć nie zdoła — który kona wiecznie a nie skona nigdy! (stąpa po sali.) Jaka pustynia milczenia i spoczynku. — Jeden ją zalegam nieuśpioną myślą. — Noc mi wieniec z gorączek i trosków na czole złożyła. — Dzięki wam za taką purpurę Bogi piekielne! (staje przy posągu.) Ojcze! kiedy spojrzę na rysy twoje, zda mi się, że słysze obietnicę świętą. — Nieszczęśliwa Hellado! ty mnie przyciśniesz do łona. — Triumfator pędzi — u kół rydwanu Jego skrępowane Rzymiany — ich czoła pękają za osi gorejących obrotem! Ha! nie dbam o męki nieskończone, byleby dzień ten, jeden dzień taki, czoło mi w laury okwiecił! (klęka.) Ale czyż i ją mam zgładzić także? Ojcze daruj jej — ona nie cierpi, jak my wszyscy, bo ma swoją wiarę i przyszłość nieskończoną. — Dumnych mordować — nędznych tysiące zepchnąć do Erebu, skazaną dobić. — Ah! to w losach moich wyrytem było — ale szczęśliwą znieważyć, ale ufającą oderwać od nadziei, ale promienną zniszczyć! (porywa się.) Syn Amfilocha gnany jędzami jak niegdyś Orestes — (Lampę bierse.) Idźmy zasnąć — błogosławieństwo Larów nad tym domem spoczywa. — — To miasto, to ojczyzna — błogo w niem i lubo — gwiazda pomyślności, znać, świeciła nad kolebką naszą!

(Wychodzi.)

CZĘŚĆ DRUGA.

Katakomby — w środku ciemnicy zawieszona lampa. — Dwa sarkofagi w głębi — od każdego rozchodzą się ulice ginące w oddali. — Ściany zasute nadgrobkami ułożonemi w piętra. Biskup VIKTOR — ALEKSANDER SEVERUS w żołnierskim płaszczu z zasuniętym kapturem.

VIKTOR.

Wieki co przeszły, były dziecinnemi czasami ludzkości. — Im bardziej stworzenie zbliżać się będzie do Stwórcy, tem żarliwszą miłością goreć będzie ku niemu i braciom swoim. — Miecza nikt nie znajdzie na ziemi, ani ręki kata, a ten błogosławiony już dzisiaj, kto uwierzył w przyszłość takową i stał się jej przyśpieszycielem!

ALEKSANDER.

O gdybym mógł w dniu jednym dzieło sprawiedliwości, obietnicę ust twoich ziemi objawić!

VIKTOR.

Synu, nie spodziewaj się tego snu domarzyć, bo każdemu dostała się jedna fala w nieskończoności — pęd jej słabszy lub silniejszy, ale ona płynie dni kilka tylko. — Żyj więc i przemień jak reszta braci twoich, ale działaj według światła zlanego na ciebie. — Stań się pocieszycielem, byś mógł kiedyś stać się wybranym na lewicy Chrystusa, i patrzeć jak inni natchnieni kończyć będą przez ciąg wieków co zacząłeś w pokorze i miłości ducha

ALEKSANDER.

O! niech błogosławieństwo twoje zleje się na głowę Aleksandra. — Cezar wkrótce nie zaprze się jego (schyla się), przygotuj ich do zmiany — przyzwyczaj ich do imienia mojego ojcze! — O to cię prosi Mammea. —

VIKTOR.

Jak ja ciebie w tej chwili, niech cię kiedyś cały lud twój pobłogosławi i pamięć twoją syny synów ludu twego. — Wstań pomazańcze Chrystusa!

ALEKSANDER.

Słyszę kroki czyjeś — ojcze, w godzinie walki bądź moim dobrym genjuszem! (wychodzi.).

(Przeciwnemi drzwiami wchodzi IRYDION w płaszczu Pretorjania).

VIKTOR.

Chwała Panu w niebiesiech! (Składa miecz, włócznię i zbroję u wejścia). Broń ziemskich gwałtów niech drzemie u progów mieszkań jego!

(Do Irydiona.)

Czekałem na ciebie Hjeronomie — sługi twoje dziś z rana przynieśli ciało brata ściętego pod mausoleum Cecylji Metelji. — Tam zgromadzeni wierni z ich rąk je odebrali — pogrzeb jego przejdzie tędy za chwilę. — Dzięki ci synu!

IRYDION.

Uczyniłem powinność moją. — Teraz przybywam od przysionka Cezarów — na pobladłych rysach dworzan myśl strachu się zataczała — pretorjanie zamiejscy burzyć się zaczynają przeciwko Imperatorowi. —

VIKTOR.

Powierzchnia ziemi odmienia się w swoich pychach jak barwy morza za lada powiewem — ale to nie powinno mięszać spokojności grobów! — Módlmy się w cieniu palmy męczeńskiej zerwanej przez Atanadora!

IRYDION.

Ojcze dozwól słów kilka jeszcze. — Wszak w twojem ręku przyszłość nasza, wszak jednem skinieniem możesz tysiące nas rzucić na szalę, a gdzie one zaważą, tam będzie zwycięstwo!

VIKTOR.

W niewidzialnem królestwie walczyć mogę przeciw książęciu świata modłami i ofiarą, a jeśli wszyscy połączycie się ze mną w obliczu Pana, obiecuję wam zwycięstwo!

IRYDION.

Ja mówię teraz o bliższych zapasach, o prędszym tryumfie! Ojcze, cierpimy jak ludzie, spodziewamy się jak ludzie i posady nam ziemskiej potrzeba. — Dotąd potęga nienawistnych ściskała nas zewsząd tak, żeśmy woleli umierać niż kłaniać się rozpuście lub czcić kłamstwo na ziemi. Lecz dzisiaj to co gubi narody, stanęło u bram tego miasta — zgrzybiała starość i duma bez granic. — Heliogabal sił nie ma do utrzymania swoich, Aleksander do ustalenia nowych rządów, a resztę sił doniszczą w zbliżającem się starciu — pomiędzy nimi obudwoma czyż każdy co uwierzył w Chrystusa nie radby krzyż wyrwać z wnętrzności ziemi i zatknąć na forum romanum? — Ojcze, widzę chmurę zgrozy na czole twojem. — Daruj że pałam miłością ku braciom uciśnionym — daruj żem śmiał ci ogłosić, że nadeszła pora ugodzić w samo serce pogaństwa i Romy!

VIKTOR.

Z litością słuchałem słów twoich! Naprożno wodę chrztu wylałem na głowę twoją! Naprożno tłumaczyłem ci świat ducha. — Tyś go nie pojął, nie zrzuciłeś starego człowieka. Tyś w żelazie i ogniu położył nadzieję doczesnego zbawienia. — Ciężkie winy twoje! (słychać pieśni pogrzebowe.) Czy słyszysz te hymny płynące wśród grobów, jak ostatnie szumy burzy w której Jedyny skronie opuścił i skonał? — Czyż on wzywał na pomoc Aniołów, czyż on wołał o pomstę do Ojca?

IRYDION.

A więc nędza i poniżenie naszym działem na zawsze?

VIKTOR.

Mylisz się w hardości twojej, kiedy chwilę czasu nazywasz wiecznością? — Zaprawdę ci mówię, że w tych smętarzach śpią goście tylko — że nietylko na progach niebieskich ale i na płaszczyznach bolu, Miłość przemoże nareszcie. — Zaprawdę, zaprawdę, ludy pokłon jej oddadzą, i nie będzie Cezara któryby przed nią nie uderzył czołem. — Czy znasz tę postać? (Wskazuje rzeźbę na sarkofagu.)

IRYDION.

Lutnia Helleńska, ojców moich czworodźwięczne struny. — To Lykaoński Orfeusz!

VIKTOR.

Jako on podług waszych pamiątek, dzikie rozpieścił zwierzęta, tak Jezus dusze miljonów spoi brzmieniem żyjącego słowa. — Patrząc na tę lutnię ziemską, pojmij roje duchów pracujące nad światem i dźwięk u stóp krzyża poczęty, rozlegający się już pomiędzy narodami. — On żyje sobą samym i sił nie czerpie na ziemi! — (kreśli znak krzyża nad czołem.) Uwierz i nie grzesz więcej! — Ostrzegłem cię teraz, jak ojciec rozżalony błędami syna — później jeźli winę powtórzysz, napomnę cię jak pasterz trzody, ukaram jako sędzia ludu!

CHÓR W POBLIŻU.

Z głębi przepaści wołamy do ciebie Panie!
Duszę zamordowanego weź na łono twoje! —
Daj jej odpoczynek w chwale twojej! —
Ona odlatując przebaczyła katom! —

Wchodzi orszak; męczennik na marach, głowa ścięta na piersiach spoczywa — męże w czarnych sukniach z pochodniami — za nimi niewiasty w białych szatach.

VIKTOR.

Podajcie mi znak świadectwa i męki, święty na ziemi i niebie!

(Przynoszą mu Prochristum — bierze je i składa na piersiach umarlego.)

Własną krew twoją, wylaną za Syna człowieka, daję ci do trumny, byś z nią kiedyś zmartwychwstał w dzień sądu — (przyklęka i razem wszyscy).

Ty, coś kształt nieszczęśliwych przybrał, by nieszczęśliwych ocalić, złóż z nas złości nasze i wrzuć w głębokość morską wszystkie grzechy nasze — a temu który zaczął drugą pielgrzymkę — ostatnią, uiść się w prawdzie Twojej!

GŁOS DZIEWICY.

Daj mu ujrzeć święte oblicze Twoje!

INNY GŁOS.

Daj mu wiosnę, wiosnę, której nie miał na ziemi.

IRYDION.

A nas wybaw od pokusy zemsty. —

CHÓR.

Zemsty!

VIKTOR.

Szczęśliwi którzy umierają dla Pana. — Oni zwyciężyli przed czasem (wznosi ręce nad tłumem). Powstańcie i zanieście zwłoki do smętarza Faustyna (Staje na czele — przechodzą zwolna. — Irydion jeden tylko zostaje z tyłu — od orszaku niewiast oddziela się na wyjściu Kornelia Metella.).

KORNELIA.

Czemu nie łączysz się z nami?

IRYDION.

Tej nocy w innem miejscu być muszę. —

KORNELIA.

Gdzie Hjeronimie?

IRYDION.

Tam, gdziebyś drżała o zbawienie duszy, choć ztamtąd wznijdzie chwała ludu twego. —

KORNELIA.

Wiem że się coś strasznego na smętarzach gotuje. — Widziałam dzisiaj towarzysza twojego Symeona z Koryntu — przechodząc trącił mnie i nie obejrzał się i szedł dalej z lwią skórą na barkach, z okiem wbitem w próżnią przestrzeni — w tem oku bunt się palił i srogie natchnienie. — Oh! ja nieszczęśliwa!

IRYDION.

Czemu Kornelio? przecież sam Pasterz, Ojciec, Sędzia ludu, Viktor codzień powtarza, żeś pierwsza wśród sióstr twoich i że znak wybrania już spoczął na twojem czole. — Czegóż żądać więcej na ziemi?

KORNELIA.

Niezwykły to głos twój bracie?

IRYDION.

Zdaje się tobie.

KORNELIA.

Ah! czy ty ten sam, z którym klękłam na smętarzu Eufemji, którego uczyłam modlitwy mojej. — Hjeronimie czy to ty?

IRYDION.

Ja siostro. —

KORNELIA.

Modliłam się tyle, pokutowałam tak ciężko dni i nocy tyle!

IRYDION.

I zasiądziesz w niebiesiech. — Któżby wątpił Kornelio?

KORNELIA.

O nie za siebie — nie!

IRYDION.

Za kogóż?

KORNELIA.

Za jednego z braci moich. —

IRYDION.

Za jednego z braci (zbliża się do niej.)

KORNELIA.

Jaki ty straszny?

IRYDION.

Mów prawdę, mów imię jego, ktokolwiek jest, twoim będzie. — Śpiesz się tylko niewiasto. — Niedługie chwile nam zostały — czasu nie będzie potem na ślub przed krzyżem, a ja was obojgu połączyć chcę, odesłać gdzie daleko, byście żyli razem — szczęśliwie — na Tebaidzie — mówże. — Ha! ziemska miłość wstąpiła do duszy wybranej!

KORNELIA.

Szalejesz!

IRYDION.

Imię jego — tego jednego — tego brata.

KORNELIA.

Hjeronim! ale ten co był kiedyś, nie ten co tak dziko spogląda, co bez zmysłów stoi przedemną. — Apage — Apage! —

IRYDION.

Cicha, piękna, szczęśliwa, patrz! terazem spokojny jak wprzódy. —

KORNELIA.

Słodki jak niegdyś?

IRYDION.

Pokorny przed tobą. —

KORNELIA.

Przed Panem!

IRYDION.

U stóp twoich klęknę i będę powtarzał imię Chrystusa. —

KORNELIA.

Obiecaj że nie wmięszasz się do nich, że nie wdziejesz zbroi na gwałty świeckie i potępione!

IRYDION.

Biedna! ty nie wiesz co mówisz.

KORNELIA.

Nie chcesz?

IRYDION.

Ja sam ich powiodę. —

KORNELIA.

Biada mi!

IRYDION.

Czyś nie słyszała od wielu świętych że już blizkie czasy? Czy nie pamiętasz słów Jedynego, kiedy odchodząc przyrzekł swoim, że powróci i królować będzie? Czyż ulubieniec Jego na dzikiej Patmos nie powtarzał, że Babylon runie a sprawiedliwi na gruzach zasiędą?

KORNELIA.

Kiedyś, kiedyś, ale nie dzisiaj. —

IRYDION.

Dziś siostro lub nigdy!

KORNELIA.

Viktor wyklął Eugenesa, który tak myślał i mówił.

IRYDION.

Rzymianie ukrzyżowali Eudora, który tak myślał i mówił. —

KORNELIA.

Pójdź do Biskupa, wyspowiadaj się jemu, zapytaj się go jak posłuszne dziecię. —

IRYDION.

Ja dzieckiem tylko być zdołam przy tobie na chwilę znikomą, jak fala co nie wróci nigdy. — Za okręgiem twoich spojrzeń we krwi ja broczyć będę — trawa nie porośnie, gdzie mój koń przeleci!

KORNELIA.

Bluźnisz!

IRYDION.

Nie — ja przeczuwam tryumf Boga twego!

KORNELIA.

Czyż on takiego zwycięstwa nauczał? Czyż nie odpuścił wszystkim? Czyż słabych nie ubłogosławił dla ich słabości? Czyż niewiniątkom nie obiecał królestwa niebios, dla tego że drobne i ciche? —

IRYDION.

Taki był początek — ale dziś siostro słabi w sile wyrośli, niewiniątka stali się mężami!

KORNELIA.

Miłosierdzia, miłosierdzia wołam nad nim o Panie! Ty mu nie dasz przepaść w oczach moich. — Ah! co ja mówię? gdzie jestem? Wszak ślubowałam ci Panie całe serce moje. — Jakże tu ponuro — pierwszy raz strach umarłych mnie napada — kto tu jest z nami?

(Obziera się.)

IRYDION.

Oprzyj się na mnie!

KORNELIA.

Tak, tak, ty się nie odejmiesz mojej potędze. — Łaska uwiośni twą duszę. — Ja wiem żem się urodziła, żeby ciebie zbawić!

IRYDION.

Ani ty, ani nikt na ziemi, nie wydrze z piersi moich pragnienia które je rozdziera. — Gdyby sam Bóg nie wołał na nas, gdyby pomoc świętych nam obiecaną nie była, sam jeden jeszczebym dzieło rozpoczął. — Ostatni raz może mówię do ciebie. — Znasz dzieje matki mojej, ale ukryte przed tobą wielkie myśli ojca mego. — Pij kroplami ze mnie gorycz która mnie pożera. — Słuchaj!

KORNELIA.

Ty ostatni raz — ty do mnie mówisz!

IRYDION.

Słuchaj!

(Siada u stóp Sarkofagu — ona wyżej opiera się na tym samym grobie.)

W trzynastą rocznicę śmierci Grimhildy on nagle zawołał mnie do siebie zrana. — Już od dni kilka bladość złowieszcza kaziła mu lica. «Synu, rzekł, niech zastawią biesiadę w sali Delfickiego Apolina. — Ostatni raz dzisiaj położym się u jednego stołu. — Bóg matki twojej mnie ściga; nim wejdzie jutrzejsze słońce opuszczę tę ziemię.» — Strach mnie ogarnął. — Szedłem jego wypełnić rozkazy. — On dzień cały strawił ze Starcem Maurytańskich pustyń. — Głosy ich rozchodziły się jak ostatni szczęk dogorywającej bitwy — stało się cicho — wyszli oba i stąpali ku sali Festynów!

KORNELIA.

Dreszcz jak łuska gadu przesuwa się po mnie!

IRYDION.

Siostrę moją przycisnął do łona i odpychał potem zwolna i rzekł: «Co brat ci rozkaże czynić będziesz dla miłości mojej.» — Do płaczącej słowa już więcej nie przemówił, ale kilka kropel wina rozlał w ofierze i legł, i mirtami uwieńczonym puharem pił zdrowie wielkich mężów. — Wyzwoleniec czytał mu Fedona — stu niewolnikom wejść kazał i darował im wolność, a kiedy mu dziękowali: «Jako wasze pęta skruszyłem, pamiętajcie drugim, o ile wam sił stanie, zrywać łańcuchy. — Czyńcie kiedyś co wam mój syn powie! — I wstał pogodny jak wieczór, co zwolna nocą się obwija, a jeszcze purpury słońca nie zatracił!

(Chwila milczenia.)

Wtedy w najdalszej komnacie pałacu zaczęła się ta noc ostatnia, w której zawiązały się losy moje. — W około nas jaśniały płomienie trójnogów. — Masynissa rzucał w nie kadzidła — głowa Amfilocha leżała na łonie przyjaciela i stopniami schodziło z niej życie — ale powaga zawsze była jedna, niezachwiana. — Żal przerwanych zamysłów w głębi ducha leżał spętany. — Boleść nadaremno się wysilała. — Jedynym jej znakiem była wzgarda na ustach — on umierał tak jak żyją Bogi!

KORNELIA.

Widzę, widzę go — ale gdzie anioł stróż Jego w tej chwili?

IRYDION.

W tej chwili on tworzył przyszłość, której niegdyś pragnął dla siebie, którą teraz mnie zapisywał. — «Nie uchylisz czoła, nie stracisz wiary w złej godzinie — dobrej nie przebaczysz, nie zaprzestaniesz, ale przejdziesz po zwłokach zrzuconego, by stojących obalać. — Nie miej smutku ani słabości, bo jako księżyc na niebie tak dzieje narodów na ziemi wzrastają by maleć. — Dziś Roma u stóp widnokręgu, blizko nizin śmierci.» — Tak nauczał, a z milczenia nocy stopniami budziło się życie, a co chwila Bóg mściciel bardziej ciężał nad nim!

Wreszcie przysiągłem przed jego świętem obliczem. — On dłoń trzymał na czole mojem — przysiągłem roskoszy nie mieć — przywiązania nie znać — litości nie słuchać — ale żyć by niszczyć, dopóki duch mój się z ojca duchem nie połączy!

KORNELIA.

Przebacz mu Panie, on nie wie co mówi!

IRYDION.

Masynissa krew dymiącą wylał z czary na głowę moją i na rękę Jego i pierwszy promień zorzy błysnął na łożu umierającego. — «Helado moja!» zawołał głosem miłości i spojrzał jak Tryumfator ubóstwiony zwycięstwem! W tem natchnieniu ustało Jego ziemskie życie. — Kornelio! zemsta dobrem mojem — w zemście żyć muszę i skonać!

KORNELIA.

Na kim ty ją chcesz wywrzeć. — Hjerominie kto jemu, kto tobie przewinił?

IRYDION.

Ci, którzy was przymusili błądzić, zkąd uciekają żyjący po złożeniu umarłych! Ci, którzy Boga twojego zelżyli razy tysiąc i co było w sercach ludzi boskiem, zdeptali na ziemi! — Czy ty wiesz przeszłość? — Tłumaczyć ci ją będę, jak Chrystus wracając z Emaus pismo nieświadomym. — Stało się pod wieczór świata — zwiędły kwiaty poranku, zgasły ognie młodości na Egejskich wybrzeżach. — Raz jeszcze na północy ozwał się głos wolnych — potem wszystko ucichło — wtedy powstał człowiek który rzekł: «Dawne chwały przywrócę a zniszczę tych co wszystko zniszczyli.» — Czy ty go potępiasz córo

chrześcian? — On chciał by cierpiący odrzucił więzy — by ślepy w niewoli przejrzał i poznał progi ojczyste — by głuchy i niemy przemówił rodzinną mową. — Czyż on nie zwiastował powtórnego przyjścia Boga twego? Jan niegdyś samotny, bezbronny, wołał na pustyni że nadchodzi syn człowieka, ale ten który umęczon będzie. — Ojciec mój poprzedził tego, który zwycięży. — Tego co królować będzie, tego o którym zwątpiłaś!

KORNELIA.

Ja?

IRYDION (chwytając ją za ramię).

Boś sądziła, że on tę ziemię zostawi na łup Rzymianom — ty myślałaś że on krwi waszej niesyty będzie!

KORNELIA.

Zgubiony — oh! Panie! a jednak ogień wiekuisty, ogień Cherubów w oczach mu jaśnieje!

IRYDION.

Uwierz. — Ty się nie domyślasz co mnie czeka jutro. — Uwierz — ja wodzem ludu twego. — Uwierz, a Jowisz z Kapitolu runie by nie powstać więcej (słychać kroki.) To Viktor, to niewierny! — Zostań. — Ja wrócę za chwilę (wchodzi w ciemne przejście).

KORNELIA (przyklęka).

Serce biedne, nie moje, nieznane serce, ty co bijesz tak rozdzierająco, módl się do Chrystusa. — Panie — Panie odpowiedz słudze twojej!

Od krzyża nigdym oczu nie spuściła ku śmiertelnym twarzom — a teraz o Panie dwoje ócz utkwiło mi w pamięci. — Jego oczy, jego Panie!

I jako prorok, i jako święty, i jako Archanioł on staje przedemną i mówi, a ja go słucham Panie! — i chciałabym skonać (głowę zniża między ręce). Zmiłuj się nademną!

VIKTOR (wchodzi z orszakiem).

«Ile razy zbierzecie się w imieniu mojem, będę z wami.» — Czemu nie usłuchałaś słów tych dzisiaj? — Ciebie i Symeona z Koryntu i innych wielu nie dojrzało oko moje. — Córko, zostaw ścieżki samotne nieprawym i odwróć się od nich, kiedy za grobami schyleni naradzają się chytrze.

KORNELIA.

Ojcze!

VIKTOR.

Czy przynajmniej modliłaś się tutaj w uczestnictwie nas wszystkich?

KORNELIA.

Modlę się Ojcze. —

VIKTOR.

Czy sama tu byłaś?

KORNELIA.

Ojcze! sama jestem. —

VIKTOR.

Drżysz jak światło gasnące — co tobie się stało, Metello?

KORNELIA.

Szukam Boga, Pana mego, i znaleźć go nie mogę. —

VIKTOR.

Największym świętym przydarzały się chwile niepewności. — Znać wtedy, że nieprzyjaciel w pobliżu. — Módl się więc i czuwaj, bo duch skory ale ciało słabe (wychodzi.)

KORNELIA.

Ojcze!

VIKTOR (odwracając się).

Co dziecię moje?

KORNELIA.

Czy już bliski poranek?

VIKTOR.

Dopiero noc się zaczęła.

KORNELIA.

A dzień Sądu czy bliski ojcze?

VIKTOR.

W każdej chwili Syn człowieka może nas powołać przed swoje oblicza. — Czy ty co przeczuwasz?

KORNELIA.

Nie — tylko słabo mi bardzo — tylko wiedzieć chciałam —

VIKTOR.

Dziś jeszcze w Eloimie ofiarę świętą odprawię za ciebie. —

Schorzała dusza twoja i ciało zmęczone pokutami — wstań, nie trwóż się, idź zasnąć córko. — (Wychodzi.)

KORNELIA.

Czemu nie zatrzymałam Biskupa — (Irydion wchodzi) słyszę stopy lekkie, stopy kusiciela (odwraca się). Ah! piękny, piękny jak Anioł! — Viktorze, Viktorze!

IRYDION,

Nie usłyszy ciebie. —

KORNELIA (obejmując Sarkofag ramionami).

Popioły świętych strzeżcie mnie tej nocy. —

IRYDION.

Czego się lękasz?

KORNELIA.

Czy nie widzisz jak ciemno, czy nie czujesz zimna — tak jak gdyby wszyscy umarli, a nas dwoje tylko zostało — potępionych dwoje. — Oni, reszta wszyscy w niebiesiech!

IRYDION.

Godzina, którą ci opowiedziałem za twarda na serce twoje!

KORNELIA.

Mylisz się. — Wzdychałam do palmy męczeńskiej, a miałabym drżeć przed zwycięstwem Pana mojego! nie — nie. — Tylko coś rozprzęgło się w duszy mojej, coś mi w głowie się usuwa, coś w sercu pęka Hjeronimie. —

IRYDION.

Niewiasta czynów nie potrzebuje, jedną cichą modlitwą zbawiona być może. — Jeżeli się nie poczuwa do mocy, niechaj idzie precz odemnie. — Tu rozdzielą się drogi nasze — będziesz spokojna jak wprzódy — obaczym się kiedyś, ale nie na ziemi. —

KORNELIA.

Prawdę wyrzekłeś — stopy unieście duszę daleko, daleko! (Usiluje powstać. — Irydion rękę jej podaje). Ah! przybiłeś mnie na nowo — nie mogę. —

IRYDION.

Biedna!

KORNELIA.

Coś nieśmiertelnego opasało mnie, niewidzialnych ramion dwoje!

IRYDION.

Ostatni raz mówię ci: uciekaj. —

KORNELIA.

Nie. — Dopókiś w błędzie śmiertelnym nie wyzionął ducha, dopótyś bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego.

IRYDION.

Świadczę się wami kości umarłych i tobą matko ziemio. — Chciałem ją, ją jedną ocalić! (przechadza się po ciemnicy). Tak ojciec mój niegdyś zabił duszę niewinną kapłanki. — Siła dzikiego Fatum zewsząd mnie opasuje. — (Zbliża się do niej). Kornelio, Kornelio!

KORNELIA.

Modlę się za ciebie, klęknij tu przy mnie, zbądź pychy, powtarzaj słowa moje. —

IRYDION.

Jutro, pojutrze zacznie się moja modlitwa — głośna. — Siostro — wśród jęków nieprzyjaciół!

GŁOS W POBLIŻU.

Hjeronimie do broni!

IRYDION.

Przybywam. —

KORNELIA.

To on — to Symeon! —

IRYDION.

A tam dalej tysiąc podobnych Jemu drży z niecierpliwości i czekają na mnie (zrywa jej velon) pryśnij obsłono duszy mojej! (porywa ją w objęcia). Usta, zostawcie na tem bladem czole obietnicę lepszego losu!

KORNELIA.

Ah! wraz z tobą na wieki potępiona jestem! (mdleje).

GŁOS.

Śpieszaj, śpieszaj!

IRYDION (biorąc hełm i oręż, potem wraca i nachyla się nad nią).

Nie, ty nie umarłaś! (przyciska ją do piersi). Obudź się na twardym pancerzu męża, obudź się Kornelio. Masynisso! bądź mi przeklętym, jeźli jej zguby nie odkupisz mi zwycięstwem!

KORNELIA.

Kto woła?

IRYDION.

Ten o którym powiedziano, że przyjdzie i pokona dumnych!

KORNELIA.

Widzę nareszcie, widzę ciebie. — Ty raczyłeś dotknąć się oblubienicy twojej. — Długo czekałam. —

IRYDION.

Podnieś głowę — rozedrzyj wzrokiem te sklepienia. Tam wybrani śpiewają Hymn tryumfu. — Zmartwychwstań!

KORNELIA.

O Panie! chwała bitew na około twarzy twojej — płoniesz cały blaskami żelaza. — Panie, gdzie rany twoje, niech je obleję łzami!

IRYDION (podnosi ją).

Jutro niewiasto spełnią się przepowiednie o Królestwie Krzyża.

KORNELIA.

O nie rozpraszaj się wśród ciemności — oni mówili że przyjdziesz, a teraz ty mnie nie weźmiesz z sobą. — Ty zapomnisz o służebnicy twojej!

IRYDION.

Biedna! powstań — nie płacz — nie rozpaczaj!

KORNELIA.

Daj mi zaginąć w chwale twojej! ja już umarłam o Panie!

IRYDION (porywa ją z ziemi).

Dni kilka jeszcze niewiasto. — Tymczasem wołaj na braci swoich: «do broni» (odchodzi).

KORNELIA.

Słyszycie ostatnie słowa jego. — On zstąpił drugi raz na ziemię i tą razą miecz w jego prawicy połyska. — Do broni! kości umarłych, żyjący kapłanie ludu boży, odpowiedźcie! On tak kazał. — Za mną: do broni, do broni! (ucieka).

Inna strona katakomb. — Symeon z Koryntu — obok krucifix, księga i trupia głowa.

SYMEON.

W dniu jednym świat posiąść, nie ten nędzny kędy błyszczy złoto i stęka żelazo, ale ten ogromny, ten świat dusz wszystkich i panować im w imieniu twojem o Boże! Ah! gdyby morze jasności, ta myśl przedemną rozciągnięta — ku niej płynę w potokach cierpienia i poniżenia coraz olbrzymiej rozpychając zasępione fale. — O Chrystusie! podbiję ci wszystko, co zowie się ciałem. — Tam w dole będą pustynie, skały, miasta, z tamtąd szumią wołania królów i kupców, a duch mój, odbicie twego na ziemi, zawieszony w górze, jednością potęgi ich ściska. — Każę im milczeć lub modlić się, drżeć lub radować się — myśleć lub zasnąć!

IRYDION (wchodząc).

Witam cię synu Hellady, po dwakroć bracie mój!

SYMEON.

Wreszcie nadeszłeś.

IRYDION.

Czas jeszcze —

SYMEON.

Czy widziałeś Viktora?

IRYDION.

To dziecię stare, które panuje nad nami. W nim słodycz jest słabością a słabość staje się uporem.

SYMEON.

Zaprawdę ci mówię że trzoda nie puści się na nieznane pole bez błogosławieństwa pasterza.

IRYDION.

Zwlekajmy do ostatniej chwili — wtedy nagle otoczym go rozpacznemi prośby. — Nieprzygotowanego strach ogarnie lub duch boży oświeci!

SYMEON.

Do stóp mu się rzucę — iskra co pryśnie od mojego serca, duszę mu rozerwie.

IRYDION.

Spi u niego głęboko dusza — twarz wyschła mu od cnoty — zresztą idźmy zawsze naprzód, nie oglądajmy się nigdy — w tem nasze zbawienie.

SYMEON.

Stanie się jako mówisz. — Czy słyszysz te pomięszane głosy, gromadzą się jak im przykazałem na pograniczu świętych grobów, na szerokich smętarzach starych pogan.

IRYDION.

Ukrzyżowanego, niezemszczonego weź w ręce i nieś przed ich oblicza!

SYMEON (porywając za krucifix).

O jakżem był niegdyś małoduszny i ślepy! Wierzyłem że niesprawiedliwość znosić trzeba, by docierpieć się nieba — (podnosi czaszkę) patrz na te zapadłe skronie — w tych załomach jaśniało niegdyś życie życia mego. — Biskup miał złączyć ręce nasze. — Dnia jednego nie dostawało, lecz nocą wpadł Centurion i porwał niewinną do cyrku Flaviana. — Z pod paszczy tygrysa to mi tylko zostało! — I jeszcze długo potem walczyłem z żądzą oporu jakby z szatanem, a to był duch żywy, święty, co owładał mną stopniami! (kładzie czaszkę). Spoczywaj nieboga! wkrótce z martwych ty powstaniesz dla mnie!

IRYDION.

Zemstą więc i naprzód tam gdzie brzęczą pszczoły! (wychodzą).

Przestronne lochy. — Cenotafy po ścianach. — Mogiły rozsypane tu i owdzie. — Zgromadzenie Chrześcian przy pochodniach.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Nieszczęśliwy ten co urodzon z niewiasty. — Dni jego błahe i znikome — od krzyża ramion odwiązać, od cierniów skroni odchylić nie zdoła. — Ciemności siostrami jego i grobem!

CHÓR STARCÓW.

Święty, Swięty, Swięty, słuszne sądy twoje! Ty przez męki

ojców wynosisz przyszłe pokolenia. — Na stosach kości naszych zieloność wiosny i szkarłat potęgi rozwiedziesz synom naszym. —

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Zeszlij nam pocieszyciela — niech on stanie na wysokościach, niech karki wyniosłych stopom swoim podściele w równiny. — (Wchodzą Symeon i Irydion.) Witajcie!

SYMEON.

W imieniu Ojca, Syna i Ducha, nadzieja niechaj będzie z wami.

CHÓR STARCÓW.

Symeonie, Symeonie! dla czego ten co idzie za tobą, co nie dawno jeszcze nosił szatę Katechumena dziś przywdział zbroję. — Naucz go i oświeć, by puklerzem była mu skrucha, a szczera modlitwa jedynym orężem. —

(SYMEON do Irydiona).

Wstąp na mogiłę — odpowiadaj za siebie. — Ja tymczasem wezwę jeszcze ducha — chwil kilka jeszcze a stanę się w duchu.

IRYDION.

Kto się pyta, niechaj własnej mądrości nie ufa, ale niech spojrzy w około i przypomni sobie przepowiedziane dni klęski mające zawisnąć nad ziemią!

Czasy milczenia kończą się dzisiaj, bo przebrały się męki sprawiedliwych — w grobach już miejsca nie znaleźć. — Koście umarłych gwałtem nas wypychają ku słodkim błękitom. —

Kto leżał w prochu niechaj powstaje, kto się weselił nad naszemi głowy niechaj zadrży — bo przepaście wejdą w górę, a wzgórza zapadną w otchłanie!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Synu obietnicy, pokój Pana niechaj będzie z tobą.

IRYDION.

Pioruny gorejące Pana niechaj będą ze mną i z wami. — Z krzywd waszych stało się moje natchnienie — w łasce Jedynego, potrójnego, wszczęła się otucha moja — a waszą wolą, moja posetniona siła niechaj wre i woła o pomstę do Boga!

Słuchajcie mnie. — Miasto rozdzieliło się tej nocy. — Syn

wszeteczeństwa zachwiał się na tronie. — Pretorjanie odwrócili serca od niego. — Lud, jak morze niepewne, któremu wiatru się podda, kołysze się i milczy — ale wnet nań spadną ciężkie wichrów skrzydła, runą weń grady pomięszanych chęci. — Patrzcie! widome ciemności gromadzą się nad stolicą, która morduje proroków i świętych. — W całej Azji powstają legiony. — Nad Renem burzą się Allemany. — Cezar i Aleksander zabierają się do ostatniej rozprawy. — Ten wzywa Mitrę, tamten Statora — a któren zwycięży, zwycięży z przekleństwem Chrystusowi na ustach!

Oto znak wam dany, hasło obiecane — patrzcie a ujrzycie. — Chciejcie, a będziecie wolnymi!

CHÓR STARCÓW.

Kto ci dał władzę i na czole twojem wyrył słowo Boże? Gdzie Viktor ojciec wiernych, pasterz namaszczony? Czy on powie o tobie: — On jest ten, którego Pan wzbudził? —

SYMEON (wstępując na drugą mogiłę)

Ja mu świadczę! (wznosi krzyż) Płyńcie łzy moje, roztwórzcie się rany piersi moich. — Oto Pan nad wszystkie pychy, Bóg i zwycięzca przybity do progów śmiertelnych! — Wy, którzy nie macie serca, stójcie na miejscu jak głazy porzucone na ścieżce. — Ja nie dla was mówię. — Wy, co nie pragniecie by Hjerozolima wyszła z toni czasów, starzejcie się i milczcie. — Ja nie do was mówię!

Tych tylko wzywam, dla których on hańbę znosił, pośmiewisko wytrzymał aż słońce od mąk jego przesłoniło się nocą! Od nocy tej straszliwej kto się upomniał o obelgi syna człowieka? Nikt go nie odział, nikt nie napoił. — Wszystkie narody ziemi jedne po drugich ukrzyżowały go na nowo!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Przekleństwo czcicielom Molocha!

IRYDION.

Nie wypuszczajcie chwili, która nadlatuje. — Nie patrzcie na nią jak na skrzydła co mijają i giną w oddali, jak na błyskawicę, co błyśnie i zamrze w błyśnięciu! Ale wszyscy razem, zgodnie, wyciągnijcie ramiona — objąć ją — przycisnąć do

serc waszych o bracia — z niej drobnej dzisiaj, z niej, co nie powróci nigdy, wydobyć iskrę życia — bo zaprawdę wam ogłaszam, ze w niej długie wieki drzemią. — Jeśli je obudzicie, staną się waszemi!

CHÓR STARCÓW.

Ogień modlitwy gaśnie w łonie naszem — mgła tajemnicza zsuwa się nad nami — Panie, od pokus zwodziciela wybaw nas Panie!

IRYDION.

To słabość — przez kajdany Ojców waszych odrzućcie ją — przez stosy Nerona odrzućcie ją — przez ofiary Cyrku zaklinam was, bądźcie silnymi!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Głos twój jak dźwięk trąby grzmiącej pędzi nas ku płaszczyznom ziemi — ale drżą nam piersi, włosy powstają na głowie! O Symeonie z Koryntu odezwij się — mów czy nie widzisz czego?

SYMEON.

Widzę wzrokiem Jana który przed laty patrzał na Hjerozolimę wybranych. — On w grobie śpi wśród nachylonych Aniołów i powstanie dzisiaj lub jutro — wtedy się usunę — a teraz ja prorokuję, ja wołam!

CHÓR.

Ścisnęły się marszczki czoła jego. — Krzyż czarny drży mu w dłoniach jak gałąź wśród wichrów!

SYMEON.

Duch mnie ogarnął, unosi. — Stąpam na zwaliskach miasta. — Bożyszcza przewrócone jak kawały darni — orły złote bez dziobów, bez skrzydeł na garściach potrzaskanej broni — purpury jak płótna na łące, obwite niciami pajęczyn — łuny igrają po trupach. — Rozpuszczone warkocze dziewic, długie szaty Konsulów, Cezarów, porwane wozy znikają w oddali (pada na kolana.) O Boże umęczony, natchnij ich duszę, jakeś moją natchnął i ogień pożerający bitew roznieć w ich dłoniach! (Wstaje).

Modlitw waszych spienione fale dopłynęły Niebios. — Dusze zabitych złością synów ludzkich stanęły u ołtarza, co wie-

kuiście pali się na podnożach tronu. — I ujrzałem Tego który panuje na tronie — przeliczył je wszystkie, a liczba ich popełniona i zawarta księga świadectwa i śmierci. — Głos zagrzmiał: — Odtąd mi świadczyć będziecie życiem i zwycięztwem! —

CHÓR (przyklękają wszyscy).

Chrystusie, Chrystusie, wrą nam serca bo zmartwychwstać chcemy! Nie opuszczaj nas w chwili niepewności. — Daj nam objawienie sądów Twoich!

IRYDION.

Czy się jeszcze pytacie ludzie małej wiary? Wznieście oczy. — Oto Pan wasz kona — oto jeszcze roztwarte usta i ostatnie wołanie: — Czemu opuściłeś mnie Ojcze! — Bracia, czy my go jeszcze i dzisiaj opuścim?

CHÓR.

Nie — nie. —

IRYDION.

Ha!

(Odwraca się).

SYMEON.

Bledniejesz?

IRYDION.

Tam — gdzie zakręcają się sklepienia — tam na samej granicy świateł i ciemności. —

JEDEN Z CHÓRU.

Kto nas podchodzi lekkiemi stopy. —

(Wbiega Metella.)

SYMEON.

Witaj dziewico poślubiona wiekuistej miłości. —

CHÓR.

Zkąd do nas idziesz tak późno, sama, z rozpuszczonym włosem?

(Metella zatrzymuje się przy mogile Irydiona.)

SYMEON (do Irydiona).

Przemawiaj dalej!

IRYDION (obracając się do Kornelii).

Czy mnie poznajesz, czy moje słowa pamiętasz?

JEDEN Z TŁUMU.

Słyszeliście ten krzyk świętej?

DRUDZY.

Straszno, straszno stało się o tej godzinie sercom naszym. —

IRYDION.

Milczcie — teraz ona mówić zaczyna!

KORNELIA.

Objawiłeś się i wyrzekłeś straszne słowo. — Odtąd biegnę i wołam — dni i nocy mijają, ja biegnę i wołam — (odwracając się do ludu). Do broni, do broni!

IRYDION

Przez ciebie Masynisso zwyciężam! (do ludu.) Dusza niewiasty prędzej od was wszystkich zrozumiała tajemnicę niebios. — Zmyjcie hańbę waszą w krwi bałwochwalców (kładzie dłonie na włosach Kornelii.) Stań się żywym głosem chwały przyobiecanej. — Rozedrzyj zasłonę czasu przed oczyma ludu!

KORNELIA.

W gromy zbrojnego widziałam — szedł zdobywając by zdobywać dalej — i nieśmiertelną stałam się w obliczu jego!

CHÓR STARCÓW.

Czyś miała widzenie i dotąd spoglądasz na jego mdlejące ostatki? Odpowiedz nam, odpowiedz!

KORNELIA.

W gromy zbrojnego widzę — idzie i zdobywa. — Nic mu się nie oprze. — Strzała jego cięciwy ziemię odmierzy w przelocie. — Strachem otoczył się jak zwojami królewskiego płaszcza i śmierć blado posuwa się za nim!

(Ucieka.)

JEDEN Z CHÓRU.

Wśród głów i pochodni, jej włosy podskakują i toną jak fala. —

CHÓR.

Gdzie lecisz?

KORNELIA.

Gdzie światło nie dojdzie niech mój głos doleci; do broni!

WSZYSCY.

Do broni, do broni!

GŁOS KORNELII.

Rozstąpcie się ciemności — martwe skały zadrżyjcie na świadectwo Panu!

SYMEON.

Zniknęła porwana natchnieniem. — Teraz słuchajcie brata mojego, zważajcie na słowa młodzieńca!

IRYDION.

Kto przyjdzie do pałacu Amfilocha, kto wymówi stanąwszy na progu: — Sygurd syn Grimhildy — ten dostanie miecz i pocisk i szyszak miedziany. — Pamiętajcie: — Sygurd syn Grimhildy. —

PIERWSZY BARBARZYNIEC.

Niegdyś w Chersonezie słynęła kapłanka. —

DRUGI.

Imię to Ojcowie nasi powtarzali z drżeniem. —

TRZECI.

W borach saksońskich przybyli bracia od morza północnego, śpiewali od niej żałobne wspomnienia. —

IRYDION.

To matka moja, a wy bracia moi! (schodzi i staje wśród nich). Dajcie ręce wasze — z błędów wyszliśmy, ale błędy ojców ogniwami synom. — Dziś w imieniu Chrystusa bądźcie mi wiernymi. —

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Synu Grimhildy, synu ziemi srebrnej, od wolnych ludzi wolne przyrzeczenie i wiara niezłomna! Błękitnooki długowłosy nie zdradzi ciebie. — Ślubujem tobie ciało nasze jakośmy duszę poślubili nowemu Bogu!

IRYDION.

Wnuk króla mężów dziękuje braciom swoim.

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Przed laty Herman zaczął walkę z południowym słoniem. — Swięte jego kości spoczywają w czarnych Irminsulu gajach — naprzód, naprzód! Tameśmy, nim duch bezdrożów ujął nas za ramię i wygnał na obszary świata, słyszeli pieśni zwiastujące zgon strasznego Rzymu — naprzód, naprzód! Ty będziesz Hermanem — pod wodzą twoją zdradzieckich Italów zburzymy pałace!

(Słychać podziemne stuki.)

SYMEON.

Czemu odzywasz się ziemio, matko ciał umarłych a nie żyjącego ducha?

IRYDION.

Wyrok zapada nad miastem. —

CHÓR STARCÓW.

Symeonie, Symeonie! czy poznajesz gniewu Pańskiego straszliwe odgłosy?

SYMEON.

Zaprawdę gniew pański wam ogłaszam i błogosławię jemu. — Patrzcie! Podniósł się Wszechmocny i otchłań woła o miłosierdzie do niego! Patrzcie! Dreszcz bieży po skałach, zrywają się wichry jak syczące węże — Hosanna — Hosanna! Mogiły bałwochwalców pękają na dwoje. — Dzień zemsty zstępuje wśród burzy!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Hjeronimie dotrzymaj obietnicy. — Wola Jedynego objawia się nam. —

IRYDION.

Skarby moje waszemi. — Krew moja waszą do ostatniej kropli — przysięgnijcie tylko krzyż ten zatknąć na szczytach kapitolu!

CHÓR STRACÓW.

Biada wam — biada. —

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

W imieniu Chrystusa, przysięgamy. —

IRYDION.

I wprzódy nie odpoczniecie, nie pomodlicie się Jemu, ani ciała Jego pożywać będziecie!

CHÓR.

Nie — nie — nie!

CHÓR STARCÓW.

Uciekajcie bezbożni — łamią się filary — ziemia się rozstępuje. —

IRYDION.

Pod nami tak Rzym padać będzie. —

INNI.

Strzeżcie waszych pochodni. —

SYMEON.

Idźcie za mną. — Ten którego niosę, na rozhukanych falach stąpał bezpiecznie. —

INNI.

Ognia, ognia!

CHÓR BARBARZYŃCOW

Rwijmy się za pasy z tłumem. — Syny ludów nie zginą tu marnie wśród podrzutów siarczystej, niecierpianej ziemi!

INNI.

W tył, nazad — tu ognie buchnęły!

IRYDION.

W tę stronę, ku naszym smętarzom, ku Eloimowi. — Ah trwoga pomięszała rozumy wasze!

SYMEON.

Odparła mnie opoka i jednym rzutem runąłem do stóp twoich. —

IRYDION.

Oprzyj się na mnie — ten głaz dotąd nie zadrżał ni razu. —

SYMEON.

Gdzie ci którzy szli za mną?

IRYDION.

Zniknęli. — Nocy takiej nie widziałem nigdy — z tysiąca pochodni ledwo gdzie jeszcze tli się gwiazda jaka. —

SYMEON.

Zgasła ta na którąś patrzał. — Ah! i tamta i tamta!

POMIĘSZANE GŁOSY.

Odpuść nam winy nasze — w godzinę śmierci błagamy cię Panie!

SYMEON.

Wyciągnij ramię — zawieś pochodnię nad tem morzem cieniów. —

IRYDION.

Daremno. —

SYMEON.

Słyszałeś łoskot co przydusił głosy starców?

IRYDION.

Tam odzywają się żyjący — do mnie!

SYMEON.

Ale ci którzy Pana tu błagali przed chwilą!

IRYDION.

Pan już o nich pamięta teraz — do mnie, do mnie!

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Błądziliśmy na przemian w ciemnościach i w ogniu — zewsząd odegnały nas pioruny, ale serca nasze biją tak zimno jak biły przed burzą!

IRYDION.

Przytknijcie wasze pochodnie. — Ja was wyprowadzę. — Ja pamiętam drogę. —

SYMEON.

Ot głuche gwary się ozwały. — To bracia nasi, co się przedarli ku Eloimowi — za niemi!

GŁOS W ODDALENIU.

Pal się ziemio na dzień ostatni świata. —

IRYDION.

Słyszeliście?

CHÓR.

Nie traćmy czasu — naprzód!

IRYDION.

Uciekajcie!

GŁOS BLIŻEJ.

Do broni, do broni!

CHÓR.

To ojciec złudzeń, który cię woła na zgubę twoją!

IRYDION.

To cna!

SYMEON.

Nie puszczę ciebie. —

IRYDION (odpychając go).

A kto ich wywiedzie jeśli ja nie wrócę! (idzie naprzód) Ojcze! wzywam ciebie, niech się płomienie Erebu ukorzą przedemną!

GŁOS W POBLIŻU.

I wieniec mój będzie z gwiazd nieśmiertelnych przy boku twoim. —

IRYDION.

Chrystusie, Boże jej niebios, ocal nieszczęśliwą. —
(Rozwidnia się — ognie z pod ziemi buchają — wśród nich Kornelia).

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Zajaśniał hełm nieustraszonego i utonął w ciemnościach!

SYMEON.

Hjeronimie.

CHÓR.

Sygurdzie — Sygurdzie!

GŁOS IRYDIONA.

Spieszę do was. —
(Wraca trzymając Kornelię w objęciach.)
Odwróćcie twarze — na dół schylcie pochodnie — tędy, tędy za mną!

CHÓR (w oddaleniu).

Zbaw nas o synu człowieka, a trzykroć tak zniszczony, trzykroć tak spalony Rzym będzie, wróg ludzi świętych południa i ludzi wolnych północy!

GŁOS WŚRÓD CIEMNOŚCI.

Śpijcie wichry z popiołami starych czcicieli.
(Nadchodzą słupy ognia, wśród nich Masynissa.)

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Patrz! staliśmy się jak lampy cichej świątyni, o my gorejący, o my nieszczęśliwi, ofiary mąk tylu, od wieków tylu!

MASYNISSA.

Przyjdzie chwila w której cała ziemia na pastwę oddaną wam będzie — ale na dzisiaj tu koniec drogi waszej — nie pójdziecie dalej!

CHÓR.

Zwycięstwo! Do czasu tylko żyjemy rozpaczą i nocą! I zapytają się duchy niebieskie — gdzie ziemia siostra nasza — i zapyta się ten który ją zbawił: — gdzie oblubienica moja — a my wytrząśniem pod ich gwiazdy Jej umarłe popioły!

MASYNISSA.

Zwolna, z cicha dzieci moje! — Ta chwila w nieśmiertelności waszej, ale tysiąc tysięcy ludzkich pokoleń do niej przegradza was jeszcze.

Wprzódy muszą siły swoje styrać — każdą wiarę krwią popierać i ogłosić ją fałszem. — Każde zaprzeczenie błotem zarzucić i ubóstwić je wreszcie! — aż doważy się szala ich mierności i dumy, aż siwizna głupstwem się stanie a siła szaleństwem!

CHÓR.

I zginą!

MASYNISSA.

Myśl ich osiądziem — w niej światy tworzyć będziem co raz dalsze od prawdy — tak iskrę, którą wzięli z górnych przestrzeni zamęczym w ich duszach. — Uwieńczym ich skronie ognikami wiedzy. — Znikome berła powierzym ich dłoniom. — Wyniesiem ich na samodzierżców ziemi!

CHÓR.

I zginą!

MASYNISSA (przechadza się wśród ogniów).

Wiaro, nadziejo, miłości! Trójco, która miałaś trwać na wieki, rozerwałem cię dzisiaj w sercach dzieci najukochańszych, błogosławieństwa Twego! Nie. — Ty niemi nie zaludnisz spustoszałych przestrzeni, kędy wrzały niegdyś roje szczęśliwych i pięknych — Ty już nigdy takich nie dostaniesz synów. — Sama zgasiłaś słońca, które były chwałą twoją!

CHÓR.

Niechaj Trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe — niechaj pieśni pochwalne u ich stóp konają!

MASYNISSA.

Tej nocy naszych następców poczęła się zguba. — Jako my niegdyś tak i oni odpadną od niego!

CHÓR.

I przyjdą jeść chleb nasz i mieszkać w ciemnym domu naszym!

MASYNISSA.

Wrogu! ty wiesz, że ich duch obłąkany od pierwszej wiosny ziemi! — Odtąd dnia nie będzie żeby się nie kłócili o przymioty i imiona Twoje.

W imieniu twojem będą zabijać i palić. — W imieniu twojem gnić i milczeć. — W imieniu twojem uciekać. — W imieniu twojem powstawać i burzyć!

Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomstwie, w ich rachubach i szałach, zarówno w sennej pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy!

Na szczytach niebios ten puhar goryczy pić będziesz, dopóki ich nie przeklniesz na wieki. — Na szczytach niebios, wśród potęg twoich doznasz co to piekło nasze!

CHÓR.

Chwała nam i Temu co dotąd jaśnieje w ogniu odrzucenia jak pałał niegdyś tęczami siły! Chwała nam — chwała nam!

MASYNISSA.

On skazę piorunów zakrył dłonią na czole. — Na dnie przepaści, on myśl krzepi na dzień ostatni świata! Chwała Jemu. — A teraz owińcie mnie ciemności — teraz w milczeniu skonajcie bracia moi!

CZĘŚĆ TRZECIA.

Namiot w obozie rzmiejskich pretorjanów — Aristomachus i Lucius Tubero na przodzie. — W głębi na łożach Aleksander Severus i Ulpianus rozmawiają po cichu. — Wchodzi Irydion.

IRYDION.

Przybywam Rzymianie w imieniu Pana naszego. — Odmówcie wasze skargi — każdą wysłucham i na każde odpowiem według myśli Cezara. —

ARISTOMACHUS.

Jeśliś był ciekawy zażaleń naszych, trza było do nas zawitać przed rokiem. — Wtedy bylibyśmy rozprawiali z sobą — ale dziś Greku, kto jął się oręża, ten zapomniał się skarżyć — kto grozi ten nie odpowiada ale rozkazuje. — Przechodząc, widziałeś wszystkich stojących w zbrojach, gotowych do pochodu! Innej odpowiedzi nie otrzymasz odemnie!

IRYDION.

Czy tak samo i Lucius Tubero myśli?

TUBERO.

Chociaż mój popędliwy towarzysz lepszy do szeregu niż do mownicy, jednak Irydionie do jego słów w tej chwili mało co mam dodać. — Przypomnisz tylko od nas Imperatorowi, żeśmy długo prośby nasze podawali bez żadnego skutku — że obiecanego amfiteatru nie raczył nam wystawić i że należnych nagród nie rozdał. — Odemnie przypomnisz Imperatorowi że ojca mojego do przerżnięcia żył sobie w kąpieli, że córkę siostry mojej do połknięcia gorejących żarów przymusił — powtórzysz mu imiona senatorów, których na utratę

czci i gardła w przeciągu trzech lat skazał. — Powiesz mu że liczyłem niegdyś krocie przyjaciół i krewnych opływających w dostatki — a że dzisiaj nie mam już nikogo — lub że głód rozdziera wnętrzności tych co pozostali. — Ale za to żyje Eutychian i kilku wyzwoleńców i kilka nałożnic purpurę noszą. — Dodasz wreszcie, że zhanbił Greczynkę z starożytnego, z uczciwego domu.... (Irydion dobywa tabliczek i stylem pisze na nich.) Co zapisujesz synu Amfilocha?

IRYDION.

Tę chwilę, imię twoje i śmierć twoją. — Teraz ciągnij dalej!

TUBERO.

Dzięki ci Danausie! Jednak oświadcz Panu twemu że jeśli wyda Eutychiana, byśmy go na krzyżu rozbili i wszystkie skarby swoje, byśmy sobie z nich żołd wyłacili; że jeśli złoży natychmiast władzę Konsula, Trybuna i Arcykapłana, to go może jeszcze zostawim przy życiu, przy kochance, i odeszlem tam, zkąd się do nas przywlókł na wstyd i nieszczęście miasta!

ARISTOMACHUS.

Niech się tylko spieszy, bo jutro o świcie u bram Rzymu staniemy — godziną później w pałacu Cezarów!

IRYDION.

Czy nic już więcej przezacni Rzymianie?

ARISTOMACHUS (dobywając miecza).

To jedno tylko!

TUBERO.

Bo tem tylko można się odwdzięczyć w dniu jednym za poniżenie lat kilku!

ARISTOMACHUS.

Tem tylko przeciąć djadema na skroniach Cezara i wyziębić uśmiech szyderczy na ustach jego powiernika!

IRYDION.

Dobrze mówisz — zgadłeś! — Śmieję się sercem całem, bo słyszę Rzymian mówiących o jarzmie ze wstrętem, z oburzeniem o hańbie!

Wy, których Ojców na trzodę bydła zamienił Tyberius, wy

ktorych ojcami gardził Neron, sam pogardzony od kurzawy na której stąpał, śmiecie wyrzekać na poniżenie! Wy potomki tych, którzy całą ziemię spodlili! — nie łudźcie się daremnie. — Ród wasz czy dawniej czy później był zawsze świątynią podłości. — Inaczej by pod strumieniem co z niej wypłynęły, nie była wyschła i Azja i Grecja i świat jako wielki, jako nieszczęśliwy aż po Hyrkańskie Sytyty i pustynie Jazygów — Tak, tak, śmieję się Rzymianie, ale tem śmiech nie wiecie co wróży — (postępuje kilka kroków naprzód.) Jeśli broni nie złożycie natychmiast — jeśli nie padniecie do nóg Heliogabala — jeśli dziesiątego z pomiędzy siebie nie poświęcicie zemście Jego, biada wam wszystkim! Takie moje zlecenia. —

ARISTOMACHUS.

Precz ztąd — wracaj do Syryjczyka. — Niech włosy namaści do biesiady Plutona.

IRYDION.

Z tobą już skończyłem. — Dla tamtego mam jeszcze słów kilka.

(Zbliża się do Aleksandra.)

ULPIANUS (do Aleksandra).

Zbądź go milczeniem pogardy!

ALEKSANDER.

Nie mogę!

IRYDION.

Brat się przypomina tobie — zapytuje się czemuś zniknął w nocy z pałacu Cezarów — wzywa cię nazad i karę śmierci zamienia dla ciebie na karę wygnania. —

ALEKSANDER (porywając się z łoża do Ulpiana.)

Jeszcze raz nie — pod tem coś się ukrywa — zostaw mnie z nim, proszę ciebie — oddalcie się przyjaciele (wychodzą wszyscy). Synu Amfilocha, czyż mściwe Bogi rozciągnęły między nami chmurę jaką zwodniczą? Ja nie pojmuję ciebie. — Ty może nie poznajesz Sewera. — Irydionie ty ślubowałeś przecie Hekatombą Fortunie, która dzień sprawiedliwości rozświeci nad Rzymem?

IRYDION.

I dotąd Bogom to samo przyrzekam. — Gdyby mogła choć jedną chwilę sprawiedliwości mi przynieść. Kto wie, możebym przez wdzięczność sam Rzym w Hekatombie poniósł na jej ołtarze!

ALEKSANDER.

Synu Amfilocha nie obrażaj mnie dwuznacznemi słowy — bo winieneś mi wdzięczność za to, że własnym oczom nie dowierzam, choć mi jasno przewrotność twoją wskazują. — Ah! sam nie wiem czemu zawsze ci ufać pragnąłem!

IRYDION.

Dzięki moje Sewerowi! Gdyby mnie były losy stworzyły człowiekiem i serce moje chciały uposażyć błogim darem przyjaciela, byłbym je prosił o ciebie. — Teraz chyba żelaza piersi naszych zetrą się na polu bitwy!

ALEKSANDER.

Czas jeszcze — porzuć sprawę tyrana; wyjrzyj z mgły którą się otoczyłeś, powiedz mi jedno słowo przywiązania a nie będę wątpił o wierze twojej! Irydionie gdzie siostra twoja?

IRYDION.

Tam gdzie ją Fatum przykuło!

ALEKSANDER.

Ale ona czysta jak myśl moja o niej. — Irydionie wołam na ciebie. — Irydionie, zatrzymuję ciebie — ona go nie cierpi — czytałem w jej oczach nieznośne męczarnie — a tybyś miał walczyć w jego obronie?

IRYDION.

Czemu dni twoje tak krótkie, latorośli młoda! Z uniesień twoich ku piękności i cnocie śladu nie zostanie — przejdziesz jak dźwięk niesłyszany od ludzi, tylko znany Bogom!

ALEKSANDER.

Czemu tak żałobnym wzrokiem wpatrujesz się we mnie? Ah! słyszałem że matka twoja gdzieś, kiedyś, nosiła Boga potężnego w piersiach!

IRYDION.

Puścizną dobrego po niegodziwych jest — kara! Synu Mammei, twoja godzina się zbliża!

ALEKSANDER.

Ty chcesz mnie przerazić?

IRYDION.

Mylisz się, ja ci tylko prawdę ogłaszam. — Jeśli przegrasz, zginiesz z ręki zwycięzcy, jeśli zwyciężysz, z ręki tych, którym za hasło dzisiaj twoje imię służy.

ALEKSANDER.

Hańba temu, ktoby się frasował o śmierć przed godziną lub w godzinę śmierci! Bąć co bąć zostań przy mnie. — Ja Elsinoe wyrwę z paszczy tygrysa i Rzym na nowo stanie się wiosną siły, zbrojną w nieśmiertelne gromy. — Czemuś się wzdrygnął? Co tak cierpkiego dla ciebie w tych nadziejach moich.

IRYDION.

Przypomniałem sobie że przyszedłem od Cezara po twoją odpowiedź.

ALEKSANDER.

Nie wspominaj mi jego — ale jeżeli jaką iskrę czucia dały ci Bogi, niech ją krzywda siostry i pamięć ojca teraz na pożar zamieni! Przecie naddziady twoje śpiewali Persom, że zemsta jest roskoszą Bogów!

IRYDION.

Niewinny jesteś — (ściska mu rękę) ostatni raz — ostatni, bo oba stoimy nad grobem, a nim trzecia wejdzie zorza, jeden z nas stąpi do Erebu.

(Wychodzi.)

Sala w pałacu Cezarów w filary, w rzeźby, w kosztowne naczynia ubrana — pośrodku ołtarz poświęcony Mitrze — w głębi kurtyna w drogie kamienie spuszczona od dwóch kolumn złotych. — ELSINOE w purpurze cesarskiej.— IRYDION wchodzi w syszaku i zbroi.

IRYDION.

Gdzie przeklęty?

ELSINOE.

Tam, tam ciało jego leży na fijołkach, dusza na łonie jędz spoczywa. — Wyszłam by odetchnąć na chwilę.

IRYDION.

A nim zasnął, czy mówił o mnie — czy go przygotowałaś tak jak przykazałem?

ELSINOE.

Przystał na wszystko płacząc i tłukąc się w skronie. — Eutychiana przywołał, rzucił mu się na szyję, za ręce go ściskał, ale jeszcze nie śmiał oznajmić, że ty weźmiesz dowództwo pretorium — powtarzał tylko iż się spodziewa, że łagodnemi słowy i obietnicami nawrócisz zbuntowanych — Mnie się polecał bym go moim polecała Bogom — potem skoczył i legł wśród kwiatów i tarzał się jak wąż niespokojny. —

IRYDION.

Obudzić go trzeba. —

ELSINOE.

Chodź za mną!

(Idzie i roztwiera kurtynę, za nią widać drzemiącego Heliogabala na stosach róż i fijołków.)

IRYDION.

Czekaj jeszcze! te usta rozemknięte coś wymówić mają.

ELSINOE.

Przekleństwo im! czy sennym czy na jawie, czy żyjącym, czy w grobie!

HELIOGABAL.

Iry, Iry, czego opuściłeś mnie?

ELSINOE.

On marzy o tobie. —

HELIOGABAL.

Elsi, Elsi moja, czego opuściłaś mnie?

ELSINOE.

Ah! córa Grimhildy nigdy twoją nie była!

IRYDION (dotykając się Heliogabala)

Imperatorze!

HELIOGABAL.

Kto woła — co — gdzie? (zrywa się). Ah! to wy. — Ah, to róże moje i kochane trójnogi (bierze ich za ręce i kilka kroków idzie naprzód). Umierałem już, kiedy głos twój mnie wskrzesił.

IRYDION.

Cóż tak strasznego widziałeś?

HELIOGABAL.

Okropnie mi było. — Zdało mi się w początkach uśpienia, że lud cały i wszystkie narody zdrobniały w karła bezsilnego i spętanego w łańcuchy; moja noga błyszczała na jego włosach jak muszla przejrzystej białości. — Tron mój pałał blaskami Olimpu. — Rzym też już płonął naokoło według obietnicy twojej i ludzi nigdzie nie było, bo wszystkich żyjących gniotłem jedną stopą moją.

IRYDION.

A więc pomyślną wróżbę zesłały ci Bogi?

HELIOGABAL.

Słuchaj, słuchaj. — Zdało mi się że z Mausoleów powstali umarli — powstał Tubero i Lucius Viktor i dwaj Apuleje i inni; wiesz inni wszyscy — a u widnokręgu nagle ukazał się ojciec mój Karakalla z głową okręconą żmijami, z ludzkiemi czaszkami w dłoniach, ogromny, zataczający się w popiołach, i zapadł wołając — o Synu! — Oni wtedy ku mnie stąpać zaczną — karzeł rozśmiał się i zrzucił nogę moją. — Oni idą, idą. — Tyś stanął przy mnie, a z drugiej strony ona. — Oni idą, patrz idą, togi zarzuciwszy na lewe ramię, w prawym ręku ściskając sztylety. — Wtedy rzekłeś, wydając mnie — oto Cezar — i Elsinoe rzekła wydając mnie — oto wasz morderca — i sto nagich błyskawic mignęło przed mojemi oczyma — sto rozrzynających gromów ugrzęzło mi w piersiach (cofa się i zakrywa oczy). Znowu on, on, ojciec mój!

IRYDION.

Otrząśnij te ziarna zwodnicze, któremi przelatujący Morfeusz osypał ci zmysły. Teraz więcej niż kiedykolwiek bądź przytomnym i silnym — bo pretorjanie zerwali z twoją purpurą na zawsze i Aleksander zaprzysiągł nie spocząć, dopóki twoim djadematem skroni nie opasze.

HELIOGABAL.

O ja nieszczęśliwy! Możeś ty im nie powiedział wszystkiego, nie obiecał przebaczenia i nagród?

IRYDION.

Nie złota, ale krwi twojej żądają.

HELIOGABAL (obejmując ołtarz ramionami).

O Trójco roskoszy, o chaldejski Panie!

ELSINOE.

Dopóki u nóg Mitry kwilisz, dopótyś w kole niebezpieczeństwa i śmierci. — Módl się do Odyna, a zlecą święte kruki i przemogą nad orłem. —

HELIOGABAL.

Głos twój Elsinoe! głos twój niechaj słyszę w ostatniej godzinie — ramiona twoje daj piersiom moim za przepaskę śmiertelną. — Ja cię kochałem za życia, choć ty mnie nie cierpiałaś. —

ELSINOE.

Nie konaj przed zgonem — wstawaj, każ przywołać Eutychiana i straż twoją. — Bratu mojemu daj władzę, a on ci da zwycięstwo. —

HELIOGABAL (podnosząc się).

Ah! gdyby można jeszcze....

IRYDION.

Nie — nie trza grać w koście życia i śmierci na ołtarzu Fortuny! — Dziś w nocy jeszcze miasto zacznie się palić — nie lękaj się — przy tem świetle skonają pieśni na ustach Aristomacha. — Gdzie skarby twoje?

HELIOGABAL.

Część przesłałem już do Syrji — reszta pod strażą Eutychiana. —

IRYDION.

Cō zostało każ rozdać pretorianom dworu.

EUTYCHIAN (Wbiegając).

Boski, Boski, źle się nam dziać poczyna. — Lud odpędził żołnierzy od bram Kurji. — Senatorowie się wcisnęli do

Kurji. — Siedzą i radzą — a o czem miły Anubisie? O śmierci Boskiego!

IRYDION.

Spiesz się Cezarze!

HELIOGABAL.

Stary przyjacielu podaj mi rękę. — Tak, dobrze, opieram się na tobie jak za dawnych czasów — razem kadziliśmy w świątyniach Mitry, piliśmy razem. — Ah! w przeszłości mojej wszak smaczne bywały papuzie wątróbki i dziewic rozgorzałe usta — a teraz losem przeciwnym ustępujemy razem — miecz swój oddaj Irydionowi — proszę cię. — Ty zostaniesz przy mnie, a on będzie prefektem pretorium.

EUTYCHIAN.

Kto! ja? oni chcą głowy mojej, on dostojeństwa mego — bez głowy, bez miecza, jakże to będzie? — Ja przyprawiłem dla ciebie ostatnią czarę Sylwiusza, a....

HELIOGABAL.

Milcz i oddaj!

EUTYCHIAN (miecz odpasując).

Greku, nie trudź dziecięcia mojego — ono w lędźwi moich zawsze się hojdało w miedzianej kolebce. —

POSŁANIEC (wbiegając).

Panie mój, w tej chwili przebrany wyszedłem z senatu; a kiedym wychodził już wnosił Kanulcius żebyś zginął śmiercią Nerona, a brat twój państwo odzierżył!

HELIOGABAL.

Ah! ah! ci sami twarze pasowali wczoraj do śladów moich na piasku. —

IRYDION.

Jeszcze raz, nie lękaj się. — Ty żołnierzu przebiegnij dolne piętra i zwołaj co możesz pretorianów — niech czekają na mnie w Atrium Domicjana — potem skocz do mojego pałacu. — Tam znajdziesz gotowych gladiatorów pod wodzą Scipiona — niechaj w tej samej chwili ruszą ku bazylice w której senat rozpoczął obrady — a przechodząc niech wołają imię moje! (posłannik wychodzi.) Synu Samidy, rozpędzę tycho

mówców i lud rozepchnę jak dwie nędzne fale. — Lecz by Aleksandra zwyciężyć trza mi czegoś więcej jeszcze!

HELIOGABAL.

Mów. —

IRYDION.

Czasu nie masz ogłosić mnie panem dni kilka przed wojskiem i ludem — pożycz mi pierścienia twego — a kto nań spojrzy uzna mnie namiestnikiem Cezara i pójdzie za mną, jeśli wierny tobie.

HELIOGABAL.

Czy nie wiesz że Genjusz państwa na tym kamieniu wyryty? że świętokradcą Imperator, który go cudzym dłoniom powierza?

EUTYCHIAN.

Oddaj — proszę cię, oddaj Irydionowi. — Ja zostanę przy tobie, a on będzie Cezarem!

HELIOGABAL.

Nie przedrzyźnaj pana twego — patrz na ten żart obosieczny, maczany w jadach Getulskich — przyszła mi chętka zatknąć go w sercu twojem.

EUTYCHIAN.

Złota klinga! złota — sługa twój nie lękał się nigdy.

(Heliogabal rzuca się na niego.)

Przepowiedziano w kościele Osyrysa — że we trzy dni po śmierci Eutychiana Cezar ducha wyzionie. —

HELIOGABAL

Co mówisz przyjacielu. — Ah! podłóż ramię głowie mojej biednej — nie wierz złym językom. — Ja nigdy nie przestałem cię kochać. —

EUTYCHIAN.

Jak pijany Macedończyk starego Klitusa. —

IRYDION.

Znaku mi potrzeba — znaku. —

HELIOGABAL

Precz! — nie oddam ci tych wężów złocistych i tego Boga

z djamentu. — Masz wszystkie moje skarby, czary, jedwabie — dosyć, dosyć —

(Odzywają się krzyki z daleka.)

IRYDION.

Czy słyszysz początek pieśni tryumfalnej Sewera?

ELSINOE.

Uczcij i uszanuj syna kapłanki — czyń wolę syna kapłanki!

HELIOGABAL.

O Elsi!

IRYDION.

Słyszałeś wyrocznię — ręka twoja!

HELIOGABAL.

Sam zdejm z palca Heliogabala — nie — poczekaj jeszcze chwilę — kiedyś i ja biłem się z legjami Makryna. — Dzień był rażącej pogody — wóz mój srebrny toczył się po trupach i włócczniami złotemi ciskałem, promieńmi drugiego słońca. — Dzisiaj ja chcę na nowo. — Ah! — czy widzicie nad Trójnogiem. — Ah! teraz za kolumną. — On sam i ręką mnie woła. — Okręca się purpurą z krwi własnej. — Ojcze! (pada w ręce Eutychiana). Źle mi przyjaciele — pierś moja jak dom porzucony — nie ściskaj mi tak dłoni Greku — zbrodnia zelżonego Majestatu. —

IRYDION.

Gdzie siła, tam niechaj będzie i godło — (zdziera pierścień). Idź zasnąć — a kiedy zerwą się płomienie, przyjdę cię obudzić!

HELIOGABAL.

Eheu! on teraz Cezarem — prowadź mnie Eutychianie. — Siądziesz u wezgłowia mego. — Tarczę moją gładzić będziesz. — Wśród pożaru chcę raz jeszcze przejrzeć się w niej. — Ah! słabo, zimno czarno Heliogabalowi. — Eheu — Eheu! — O Elsinoe!

ELSINOE.

Spieszę za tobą. —

EUTYCHIAN.

Cny Amfiloch idzie! kiedy piasek jeść będziesz i własną krwią popijać, wspomnij o mnie. — Byłem za młodu ku charzem.

(Kurtyna zapada nad nim i Cezarem.)

ELSINOE.

Stało się. — Szaleństwo mu dałam za ostatniego towarzysza u brzegu wód piekielnych nad któremi stoi teraz. — Mów, czy mam jeszcze co wykonać o bracie, bo dzisiaj w nocy, jutro nad rankiem przyjdzie może pretorjanin — może wcisną się płomienie, lub pierś sama nie zechce dalej cierpieć i wzgardzi powietrzem!

IRYDION.

Strzeż go dopóki nie wrócę — wtedy opuścisz skazane progi i pójdziesz ze mną. —

ELSINOE.

A z nim co będzie?

IRYDION.

Mało mi zależy na jego śmierci, mało na jego życiu. — To co nim było, na palcu moim połyska, to co nim jest, nie warto jednej myśli mojej!

ELSINOE.

Jeśli tak, zbliż się do mnie — jeszcze, jeszcze — a teraz czy słyszysz cichy głos mój?

IRYDION.

Czego chcesz siostro? — ręka twoja drży w mojej — bicie serca twego rozlega się na tym pancerzu?

ELSINOE.

Niechaj więc zgasną oczy pod któremi zwiędłam — niech ramiona co opełzły szyję moją, opadną jak dwie starte żmije. — Usta co pierwsze ust moich się dotknęły, niech znikną w popiołach!

IRYDION.

Na jednym więc stosie o tej samej chwili on i Severus....

ELSINOE

Nie — nie! — Daj mi ostatniej woli dokończyć. — Znam Irydionie siłę ręki twojej i dla tego ostatnią prośbę zanoszę do ciebie. — Oszczędzaj Alksandra na polu bitwy — nie zarzucaj śmiertelnych cieniów na to greckie czoło. — On jeden się domyślał.... Ah! czemu lice odwróciłeś odemnie?

IRYDION.

Nie myśl o nim! On jeden już tylko Romę wydziera z objęć nienawiści mojej. — Bogowie pozazdrościli go ludziom — wyrok jego zapadł już oddawna!

ELSINOE.

A więc raz jeszcze siostrę przyciśnij do łona! — Czujesz li jako to serce pracuje? Nim wrócisz, ono pęknie synu Amfilocha. — Ale pamiętaj — krwi niczyjej Elsinoe nie żądała od ciebie. — Żyjcie wszyscy — wszyscy i on, Syryjczyk, i on przemierzły niech żyje — pod koniec ofiary rąk białych i śnieżnej szaty nie skazi dziewica! — Ah! ona stała długo przed ołtarzem. — Dniem i nocą jej sny, jej żądze, jej wiosna paliła się na zgliszczach! — Patrz! dymy z niej tylko w powietrzu — ale godzina już bliska i ciało się odwiąże jak koturny taśmy — wiązka piołunu tylko zostanie na ziemi — duch stanie się cieniem!

GŁSY ZEWNĄTRZ PAŁACU.

Naprzód! przez Fortunę Irydiona Greka!

IRYDION.

Precz z niewczesną żałobą, kiedy już Nemesis wieniec zemsty dla was w każdej ręce trzyma. — Zwycięstwo zstępuje mi w duszę. — W tych szczękach, w tych wrzaskach hasa życie moje. — Urodziłem się w tej chwili, a ty miałabyś umierać? Bądź raczej szczęśliwą i dumną! — Co twój ojciec wzywał, o co Bogów ze łzami długie wieki prosił, zbliża się jak piorun. — Huki grzmotów czy już słyszysz w oddali?

GŁOSY.

Irydion, Irydion!

IRYDION.

Bądź zdrowa!

ELSINOE.

Idź. — Ty bądź szczęśliwym i wielkim — a jeśli kiedy przepływać będziesz po Egejskich wodach, garstkę popiołów moich rzuć na brzegi Chiary!

Najwyższy taras pałacu Irydiona otoczony balustradą i posągami Bogów greckich. — MASYNISSA na krześle z kości słoniowej — z tyłu domownicy, barbarzyńcy, żołnierze Irydiona.

MASYNISSA.

Patrzcie jeszcze!

PILADES.

To pewno że około bazyliki coś dzieje się teraz — ale co, to chyba Sfinksy odgadną. — Ztąd łuk Septimiusa wygląda jak dziecię na piasku. — Jeden tylko kapitol jak wielki tak wielki!

JEDEN Z BARBARZYŃCÓW.

O dwieście kroków dajcie gałąź leszczyny a rozedrę ją strzałem po strzale. — Lecz to forum przeklęte za dalcko stoi!

MASYNISSA.

Choć lat tyle cięży moim powiekom i słońc różnych tyle psuło mi źrenice, wzrok mój dalej sięga, ludzie młodzi. — W tej chwili sęp jego hełmu przesuwa się nad tłumem — przed nim idzie miecz dobyty Scypiona — za nim czarne głowy braci waszych!

DRUGI Z BARBARZYŃCÓW.

I mnie raz łysnęło się w oczach. —

PILADES.

Czy wydało mi się barcia? czy słyszałem jakby konające echo tysiąca?

INNI.

Ot! grzmi znowu. —

MASYNISSA.

Nic mu nie będzie — przeszedł i już zniknął w przysionku. — Gladiatorowie usiedli na schodach, a motłoch jak znużone morze liże stopy gmachu. — Ho! Verresie. —

VERRES.

Jestem. —

MASYNISSA.

Wielu masz ludzi pod sobą?

VERRES.

Syn Amfilocha powierzył mi niewolników z Sycjonu i rotę Germanów co od Legji Cysalpińskiej zbiegła do nas wczoraj. —

MASYNISSA.

Jak tylko wejdzie Hesperus, ruszysz z niemi ku Samnickiej bramie. — Tam czekaj, aż słup ognisty wzbije się z wierzchołków na których rozmawiamy, a wtedy zaczynaj od villi Rupilusa i pożar rozpuszczając w lewo zmierzaj zawsze ku Forum. —

VERRES.

Polegaj na mnie jak na Katylinie.

MASYNISSA.

Ah! ufam staremu patrycjuszowi że puhar zemsty wychyli aż do dna.

VERRES.

I znów napełni do brzegów. —

MASYNISSA.

Alboinie!

ALBOIN.

Czego żąda syn pustyni?

MASYNISSA.

Ojciec raczej — gdzie twoje Herculc?

ALBOIN.

Już wrócili, zatrzymawszy jeden wodociąg za miastem, a w mieście fontannę Galby i zdroje Manliusa.

MASYNISSA.

W nocy stanowisko twoje będzie u sadzawki Nerona — pamiętaj czynić powinność na którą przysiągłeś.

ALBOIN.

Nie ma co przypominać — wioskę hordy mojej Cesarz Karakalla spalił nad brzegami Renu — mnie kazał służyć i dosłużyłem się wreszcie dzisiejszej nagrody! Odepchnę żeby ślepego starca z wiadrem, żeby drobnę chłopię z rączką wyciągniętą po kroplę wody!

MASYNISSA.

Dobrze mówisz. — Błogosławieństwo starca nie zaszkodzi tobie!

VERRES (do Masynissy).

Proszę cię spojrzyj — serce mnie boli z oczekiwania. —

MASYNISSA.

Pusto już wszędzie. — Jeden Scypion tylko leci na koniu. —

WSZYSCY.

Zkąd?

MASYNISSA.

Od Kurji Hostylli — teraz jednym skokiem przepadł wśród pałaców. —

PILADES.

Może panu naszemu trza ruszyć na pomoc. —

MASYNISSA.

Nic nie słyszycie?

WSZYSCY.

Nic — nic. —

ALBOIN.

Jakiś niedobitek dźwięku krąży w uchu moim. —

MASYNISSA.

Ja wam mówię, że tętnią kopyta. —

VERRES.

Coś takiego — coś takiego. —

PILADES

Patrzcie. — On, on się wydobył. —

VERRES.

Teraz obelisk i portyk go przesłoni. —

ALBOIN.

Jak strzała przebił na wylot świątynię. —

MASYNISSA.

Scypionie!

GŁOS SCYPIONA.

Zwycięztwo!

CHÓR.

Niech żyje wnuk Afrykanina!

GŁOS SCYPIONA (na wschodach).

Nie traćcie czasu — słońce już w kałuży krwi tonie za Tybrem — z lochow wynieść pnie i gałęzie cyprysów i nim wejdą gwiazdy, stos z nich ułożyć nad domem — (wchodzi). Verresie, Masynisso, przyjaciele, nie ma już senatu!

PILADES.

A pan mój gdzie?

SCYPIO.

Udał się do pałacu Cezarów, by straż pretoryańską obejrzyć. — Za chwilę ujrzycie go tutaj! (Do niewolników wchodzących z drzewem i konwiami). Tu pośrodku — między Minerwą Ateńską i Dianą z Efezu — a każdą warstwę przysypać korą aloesu, polać zdrojem nafty!

MASYNISSA.

Lubię głos twój Luciuszu! Mów nam, jakoś braci wypędził z siedzeń kurulnych. —

SCYPIO.

Irydion samowtór ze mną wszedł do kurji. — Siedzieli spisani ojcowie jak za dobrych czasów — posąg Heliogabala leżał na ziemi z głową przy stopach, z rękoma u szyji, a Volero starszy nogą parł mu piersi i przemawiał udając Katona!

VERRES.

Syn kupca!

SCYPIO.

Umilkł też jak Greka zobaczył, bo na czole Greka noc posępna, jakby noc wieków przeszłych, leżała w tej chwili. — Maxymin Uxor zapytał, jakim prawem znieważamy progi senatu — na to syn Amfilocha oparł się o podstawę filara i ręce założywszy na Meduzie pancerza rzekł: — Rozejdźcie się i miasto opuśćcie. — Wrzaski zagłuszyły te słowa. — Kapłan Jowisza Ventidius krzyczy na liktorów — inni porywają się z krzeseł i dobywają sztyletów. — Irydion wtedy ozwał się, szydząc mroźnym głosem: — W przybytku gdzie Ojcowie wasi potępili Grecję, zhańbię was na zawsze, jeśli nie usłuchacie. — Volero rzucił się z pod mównicy, ale sztylet jego ześliznął się na zbroi Greka i sam padł u podnóża Kaliguli, na ostrym węgle rozkrojone czoło krwią plusnęło i zemdlał Senator. — Grek nie raczył nawet dobyć miecza, obrócił się ku mnie: — Oddaję ci ich Scypionie — i klasnął — nasi drzwi ze spiżu wyrwali, Liktorów przeparli, runęli do kurji — przed ostrzami ich mieczów ustępowali. Ojcowie — kto się opierał, ten leży obok Volerona — kto mógł, wyskoczył

bocznemi ujściami — uciekając, świadczyli się Jowiszem, a ja zwycięztwem pod Zamą Verresie!

VERRES.

Ah! mnie tam nie było!

MASYNISSA.

Uspokój się — za to dziś w nocy zasiądziesz do lepszej biesiady!

CHÓR.

Oto pan nasz idzie — głos jego słyszymy. —

(Wchodzą gladiatory — za nimi Irydion.)

PILADES.

O synu Amfilocha, tyś nam wrócił cały. —

IRYDION,

Wstań, dobry mój Piladzie — dzięki tobie!

Ha! stos już wzniesiony, tylko nie ma całuna z amiantu dla popiołów Romy. — Witajcie mi wszyscy. — Starcze rozdałeś rozkazy?

MASYNISSA.

Stało się według życzenia syna mego. —

IRYDION (siadając przy Masynissie).

Odpocznijmy chwilę, zdejm mi szyszak Piladzie.—Luciuszu!

SCYPIO.

Słucham wodzu!

IRYDION.

Zważaj pilnie na każde słowo, iżbyś je zapamiętał i strzegł jak zemsty swojej! — W ogrodach pałacowych stali pretorjanie w nieładzie i przerażeniu, jedni pijani, drudzy bez oręża, inni bez znaków Centurji swojej. — Dałem im się wykrzyczyć — a kiedy ucichły gwary wzniosłem rękę moją — na widok pierścienia niebezpieczeństwo gorejące pojęli. — Trybuni otoczą mnie i pytają się — krótko przemówiłem — rzezańce Syryjczyka znieśli pełne misy srebra — przysięgi straszne z ust wszystkich zagrzmiały — aż do ostatniej kropli — aż tchu nie stanie — i inne na dzisiaj dobre, zgrzybiałe do jutra. Idź więc i obejmij nad nimi czuwanie — uprzedziłem że przyszlę jednego z moich — na znak weź miecz Eutychiana

i na pomoc przybierz gladiatorów Elsinoi. — Trzymaj ich ciągle w oczekiwaniu, mów że za murami już widać manipule Severa — kiedy jęk w mieście rozlegać się zacznie, mów że to manipule Severa — kiedy łuna dojdzie ogrodów, mów że to manipule Severa. — Oni nie wyjdą na spotkanie wściekłych braci swoich — a gdyby nad rankiem nadeszli Zamiejscy, wtedy z początku łudź Aleksandra, wynajduj jakie chcesz warunki, zrywaj je i odnawiaj dopóki cierpliwości mu stanie — a potem bij się do upadłego. — Heliogabal i Karakalla — niech będzie twojem hasłem zwodniczem. — Aż ujrzysz płomienie u szczytów Kapitolu i płomienie na Forum — poznasz wtedy że syn Amfilocha bliski!

SCYPIO.

A gdyby Syryjczyk wyczołgał się z głębin pałacu i chciał pomięszać nam szyki?

IRYDION.

Nad Syryjczykiem czuwa siostra moja. — Zresztą szanuj jego życie do końca, bo pretoryanie służą nam tylko, dopóki on oddycha.

SCYPIO.

A ty gdzie się udasz?

IRYDION.

Może jeszcze w nocy zawitam do ciebie. Teraz spiesz się — już zmierzch lekkie zagony rozpuścił po niebie. —

(Scipio wychodzi.)

I tobie czas odejść Verresie!

VERRES.

Za mną!

(Wychodzi z kilkoma.)

IRYDION.

I Alboin w jedną drogę z niemi. —

ALBOIN.

Do widzenia Sygurdzie!

(Wychodzi.)

IRYDION (do niewolników).

Niedługo i wam już trzeba się wybrać. — Lecz pierwej w dolnych perystylach zasiądźcie do przygotowanej biesiady. — Ostatni raz jedzcie i pijcie w domu moim. — Jutro ten dom się rozsypie. — Jutro będziecie zamożni i wolni!

CHÓR NIEWOLNIKÓW.

Byłeś ojcem naszym i matką naszą — pożywając chleb z ręki twojej, żyjemy dotąd, a innych po cyrkach i polach nagie świecą kości. — Jeśli który nie wróci, nie pytaj się o niego. — On zginął dla chwały twojej, błogosławiąc Tobie!

IRYDION.

Idźcie! a kiedy stos ten cyprysowy błyśnie, od świątyń, od Termów, od bram miasta, odpowiedźcie mu płomieniem i dymem. —

(Wychodzą — on wtaje i opiera się na stosie.)

Im bliżej godziny, tem srożej krew moja szaleje. — Czy to nie fałszywe ciemności? Czy odwieczna żądza serca mojego tych gwiazd nie wykłamała przed mojemi oczami? — Nie — nie — teraz poznaję noc ostatnią Rzymu. — Czy widzisz Masynisso jak tam skradają się męże? — W bok czy widzisz tę samotną pochodnię ciągnącą nad wzgórzem ogrodów? — Ah! konie zarżały! to konie Verresa — cicho, cicho ludzie moi. —

MASYNISSA.

I pod nami dziedzińce zaczynają się wypróżniać — coraz mniej głosów — jedno zdrowie jeszcze wnoszą. —

IRYDION.

Imię moje rozbiło się o sklepienia. —

MASYNISSA.

Teraz z portyków jedni po drugich zchodzą i zgarbieni, milczący zapadają w ciemnościach. —

IRYDION.

Wszyscy dotrzymali słowa, wszyscy z domu Amfilocha idą na zgubę Romy. — Nazarenów tylko jeszcze nie widać. — Ale Symeon przysiągł że o trzeciej godzinie sam ich przyprowadzi do mnie. —

MASYNISSA.

Nie długo ci czekać. — Hesperus stanął już nad kapitolem i włosy Bereniki z nad gór Sabińskich się wznoszą. —

IRYDION.

O nocy! nie skąp mi chmur i wiatrów — przez wieki potem świecić będziesz jasno i cicho nad rozwalinami, czas mi się ociąga — czas mi dolega starcze!

MASYNISSA.

I mnie także. — Lecz ja czekam dłużej niż ty na upadek wroga i czekam w milczeniu.

IRYDION.

Ah! głos twój zdał mi się głosem ojca. — Czyż w tej chwili posąg Amfilocha nie dostanie krwi i żył i bijącego serca? W ciemnościach na tem białem krześle ty mi go przypominasz (idzie do niego). I toga jego tak samo była zarzucona w dniu śmierci! — Daj ręce obie — wyrzecz nad głową moją słowo opieki tak, jakby on uczynił przed hasłem do boju. —

MASYNISSA.

Niechaj znak mój będzie na czole Twojem aż do końca wieków. — Przetrwasz z nim koleje, których nie obaczą te gwiazdy!

IRYDION.

Miasto całe w płomieniach! — nie — tylko w źrenicy mojej buchnęły pożary. — Gdzie oni? gdzie Chrześcianie? — Coraz czarniej, coraz ciszej w dole — coraz wietrzniej w górze — a ich nie ma jeszcze?

PILADES (wchodzi).

Czy mnie wołasz?

IRYDION.

Nie ciebie. — Stój — czy w lochach nie odezwały się szelesty? — Czy od katakomb nie zbliżają się kroki?

PILADES.

Wracam z sali Amfilocha — nigdzie nic nie słyszałem. —

IRYDION.

Przynieś pochodnię (Pilades wychodzi). To być nie może — oni za chwilę tu będą!

MASYNISSA.

A gdyby nie przyszli?

IRYDION.

Nie przeklinaj mnie. — Na nich oparta cała moja potęga. — Na ich czele zbiegnę miasto i ludowi rzymskiemu przypomnę Brennusa. — Gladiatory i żołnierze moi bez nich nie wystarczą tłumom. — Jeśli mnie zdradzili, zginąłem!

MASYNISSA.

Dośpiewują Hymnów swoich, bądź cierpliwy synu!

(Pilades wraca z pochodnią.)

IRYDION.

Zatknij nad stosem!

Konam jak Prometeusz w łańcuchach o chmurę jedną od biesiady Bogów. — Czego ty milczysz — ozwij się Masynisso, niech żyje Hellada!

MASYNISSA.

Milczę, bo godzina naznaczona minęła w tej chwili i każde pióro jej skrzydeł śmiechem przedłużonym szumiało w przelocie. — Teraz nic już nie słychać. —

IRYDION.

Wbrew losom i ludziom niech się stanie wola Ojca mego! (porywa za pochodnię.) Cześć ziemi Greckiej, cześć! a Ty potrójna Hekato przyjm tę ofiarę. —

Ha! kto idzie? odpowiedz czarne widmo! — Jeżeli jesteś moim złym geniuszem, przyjdź później! Teraz nie wstrzymasz mnie!

POSŁANNIK.

Pokój Tobie w imieniu Jezusa Nazareńskiego!

IRYDION.

Tak tak — cóż dalej? gdzie pustelnik? gdzie bracia?

POSŁANNIK.

Symeon wzywa ciebie w rozpaczy. — Na progach Eloimu Biskup zatrzymał wszystkich zbrojnych spieszących ku miastu!

IRYDION.

Dzięki ci sługo świętych. — Patrz! zimny jestem — nie zabiję ciebie (depcze pochodnię). Ty jedna tylko umieraj! — (Do Masynissy.) Jeśli kto z moich wróci, niechaj siądzie i czeka!

MASYNISSA.

Jeszcze daleko do zorzy. —

PILADES.

Panie, panie, szyszak twój!

IRYDION.

By zwyciężyć dość miecza — by zginąć nie potrzeba hełmu — naprzód Nazarenie!

(Wychodzą.)

MASYNISSA (wstając i wznosząc ręce).

O miasto serdeczne moje błogosławię tobie! O Roma w cieniu tych ramion bądź spokojnej myśli! — Zbawiona jesteś dla podłości twojej! Zbawiona jesteś dla okrucieństwa Twego! Żyj i uciskaj — by ciało zepsuło się w mękach, a duch zwątpił o Bogu!

(Znika za stosem.)

Przybytek Eloimu w katakombach. — VIKTOR na stopniach ołtarza. — Za nim kapłani i starce. — Z jednej strony klęczy SYMEON, z drugiej stoi METELLA. — Dalej chrześcianie zbrojni na kolanach — na ołtarzu kielich święty i krzyż obwisły różami wśród palących się kadzielnic.

VIKTOR.

Jako po tych dymach mdlejących tak i po was śladu nie będzie na ziemi ni w niebie! O! żeby sen wasz mógł być kamienny bez wspomnień, bez przebudzenia! Ale w przestworach śmierci wy żyć będziecie tam, gdzie zemsta Pana wiecznym gromem uderza! Wy żyć będziecie na wieki. — (do Symeona) Uciekaj jak pierwszy morderca z przed oblicza Jehowy!

SYMEON.

Słuchaj mnie raz jeszcze!

VIKTOR.

Spojrzyj na tę niewiastę, do której się już nie odzywam, bo ręka sądu spoczywa na jej czole. — Odpowiedz. — Kto duszę tę zabił a ciału przepuścił, by ono pośmiewiskiem było wśród żyjących? Czy nie poznajesz głosu opętania na tych ustach nieszczęśliwych?

KORNELIA.

Czego mnie prześladujecie kapłani ludu mego?

CHÓR KAPŁANÓW.

Milcz córo buntu. — Ty miałaś być aniołem ale nie dotrwałaś do końca — potępionaś, potępionaś!

KORNELIA.

On wyrzekł nademną: — Biedna — on wiedział że hańbę będę cierpieć za niego. — Ale o Symeonie nie wątp. — On przyjdzie — ale bracia nie odpadajcie od niego — on przyjdzie!

Z pośród ogniów mnie wyrwał kiedy się już kłóciły o ciało moje — z pośród was mnie wybawi — on przyjdzie, on przyjdzie!

SYMEON.

Viktorze, słuchaj mnie raz ostatni. — Byłem ci posłuszny zawsze — kto przeciwko mnie świadczyć będzie? Czym dwa razy nie odbył męczeństwa, raz w lochach Antiochji, drugi raz na rynku w Tarsus? Czym lat długich nie pokutował na pustyni? Czym kiedy przełamał zakon lub zgorszył braci moich?

VIKTOR.

Gorszysz ich w tej chwili, chwaląc się jak Faryzeusz przeklęty przez Syna człowieka!

SYMEON.

Mówię prawdę. — Kto z was głębiej rozmyślał nad męką Pańską — w kim żarliwszą miłość obudziły wspomnienia Golgothy? Sam Bóg, by świat zbawić, ubrał się w ciało — a my, by świat nauczyć nie dostaniem że ciała? Dotąd marne duchy z nas. — Gdzie dom, gdzie kościół, gdzie potęga nasza?

VIKTOR.

Sofisto koryncki, kogóż ty usiłujesz omamić?
— Królestwo moje nie z tego świata. — Czy słyszycie?

SYMEON.

Czemu opuściłem moje piaski wrzące. — Tam niestworzonego kochałem — tu nie cierpię stworzonych!

VIKTOR.

Synu!

SYMEON.

Głos słyszany po nocach mnie pędzi. — Czyż to marne przeczucia?

VIKTOR.

Tyś niedawno jeszcze był wybranem dziecięciem kościoła — a dzisiaj Pana twego chcesz ukrzyżować na nowo. —

KORNELIA.

Niżej czoła! słyszę odgłos z niebozstąpienia!

(Irydion wchodzi.)

On to z nieśmiertelną młodością na licach. —
(Do stóp mu się rzuca.) Mówiłam im, że ty przyjdziesz o Panie, Panie!

CHÓR KAPŁANÓW.

Precz ztąd kacerzu!

VIKTOR.

O tej godzinie czara miłosierdzia wysycha w ręku anioła twego. —

IRYDION.

Krwią Rzymian ją odświeżę. —
Kto przysiągł i nie dotrzymał? Symeon z Koryntu. — Kto się zgarbił do ziemi i oręż z dłoni wypuszcza? Wy bracia — a w mieście teraz Cezar i Bogi miasta, czekają tylko zmartwychstania świętych by skonać. — Ha! zostawcie zgrzybiałych na grobach, chodźcie za mną — tam zwycięstwo, tam gwiazdę ujrzycie jaką widzieli królowie w dniu narodzenia Jezusa. — Tam Archaniołów śpiewy!

SYMEON.

Hjeronimie, Hjeronimie ku tobie, ku naszym nadziejom wyciągam ramiona!

CHÓR.

Proś Viktora!

IRYDION.

Ojcze!

VIKTOR.

Dziś ojca straciłeś w niebiesiech!

IRYDION.

Starcze!

VIKTOR.

Siwizny mojej nie dożyjesz bezbożny!

KORNELIA (do Irydiona).

Daruj mu Panie. — On nie wie co czyni — do broni, do broni!

IRYDION.

Ty jedna tylko, bo ciebie także puściły losy!

VIKTOR.

Syny ludu mego patrzcie! Znak wam dany będzie, abyście żałowali za winy wasze, abyście ocaleli za wdaniem się pasterza waszego!
Ty pierwsza niegdyś, dziś ostatnia u stołu pańskiego przybliż się. — Niech moją rękę położę na skroni twojej!

KORNELIA.

Dawniej tyś miłował córę Metellów. — Czego chcesz od niej dzisiaj?

VIKTOR (wznosząc puhar).

Uniż się przed krwią Pańską!

KORNELIA (obracając się ku Irydionowi.)

Uniżę się przed Panem!

(Kapłani podają wodę święconą Viktorowi.)

VIKTOR.

Duchu święty, w Ojcu i Synu poczęty! to serce obłąkane uczyń na nowo domem twoim!

Tak jak w godzinę chrztu poświęcam skronie twoje Kornelio!

CHÓR.

Czyż sen ogarnia dziewicę, że zawarła powieki i skłoniła głowę?

VIKTOR (do kapłanów).

Otoczcie ją — podajcie jej ramiona!

KORNELIA.

Do broni!

VIKTOR.

Milcz zły duchu, który przemawiasz jej obłędem. — Znakiem krzyża opasuję ciebie — słowem Jezus rozkazuję tobie. — Kłamco, jakiekolwiek imię twoje — jakakolwiek potęga twoja, wynidź i zniknij!

KORNELIA.

W piersiach sto jęków nie moich, sto jęków słyszę!

VIKTOR.

Ustąp!

KORNELIA.

Ratujcie mnie!

IRYDION.

Tu droga, tu w objęcia moje!

KORNELIA.

Ziemio rozstąp się — ukryj mnie przed jego wzrokiem śmiertelnym!

IRYDION.

Kornelio, ty moja, ty!

KORNELIA.

Gdzie ona? nazywaj ją tem imieniem! Ona uwierzyła tobie — ona zginęła na wieki. — Ha! śmiechy, śmiechy rozrywają powietrze! czarne widma okrążają ciebie — precz — precz. —

IRYDION.

Rozstąpcie się. — Oddajcie mi ją — bracia, wyrwijmy dziewicę z rąk katów!

KORNELIA.

Czyj to głos? słyszałam go tyle razy. — Ah! ona była prosta i szczera — ona kochała ciebie przed laty — i ty piękny byłeś — tak — i ty mówiłeś jej — Chwała moja twoją będzie. —

VIKTOR.

Apage Satanas.

KORNELIA.

Nie przybliżaj się, uciekaj odemnie — czy widzicie te tysiąc skrzydeł czarnych nad nim! Gdzie Bóg mój?

VIKTOR (krzyż jej wskazuje).

Tu córko?

KORNELIA.

Daj go do ust moich (krzyż całuje). Daruj mi, daruj!

VIKTOR.

Wyrzekasz się złego ducha?

KORNELIA.

Wyrzekam się — (pada). Bracia, on zwiódł ją, on zwiódł was wszystkich!

CHÓR.

Czegoś tak zbladła strasznie, czemu powstać nie możesz?

KORNELIA.

Sąd Pana dopełnia się nademną. — Umieram — ale słuchajcie, słuchajcie. — Ja w Panu umieram! (ciśnie się ku stopom Viktora). Ojcze pobłogosław. — Ojcze przyciśnij do łona. — Ojcze broń konającą — już zimno — już straszno — już nie widzę ciebie!

VIKTOR.

Bądź spokojna — żal twój zbawił ciebie!

IRYDION.

Oderwij się od tej piersi bez serca — do mnie, do mnie Kornelio!

KORNELIA.

Ah! (obraca się ku niemu) przebaczam ci Hjeronimie — Hjeronimie, módl się do Chrystusa!

(Pada.)

VIKTOR.

Czy ty słyszysz mnie jeszcze? Córko odpowiedz — Kornelio!

KORNELIA.

Czuję woń rosy i kwiatów.

(Umiera.)

CHÓR CHRZEŚCIAN.

Ojcze wdaj się za nami do niewidomego. — Co rozwiążesz na ziemi i tam rozwiązanem będzie. — Ten który nas uwiódł, sam blednie teraz!

IRYDION.

Hańba wam! Czyż słowa niewiasty będą jedyną wiarą waszą? czy na jej rozkaz porwiecie żelazo? czy dla tego że ją zabili niegodziwi, porzucicie sprawę moją? Głuche milczenie — wstyd usta wam zawarł ciężki, ciężki jak kamień sarkofagu!

SYMEON.

Szatę rozdarłem — pchnij mnie. — Sen i życie niech się kończą razem!

IRYDION

Nie odzywaj się do mnie niewolniku starców! — Ty coś ją wydał starcom! Ty przeklęty!

VIKTOR.

Wyklinam cię z pośród synów ludu mojego — kto się dotknie dłoni twojej skażon będzie. — Kto stanie by słów twoich słuchać odrzucon będzie. — Idź — Imię twoje było Hjeromin!

(Wchodzi posłannik.)

CHÓR KAPŁANÓW.

Pan z tobą — co nam przynosisz Julianie?

POSŁANNIK (klękając przed biskupem).

Augusta Mammea poleca się modłom waszym, bo w tej chwili syn jej wkroczył do miasta i bój rozpoczął na Forum!

IRYDION.

Czas mnie ubiegł. — Ludzie mnie zdradzili (wyrywa krzyż z pod zbroi i rzuca). Oddaję wam znak życia wiecznego. — Patrzcie! jak prysł na stopniach ołtarza! Żyjcie podli!

KILKU BARBARZYŃCÓW.

Stój — słowu naszemu wierni idziemy za tobą. — Jezus niech nas sądzi potem!

IRYDION.

Wołajcie Odyn i Grymhilda.

(Odchodzi z niemi.)

VIKTOR.

Módlcie się za Aleksandra Severa — on będzie Cezarem.

Ulica pomników przy murach Rzymu — żołnierze wnoszą rannego Verresa. W głębi czasem przebiegają uciekający.

VERRES.

Twoja pochodnia dwoi mi się i troi przed oczyma. — Czytaj napis Greku!

ŻOŁNIERZ (czyta).

Deis manibus, Attili Verris bis consulis.

VERRES.

Dosyć — złóżcie mnie u stóp pradziada — i mówcie dobra noc, bo choć dzień bliski, nie obaczę słońca!

(Z przeciwnej strony wśród rozwalin pomnika wychodzi Irydion z katakomb. — Za nim zbrojnych kilku.)

IRYDION.

Zorza ta natrząsa się ze mnie udając łunę pożaru. Topory oderwać od pasów Towarzysze! (Idzie kilka kroków naprzód). Co wy za jedni, oparci na grobach?

VERRES.

Czy śni się umierającemu, czy słyszę głos Irydiona Greka?

IRYDION.

Mój własny. Verresie — co się dzieje z tobą?

VERRES.

Chódź bliżej — wiesz — pamiętasz; znak miał być dany — czekałem jak zgłodniałe zwierzę, i nic, nic nie widziałem, wreszcie sam zacząłem. — Wyjrzyj za tę piramidę, proszę cię, tam, tam, kłęby dymu jeszcze się wiją na lewo. — Rupiliusa udusiłem w popiołach — i lud napadł nas potem, i — Severus niech żyje — zewsząd huczało. — Dostałem co mi kraje wnętrzności — coraz widniej, a Roma stoi dotąd — a ja ostatni z Verresów — ja pod nożycami parki.

(Umiera.)

IRYDION.

Tak, ostatni! Darmo go tucicie Greki moje — zapłacił co był winien losom. — Uszykujcie się i wy Germanie, połączcie się z braćmi których przyprowadziłem (wbiega niewolnik uciekający). Stój — zkąd bieżysz?

NIEWOLNIK.

Od Forum romanum — puszczajcie!

IRYDION.

Darowałem cię niegdyś siostrze mojej. — Tyś mi nieraz śpiewał Homera — wczoraj jeszcze zapinałeś fibulę chlamidy mojej w pałacu Cezarów a nie poznajesz mnie?

NIEWOLNIK.

Ah! szlachetny panie mój!

IRYDION.

Co słychać — nie oszczędzaj mi bolu!

NIEWOLNIK.

Źle, źle bardzo, panie mój, bo ledwo kawał nocy ukroczyły gwiazdy, aż tu nagle nie wiedzieć zkąd wrzasnęły Legje Severa i hurmem rzucą się na wzgórze Palatynu. — Scypion bronił się wściekle. — Głos jego noc całą słyszałem gdyby wycie rozjuszonego wilka. — Wiesz panie, na służbie ja stałem obok komnat Cezara. — Eutychian przychodził i odchodził niezmiernie blady. — Siostra twoja raz tylko wyszła i rzekła — Euforion. — — Czego żądasz boska Elsinoe? — Ale ona i słowa więcej nie mówiła — odeszła zwolna, piękną zawsze. — Ale na czole dziwna świeżość, jakby tam już plusnęła fala Styksu. — Zewnątrz krzyk i łoskot coraz większy. — Eutychian nie wytrzymał, zawisnął u porfirowego ganku i woła bez zmysłów — Grek zdradził — to znowu — Greczynka zdradziła — to — Imperator chce miasto zburzyć — i — darujcie mi Kwiryty. — Z drugiej strony Arystommacha słyszę, mówi o nagrodach, o wspaniałości Aleksandra, a kiedy umilknie wnet jęki z pod jego miecza, a kiedy odpoczywa znów ludzi naszych obietnicami — wreszcie Pretorianie się zbuntowali. — Trybunów i Centurionów słuchać nie chcą — groźby Scypiona marnie latają w powietrzu — bitwa ustaje w ogrodach, wszyscy razem walą do nas. — Ja wtedy panie wszedłem kędy była siostra twoja, bo przysiągłem był tobie jej bronić. — Cezar leżał z obłąkanym wzrokiem, do diadematu przypiął był nadusznice Arcykapłana, nóż ofiarniczy w jednej ręce trzymał, w drugiej czarę z trucizną; ale nie mógł się zabić i jęczał — to znów wolno, cicho oddychał, to nucił pieśń roskoszną jak gdyby w śnie jakim dziwnym! Ona siedziała opodal na krześle złotem, okolona purpurą, milcząca. — Drzwi pierwsze, drugie, trzecie stęknęły i pękły — kroki, głosy, szczęki bliżej — zastawiłem ją ciałem mojem!

IRYDION.

Daj rękę!

NIEWOLNIK.

Włóczni dwadzieścia rozdarło zasłonę która nas od Perystylu dzieliła. — Runęli, wiódł ich Arystommachus, wołając — rabujcie, mordujcie. — Imperator jak tygrys podskoczył w górę i nazad ugrząsł w różach krwią oblany — wtedy przesłonili go żywą ścianą mieczów — alo potem gdzieś ręce jego widziałem — w innem miejscu głowę jego!

IRYDION.

A Elsinoe, Elsinoe?

NIEWOLNIK.

Źle, źle panie, bo kiedy wchodził Aleksander Severus wołając z sił całych: — Kto dotknie się Greczynki temu nie żyć jutro — ona sama, odchylając purpurową zasłonę pchnęła się sztyletem. — Błysk stali i krwi strumienie — to tylko dojrzałem i słów niewiele ostatnich utkwiło mi w pamięci!

IRYDION.

Nie zważaj — nie zważaj — kamienną duszę dały mi Bogi!

NIEWOLNIK.

— Irydionie! wroga twego nie będę kochała. — I rzekła jeszcze: Dopełniłam. Teraz matko przyjm mnie do siebie — wtedy wśród tłoku pchany i odpychany potknąłem się na trupie Eutychiana i uciekać zacząłem — po drodze spotkałem Scypiona — on ustępuje z kohortami Cherusków, co jedne przejść nie chciały do Severa. — Oto on już idzie Panie.

IRYDION.

Słońce, które wschodzisz tak obmierzle, tak jasno, odpowiedz mi, gdzie siostra, biedna siostra moja?

(Odchodzi w bok i opiera się na groble.)

Tam na zachodzie opłakana, ostatnia mgła nocy zatrzymała się jeszcze nad szczytem Vulkanu! Elsinoe czy to ty mnie żegnasz? Matka powiadała niegdyś, że cienie lubią się kołysać na czarnych chmurach. — Elsinoe!

(Scypio wchodzi z Kohortami i staje przy ciele Verresa.)

SCYPIO.

Pierwszy z nas zasnąłeś bracie! skrzepłą rękę niech ci ścisnę jeszcze. — Sit tibi terra levis!

NIEWOLNIK.

Patrz! to on wśród tych kolumbariów stoi i pasuje się z bolem!

SCYPIO.

Kto?

NIEWOLNIK.

Czy nie widzisz? Syn Amfilocha!

SCYPIO

Ah! wodzu — darmo czekałem na płomienie twoje!

IRYDION.

Wiem o tem. —

SCYPIO.

Fortuna zdradziła nas wszędzie. —

IRYDION.

Wiem o tem. —

SCYPIO.

Ulpianus i Tubero gonią za nami — cóż poczniemy?

IRYDION.

Czoła ku nim obrócim — krwi rzymskiej, krwi rzymskiej, jeszcze trochę Scypionie!

SCYPIO.

Nie ma słabości w tobie — rozpacz drugim mieczem twoim! Żyj wodzu, bo takiemi niegdyś byli Patrycjusze Romy. — Mnie lepiej zginąć przy tobie, niż obalić się na Cyrku. — Naprzód!

IRYDION.

Za nadzieją precz niechaj idzie i pochwa — a ty rękojeści przyrośnij do dłoni. — Śmierci Aleksandrowi! naprzód!

(Wychodzą.)

CZĘŚĆ CZWARTA.

Pałac Cezarów — Aleksander Severus, Mammea, Ulpianus, Dworzanie.

ULPIANUS.

I czegóż jeszcze po nim spodziewać się możesz? Czyż z razu nie zwodził nas mglistą posępnością? Czyż później nie powstał przeciwko nam — jasno, nieubłaganie? A teraz wdałże się w prośby, uznałże cię panem Rzymu? Wczoraj dzień cały walczył z nami, w nocy spalił dwie świątynie, popierając sprawę, zgubioną raczej jak Duch nienawistny niż jak człowiek śmiertelny — bo z przejrzenia Bogów ludzie kochają się w złem dla celów swoich tylko, nie zaś dla miłości złego! — Radą moją nie mieć żadnej litości — i tak już dosyć łaski twojej żeś mu ciało siostry odesłał.

ALEKSANDER.

Kiedy z łonem przebitem wstrzymując jęki, gasła w moich ramionach, przysiągłem że bratu przebaczę — i duch jej z tą obietnicą odszedł odemnie. —

ULPIANUS.

Inni mogą chwalić wspaniałomyślność Cezara — mnie przystało nazwać to słabością tylko. — Juniusa za to uczcili przodki nasze Sprawiedliwego imieniem, że własnym nie przepuścił synom — kto występnym przebacza, ten niewinnych będzie karał kiedyś!

MAMMEA.

Trwaj w myśli twojej. — Miłosierdzie jest drogą purpurą królów!

ULPIANUS.

I bywa ostatnią!

ALEKSANDER.

Konsulu, nie odmienimy postanowienia naszego — na dzisiaj taka wola nasza. — Idź i podaj mu warunki, którę ci wskazałem, a jeśli wrócisz z pomyślną wieścią, obrócę się do was wszystkich i szczęśliwszy od Tytusa — nie straciłem dnia, rzeknę, przyjaciele moi. —

ULPIANUS.

A jeśli wrócę ze wstydem odrzuconej łaski!

ALEKSANDER.

Wtedy wolny będę od słowa mego — a ty zaczniesz wywierać sprawiedliwość twoją!

(Ulpianus wychodzi.)

Sala Amfilocha. — Ciało Elsinoi na wzniesionym łożu, w białych szatach, osypane cyprysu gałązkami. — Obok woda lustralna. — Ołtarz po środku sali. — Chór dziewic płaczek. — Pilades — wchodzi Irydion, za nim Gladiatorowie i niewolnicy.

IRYDION.

Gdzie Masynissa?

PILADES.

Nie widziałem go od chwili, w której i ty po raz ostatni widziałeś go Panie. —

IRYDION.

Masynisso!

CHÓR.

Masynisso!

IRYDION.

Dwa razy sklepienia odpowiedziały za niego.

(Siada pod posągiem Ojca.)

PILADES.

Starzec zdradził Panie!

IRYDION.

Nie mów tego — (twarz zakrywa rękoma) on, przyjaciel Amfilocha, on, przed którym groby pękają, kiedy je zaklnie potęgą

słowa! — nie — nie — on wróci — on nie opuści Sygurda — (wstaje). Zgromadziłem was w chwili, kiedy znużone kohorty Rzymian odstępują od walki, byście wyrządzili cześć ostatnią zwłokom siostry mojej. — Ona pierwsza padła ofiarą naszej świętej sprawy — kto mnie poważa niech Jej pamięć szanuje; kto nienawidzi Romy, nichaj Jej wdzięcznym będzie — kto przysiągł zginąć ze mną, niechaj błogosławi Jej cieniom —

(Podnosi kropielnicę cyprysową i rzuca kropel kilka na ciało — wszyscy jedni po drugich przechodzą i to samo czynią.)

CHÓR NIEWIAST.

Dotąd jeszcze straszny sternik syn Erebu i Nocy nie zabrał cię pod czarne żagle. — Dotąd jeszcze o Elsinoe, błądzisz z tej strony Styksu. — Ale już sztukę złota kładziemy ci w usto byś okupiła się przewoźnikowi. — Ale już mak i miód kładziemy ci w dłonie byś uśpiła Cerbera. —

Chwil kilka, a pójdziesz kędy się wiją roje umarłych jako dymy ciężkie, jako liście jesienne, pójdziesz ku sądowi Radama, ku płaczom i jękom. — Salve Eternum!

Ale stopy twoje dotkną się tylko płomieni i znikome, białe jak skrzydła, uniosą cię dalej. — Zostawisz za sobą miedziane progi Erebu — ognistą, siedem razy w okół Tartaru okręconą rzekę przelecisz, i słodkie ujrzysz światło i zielone gaje. — Tam spokój cichy i smętny, tam pełna czara zdroju Letejskiego czeka na ciebie, i cienie dziewic, co jako ty zniknęły przed czasem, kwiatów ściętych ocalone liście. — Idź — już sztukę złota kładziemy ci w usta — już miód i mak kładziemy ci w dłonie. — Salve Eternum!

(Wchodzi Euforion.)

IRYDION.

Co nowego?

EUFORION.

Poseł Cezara i konsul o posłuchanie prosi. —

IRYDION.

Niech go wpuszczą!

(Ulpianus wchodzi — za nim niosą orły cesarskie.)

ULPIANUS.

Jako ty niedawno do nas, tak ja dzisiaj wrogu do ciebie przychodzę w poselstwie. —

IRYDION.

Jako wy mnie wtedy, tak ja dzisiaj wam odpowiem — do broni! —

ULPIANUS.

Ale jednakowe słowa nie jednakowy skutek wywróżą — nam przyniosły zwycięstwo. —

IRYDION.

Zwycięstwo! — czy już zaszedł rydwan na via sacra? czy już posąg Fortuny trzyma wieniec nad głową Triumfatora? Czy kto już spędził Alboina z Viminalu? Czy Scypion ustąpił z Awentynu? Ostatniej nocy powiedz mi, kto kościół Faustyny, kto bazylikę Emiliusa w popioły rozwiał przed waszemi oczyma?

ULPIANUS.

Widziałem skazanych, którzy szli na śmierć wrzeszcząc i poklaskując. — I wy tak czynicie! Tymczasam Aleksander jak dziecię swawoląc z pomyślnemi Losy, ofiaruje ci pokój i przebaczenie zbrodni. —

IRYDION.

Może zelżonego Majestatu?

ULPIANUS.

Czyż jej nie popełniłeś?

IRYDION.

Majestat wasz od wczoraj się poczyna, a zbrodnia moja stara jako serce wolnych — dalej!

ULPIANUS.

Imperator żąda byś stolicę opuścił na zawsze i wrócił do Chiary. — Wprzódy jednak przysiężesz mu na wierność przy dymiących trzewach i co do jednego wydasz wspólników twoich. — Jeśli zgodzisz się na te warunki, on który cię może okuć w łańcuchy i rozbić na krzyżu, poda ci rękę w chwili pożegnania i zapomni. —

IRYDION.

Głośniej mężu konsularny! (odwraca się do swoich.) Czy słyszycie ludzie moi? Cezar wróci mi swoje względy, bylebym was spętanych jak bydlęta rzucił pod rózgi Liktorów! Cóż mam począć ludzie moi? Wszak prawda, zdajmy się na łaskę Cezara, wszak miło czołem rozbić się o stopy Jego?

Nieśmiertelne Bogi! wy, które o nas nie dbając, drzemiecie na wierzchołkach Olympu, rozśmiejcie się przynajmniej w chwili, kiedy syn Mammei hańbę przysyła mi w darze przez ust prawnika swego! (wstaje i zbliża się do Ulpiana.) Prędzej Skorpion usiądzie jak niewinny motyl na dłoni Cezara, prędzej piorun Zeusa prosić się go będzie: — Daj, daj tę chmurę rozedrzeć — niżli ją broń złożę i wydam braci moich!

ULPIANUS.

Nie nalegam na ciebie, dopełniam tylko zleceń tego, który mnie przysłał. — Owszem bądź ślepy do końca i z garstką złoczyńców dni jeszcze kilka żzymaj się na wielkiem łonie Romy — walcz za pamięć i sławę pana, którego obrałeś sobie na ziemi, a kiedy na czele swoich zasuwać się będziesz w ciemności Tartaru, jeszcze na brzegach Styksu wołaj: — Niech żyje Syryjczyk. — A trójgłowny Cerber wtórować ci będzie!

IRYDION.

Takżéś prawdy doszedł znawco serc ludzkich! — Robak co wił się po ziemi, proch co z koturnów moich zlatywał, dłużej mi się ostały w pamięci niż jego wspomnienie. — Zapytaj się ich? czy którekolwiek odpowie że znał Syryjczyka!

CZĘŚĆ CHÓRU.

Irydionowi służyliśmy tylko!

INNI.

Sygurdowi tylko!

ULPIANUS.

A umarła?

IRYDION.

Sam ją poświęciłem, ale nie groźbom przemocy, nie obietnicom podłości! Nie obrażaj śpiącej, która się już nigdy nie przebudzi! — Ona czystszą była pod tchnieniem Tyrana niż wszystkie wasze matki i córy!

ULPIANUS.

Za kogo więc się bijesz i przeciwko komu?

IRYDION.

Długie to dzieje starcze!

ULPIANUS.

Aleksander Severus łaskawym był zawsze na ciebie.

IRYDION.

On też drobną cząstką tylko nienawiści mojej. —

ULPIANUS.

Mów więc kto wrogiem twoim?

IRYDION.

Powiedzcie głuchemu i ślepemu, powiedzcie o bracia, kto was odpędził od bitej drogi człowieczego rodu i przymusił stąpać ścieszkami ciemności — kto od kolebki wycisnął wam na czołach znamię pragnienia i głodu — kto w latach późniejszych nie dał wam ukochać niewiasty i zasiąść w świetle domowego ogniska?

CHOR.

Roma!

IRYDION.

Kto sam śmiertelny w nędzy i poniżeniu śmiertelnych położył najsłodsze nadzieje — kto pochwalił syna Mitrydata kiedy rękę podnosił na starego ojca — kto zdrajców południa i zdrajców północy zaprosił na festyny swoje — kto czarę niedoli świata wychylił aż do dna?

CHÓR.

Roma!

IRYDION.

I nektarem z łez i nektarem z krwi upił się jako Bóg piekieł?

CHOR.

Roma — Roma!

IRYDION.

Słyszałeś? Wiesz teraz czem jestem?

ULPIANUS.

Szaleńcem! To miasto od pierwszych dni swoich żyło uśmiechami Bogów. — Ono było drugiem Fatum świata. — Czy nie wiesz że Fortuna jak niewolnica, niosąc ostatki strzaskanego koła, szła za wozem Jego tryumfalnym? Czy nie wiesz, że słabi padli twarzą na ziemię, że co było upartych i wściekłych zniknęło z powierzchni ziemi? A ty się porwałeś szczupły siłą, mierny zasobami, niedojrzały wiekiem,

by zniszczyć Boga, którego pioruny grzmią nad urną Hannibala i nad mogiłami Cymbrów!

Ztąd widzę miejsce, na którem głowa twoja padnie pod cięciem Liktora!

IRYDION.

Wprzódy jeszcze pocisk Cymbra utknie w sercu twojem, topór Cheruska rozetnie pancerz Arystommacha, wprzódy jeszcze Luciuszowi Tubero niezłomnej obietnicy dotrzymam!

CHÓR.

Wprzódy jeszcze za każdą krzywdę naszą czaszkę krwi wychylim — a potem, potem, przyjdą nasi dziedzice i z podziemnych dolin zagrzewać ich będziem!

ULPIANUS.

Bezpotomni jesteście, ostatni z rodu waszego. — Tylko szał i kara wasza jeden kamień węgielny przyrzuci tym wzgórzom.

IRYDION.

I na nim będzie napis pogrzebowy Romy!

ULPIANUS.

Słaby śmiertelniku! ty nie przemienisz tego, co mądrze i święcie opatrzyły nieśmiertelne wyroki! I komuż berło oddać miały, jeśli nie miastu wytrwałości i czynów? Może przedanej Afryce, może rozwiązłej Seleucji, lub igrającej, śpiewającej Helladzie? Nie — tam potęga się urodziła, gdzie lutnia nie brzmiała nigdy, gdzie na czole zamiast wianka mirtu sprzęgały się twardej miedzi blachy, a w duszach mężów nie było rytmu ni swawoli — jedno była wola jako otchłań wrzącej siły i nad nią rozsądku powaga niezachwianego rozumu opieka!

IRYDION.

Słyszeli męczennicy narodów o rozsądku waszym. — Gieniusz Romy z tem słowem na czole, stanął u progów Attala i skrzydlaty usiadł przy stopach starca, pochlebiał i łudził, aż z pod zgrzybiałej ręki wyrwał zapisy Pergamu!

Z tem słowem na czole podniósł się wśród Isthmijskich igrzysk, prosił o posłuchanie i chwalił synów Grecji? Z tem słowem on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał! —

A kiedy kto uwierzył Jemu, kiedy nieszczęśliwy przystał na pęta i wyrzekł się domu, ojczyzny, sławy za życia i chwały po zgonie, on wtedy śmiejąc się wołał: — Rozsądny jesteś — i nogą spychał go z Tarpejskiej skały!

Prawdeś wyrzekł — nie — nigdy Hellada takim nie spodliła się rozumem. — Jej życie nie było rachubą, Jej nadzieje nie spoczęły na kłamstwach. — Syn Latony zamieszkał w niej i opromienił ją do koła. — Na piersiach Zeusa, w cieniu puklerza Pallady leżało Jej czoło upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne, stóp Jej były zakochanem podnożem! Zemsta, zemsta za nią!

ULPIANUS.

Pojrzyj na ramiona naszej potęgi, wśród gromów ich pędu sława Aten, imię Sparty i Koryntu jak brzęki pszczół giną w oddali. — One coraz dalej sięgać będą — od wschodu na zachód — one spocząć nie mogą, aż światu całemu stanie się na imię — Roma!

IRYDION.

Ah! ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzielenić po brzegach, by koście ofiar i łupy kościołów i miecze wydarte zdradą, niewidziane spoczywały na dnie! Ty sądzisz że ród bez czci i ducha, przyuczysz do sił straconych i rozeszlesz po wieńce Laurowe! Ty i Cezar twój błogo marzycie, jak starcy czekający na dzień odmłodnienia a dzień ten będzie śmiercią waszą.

ULPIANUS.

Wodzu pożarników, tchnienie twoje kala powietrze cnotliwym! Zbrodnia goreje na czole twojem, opuszczonem od Bogów! na jego widok stare lata moje się wzdrygnęły!

IRYDION.

Ojcze, Ojcze! patrz! Rzymianin usłyszał mowę wolnych i oburzył się cały! Konsulu odpowiedz mi jeszcze! Cóżeście uczynili ze światem, od kiedy Bogi złego oddały go w wasze ręce? Stoją łuki tryumfalne i bite drogi Aedylów, na głazach zapisaliście się krwią i potem umierających! — Ah! kiedy ziemia staczała się w wasze objęcia, jak ułudzona niewiasta, kołyłasy się nad nią dumania Platona i skrzydła Kartagi

lśniły się od Gadesu po ultima Thule! A teraz co? odpowiedz mi Konsulu! w lochach Nazarenów słabowite westchnienia — tu i owdzie stoików obłąkane cienie i kilka słów Aureliusa wśród żałobnego jęku boleści! Gdzie bujniej od dnia klęski naszej porosły oliwne gałązki? Gdzie pieszczoną pieśnią, gdzie nauką mądrości ukołysali przodki twoje żale podbitych?

O wiem! August zawarł podwoje Janusa. — O zmierzchu życia, grały mu lutnie przedajnemi struny — wtedy milczące pustynie, grodów na piasek rozemlone gruzy, on nazwał ciszą swoją i na mogiłach plemion rzekliście wszyscy: — Pokój synom ludzkim.

ULPIANUS.

Jako Ojciec rodziny dzieci, jako Patrycjusz Plebejów, jako pan niewolników, tak my kwiryty prowincje dostali w podziele. — Żelazem zdobyliśmy ziemię i prawo żelaza nad nią zawieszone trzymamy!

IRYDION.

Bogdajbyście łatwowiernych nigdy nie byli zwodzili tem słowem — odwróć się ku bitnym Legiom Rzeczypospolitej — czy widzisz jak pierzchają przed słoniami Pirrusa, jak korzą się pod widłami Samnitów, jak żniwem kładą się na brzegach Trazymenu, jak w Hiszpańskich wąwozach wołają miłosierdzia i wody, jak w lasach Hercyńskich zbladłe klękają pod nożem ofiary. — Nie lotnym gromem Aleksandra, nie krótkim mieczem waszym, ale czarą trucizny, ale garścią złota, ale krzywemi przysięgi, obłudną radą, ale pobratymstwem zdrajców dopełzaliście się potęgi! — I orzeł Romy wylągł się na bagnach, nie na szczytach gór!

ULPIANUS.

Darmo wołasz bluźnierco! — Niewzruszona opoka na której zgrzytasz, nie słyszy ciebie!

Odrzuciłeś więc miłosierdzie pana Twego?

IRYDION.

Kto panem moim? na ziemi nie znałem go. Za stosem jak stada drapieżnych ptaków krążą Geniusze śmierci — oni mi powiedzą czyj poddany jestem! Ale tu miałem wrogów tylko i braci kilku, co mi wiernie służyli — i jedną chwilę

boską — krótką jak szczęk mieczów co prysną od razu, ale świętą, świętą na wieki!

Nikt z was jej nie podzielił Towarzysze! Ona mną. Ja nią byłem cały — pochodnia zemsty gorzała w tem ręku. — Miasto poświęcone u stóp moich leżało, tuląc się coraz ciszej pod zawoje nocy. Ah! Nemesis. —

(Opiera się na posągu Amfilocha.)

ULPIANUS.

Zbladłeś!

IRYDION.

Całej krwi waszej zabrakło licom moim!

ULPIANUS.

Wróżbą ostrzegły cię Bogi. — Ja raz ostatni z urzędu mojego przypominam ci, że wyrok zapada nad Tobą — czas jeszcze przebłagać Cezara. — Roma przebacza pokornym!

IRYDION.

Takążeś naukę z słów moich wyciągnął! Nie odchodź, zatrzymaj się jeszcze!

Euforion podaj mi poświęconą czarę. —

Amfilocha śnieżną pianę Lesbijską wylewam na stopy twoje — przyjm pierwiosnki zgonu mojego — pijcie teraz bracia jak męże Leonidasa przed śmiertelnym świtem! Pijcie i bądźcie wolni od złej myśli!

(Zbliża się do ołtarza palącego się między posągiem a ciałem.)

Znak opiekuńczy państwa, błogosławiony wróżbą Augurów i Vestalek pieniem, znak od senatu powierzony Cezarowi, tobie ojcze poświęcam i tobie Hellado matko!

ULPIANUS.

Nie dopuście zbrodni — wstrzymajcie świętokradzcę. — Jeśli jest tu jaki obywatel rzymski niech głos mój usłucha — życie wam darowne będzie, przysięgam na Statora i Kwiryna! Stój zuchwalcze — w tym pierścieniu zapisane imię tajemnicze Romy!

IRYDION.

Słyszeliście bracia!

(Rzuca pierścień do zgliszczów.)

CHÓR.

Euge! Euge! Rzymianin togę zarzucił na lica, pierś Jego wzdęła się żalem i nie śmie spojrzeć na oblicza nasze!

IRYDION.

Nim usta moje zawrą się na wieki, ostatnią wolę moją opowiedzieć chcę. — Słuchajcie mnie i przeklinajcie miasto!

CHÓR.

Patrzcie! odbłysk-li to żaru, czy promień zesłany od Bogów, tak wspaniale osrebrzył mu lica?

IRYDION.

Biada zwycięzcom. — Jako nas chcieli spodlić tak im podłość narzucona będzie — i dziecię urodzone w Rzymie i starzec konający w Rzymie, i mąż dojrzały, jedno miano będą nosili. — Niewolnik!

CHÓR.

Niewolnik!

IRYDION

O Fatum przedwieczne! z nad głowy Bogów wtedy ty podniesiesz stopy i zejdziesz ku dolnym przestworom i niżej jeszcze ku siedmiu wzgórzom i będziesz jędzą ich skonu — by one co wszystko zniszczyły, umierały w obliczu Ciebie, któryś wszystko stworzył!

CHÓR.

Ród ich przepadnie, język ich niech zatracon będzie. —

IRYDION.

Ale niech sława o nich żyje w późne wieki — niech powieść o ucisku będzie ich nadgrobkiem! — niech go ludzie potomni czytają i przeklinają po wszystkie dni swoje aż do końca świata!

CHÓR.

Świata!

IRYDION.

Przeszedł czas modlitwy, zgasł płomień ołtarza i skonał Bóg Romy! Konsulu możesz podnieść oczy.

ULPIANUS.

Złamałeś ustawy ludzi i zniważyłeś obrzędy święte — obyczajem przodków wyjmuję cię z pod opieki prawa, zabraniam ci udziału ognia i wody! Za głowę twoją obiecuję wolność niewolnikowi, wolnemu posąg przy Rostrach i miejsce obok konsulów w Cyrku.

Bezbożni, czekam na was u progów Mammetyńskiego więzienia. — Skazani, czekam na was u stóp Tarpejskiej skały!

IRYDION.

Nikt z nich ręki nie podniesie na mnie. — Idź starcze. — Gniew siwej nie przystoi głowie. (Ulpianus wychodzi.) Stos twój już gotowy Siostro — nieście ją i ultimum vale powtarzajcie za mną!

Noc miesięczna. — Świątynia Venery naprzeciw Amfiteatru Flaviana — na schodach Pretorianie i Lucius TUBERO.

TUBERO.

Co znaczy że dotąd Arystommachus nie dał znać o sobie? Noc ledwie zapadała kiedyśmy się rozłączali, a teraz już księżyc depce wierzchołki Amfiteatru. — Spokojność arkad przełamanych w te długie cienie dolega mi nie wiem sam czemu. — Chłodny powiew, spieki moim licom przydaje, a jednak rozpaczniejsze widziałem sprawy bez oczekiwania, bez niecierpliwości. — Duszo niewolnika Luciusza, czemu dzisiaj buntujesz się przeciw panu twemu! (Przechadza się zwolna.) Słyszałem od ludzi, że pod koniec żywota Duch sam siebie ostrzega dziwem niespokojności. — Tak Brutusowi w wilią przegranej, tak Ottonowi pod Bedriakiem wieszcze znaki się objawiły. — Diespiter! nie w porę dziś umierać Luciuszowi Tubero! już młodzieniec na mojej starej cnocie polega. — Ja tylko i Ulpianus drugi, wędzidło trzymamy — a gdyby prawnik padł od germańskiej strzały lub pod ręką Amfilochida, wtedy — któż mi odpowiada? nic — to w lochach Cyrku lew się przebudził i ryknął — a teraz co innego — pomięszane głosy, rżenia; łoskoty! przez Kastora kto idzie?

(Zbrojni wbiegają w nieładzie — za niemi Arystommachus.)

ARYSTOMMACHUS.

Na pomoc!

TUBERO.

Hańba! Cezar czeka na Forum byś´mu Greka przyprowadził w łańcuchach, a ty przed nim uciekasz

ARYSTOMMACHUS.

Kto mówi że Arystommachus się przeląkł, ten kłamie choćby ojcem ludzi i Bogów. — Sam dwóch Centurionów tą włócznią przebiłem, kiedy od pałającej twarzy Greka odwracali oczy.

TUBERO.

Zkądże ta przemoc Jego niespodziana. — Czyż posiał kły smoka i świeże z nich męże wyrosły?

ARYSTOMMACHUS.

Goni ostatkiem ale wściekle goni. — Szliśmy jeszcze pochyłością Viminalu, kiedy on pierwszy zaczął i od przysłonków pałacu spłynął jak lawa paląc ciskanemi pochodniami, rozognionemi strzały, kipiącą naftą. — Trzy razy zwarłem się z nim — z pod miecza mego i z nad tarczy Jego spłynęły się iskry jak z kuźni Cyklopa — trzy razy rozparły nas tłumy!

TUBERO.

Idźmy! zdarte z szyi Greka łupy ślubuję zawiesić w twoim kościele o Marspiter!

ARYSTOMMACHUS.

Ściągnij pancerz — dwie łuski pękły ci w tej chwili nad sercem.

TUBERO.

Dii avertite omen!

(Wychodzą.)

MASYNISSA (na schodach świątyni).

Ptaki nocne karmione krwią Areny, plątajcie się w wieniec nademną! —

Zgrzybiała ruino Vulkanu, ty przemarzona od ludzi na gwiazdę czystości i wdzięku, dosyłaj mi bladych promieni!

Ziemio daj co się należy — powietrze daj co mi winne jesteś — bym karmił się krwią i jadem jak niegdyś wiekuistemi ogniami Eteru!

Jeszcze noc jedna i ranek jeden, a ja i syn mój opuścim te strony!

CHOR Z WNĘTRZA SWIĄTYNI.

Piękne, lubieżne witają Pana! nad hełmami tańcując krwią z ran ludzkich, odświeżyłyśmy lica i puklerz syna twego był zwierciadłem naszem!

Piękne, lubieżne ostrzegają Pana. — Z gwiazdą Oriona wszedł Duch tajemniczy, strumieniem kołujący w błękitach i wszystkie ciche drgania i wszystkie smętne fale swoje zebrał w około Irydiona duszy — przelatując spotkałyśmy się z jego nurtem!

MASYNISSA.

A syn mój czy zważał na podszepty ducha?

CHÓR.

Ile razy ta myśl bez głosu dotknęła mu serce, bladł i mieczem błądził po zbrojach i nie łamał żadnej — w przerwach bił się jak anioł strącony — spiesz się — spiesz się do niego!

MASYNISSA

Mdłe dusze świętych niewiast, z tamtej strony grobu wracające westchnienia, nie wydrzecie mnie go — nie do złotych harf przyuczałem mu tak długo palce, nie do pieśni pochwalnych skręcałem mu usta.

(Znika.)

Forum — przy pochodniach ALEKSANDER SEVERUS na krześle kurulnym. — Obok stoi ULPIANUS — z tyłu straż z złotemi orłami. — ARYSTOMMACHUS wchodzi — za nim prowadzą rannego SCYPIONA.

ARYSTOMACHUS

Boski Imperatorze już w tej chwili Tubero musiał schwytać Greka. — Ja w bok się udałem i rozpocząłem bitwę z Cheruskami, którzy stali pod wodzą tego człowieka na drugiej pochyłości Viminalu — pchałem ich ostrzami mieczów aż zaczęli krzyczeć: — Niech żyje Cezar Severus — i klnąć się na wszystkie Bogi północy, że jakiś szał ich opętał po śmierci Heliogabala. — Ten człowiek dwom czy trzem wtedy zawarł usta puginałem, ale wnet hurmem wszyscy przeszli do nas.

ALEKSANDER.

Dzięki nasze walecznemu Arystommachowi. —

ARYSTOMMACHUS.

Teraz nazad do Tuberona.

(wychodzi.)

ULPIANUS.

Imię twoje?

SCYPIO.

Umierający!

ULPIANUS.

Wyznaj więc prawdę i pogodź się przed ostatniem tchnieniem z sprawiedliwemi Bogi.

SCYPIO.

Z sprawiedliwemi!

ULPIANUS.

Odpowiadaj mi w obliczu Imperatora. — Od jak dawna wasz spisek zawiązany?

SCYPIO.

Od wieków. —

ULPIANUS.

Nie żartuj niewolniku — czy mieliście wspólników w innych miastach państwa?

SCYPIO.

Wszędzie!

ULPIANUS.

Kto z pomiędzy nich najznaczniejszy?

SCYPIO.

Ty i Cezar — póki jesteście, my będziem!

(Umiera.)

ALEKSANDER (zstępując z tronu).

Ni łaską, ni groźbą, takich nie przymusić ludzi. —

ULPIANUS.

Ale żelazem i ogniem.

Ucz się jak stąpać nad wrzącą otchłanią i nie przepaść na dnie — nie słuchaj niewieścich głosów — nie ufaj szlachetności cudzej — w tobie cała Roma się skupiła — bądź więc jak ona silny i nieubłagany!

(Wychodzą.)

Puste miejsce przy fontannie Neptuna. — Słychać w dali szczęk mieczów i wrzaski. — Wchodzi Irydion następując na Tuberona.

TUBERO.

Noc całą oko twoje jak żar piekielny mnie ścigało — jakiż z Bogów zbroję ci wykuł? pod twojemi ciosy nie zdrętwiała odwaga ale zemdlały siły moje. —

IRYDION.

Ostatni raz te klingę odbiłeś!

TUBERO.

Ojcze Neptunie pomagaj!

(Pada.)

IRYDION.

Powiedz siostrze mojej że przybywam do niej! (zabija go.) Zemsto! ty mi krople tylko sączysz, kiedy ja cię o morze krwi prosiłem — teraz wrę całą mocą życia! dusze ginących braci przelewają się we mnie! Stałem się Tytanem! a umrzeć mi trzeba — nie — ja nie chcę umierać! (schyla się i wydziera miecz Tuberona.) Ah! czego mnie ścigasz niewidomy duchu? Chrystus — i cóż mi po tem imieniu? Oddal się — nie męcz mnie Kornelio! Patrz — idź za księżycem temi śladami srebra — za chwilę ciemności ogarną tę ziemię!

(Alboin wchodzi.)

Wróg-li czy przyjaciel Irydiona Greka?

ALBOIN.

Niegdyś jego towarzysz.

IRYDION.

Czyś zbladł od strachu, czy od miesięcznych promieni?

ALBOIN.

Scypiona ciało na brzegach Gemonji!

IRYDION.

Ojcowie jego bywali na szczytach Kapitolu!

ALBOIN.

I Cheruscy co do jednego poddali się Cezarowi. —

IRYDION.

Ah! skróciły się ostatnie chwile. — Chodź — wrócim do pałacu. — Rzymian wpuścim na dziedzińce — tam żarzy się

jeszcze stos Elsynoi. — Zginiemy w płomieniach ty i ja, i oni i dom ojca mego. — Naprzód!

ALBOIN.

Dopóki tlała iskra nadziei służyłem ci wiernie — jako ty nienawidzę Romy — ale teraz — —

IRYDION.

Służalcze orła, Legjonisto Karakalli, ty mnie zdradzisz także?

ALBOIN.

Nie ja, ale fortuna opuściła cię pierwsza! chleb mój woła mnie w inną stronę. — Czy słyszysz głosy Trybunów? Cezar głowę twoją puścił na targ mieczom naszym.

(Dobywa puginału.)

IRYDION (przebijając go).

Idź do piekła — na tej drodze wcześniej czy później spotkasz się z Cezarem. —

(Wychodzi przeciwną stroną.)

Podwórzec na wzgórzu przed pałacem Irydiona. — Niewolnicy, Gladiatory, żołnierze z pochodniami. — Dymiący stos Elsynoi z boku.

KILKU.

Gdzie bieżysz Pilades?

PILADES.

Do lochów gdzie cyprysy i sosny — Pan tak rozkazał!

INNI.

Zatrzymajcie go — wyrwijcie mu pochodnię!

PILADES.

W tył — nie zbliżać cię do mnie — rozstąpić się — czy nie poznajecie mnie bracia?

POMIĘSZANE GŁOSY.

Rzuć pochodnię — stój na miejscu jeśli nie chcesz zginąć. —

INNI.

Tam w dali już lecą orły Arystommacha. —

INNI.

Z tej strony Tubero się wdziera.

IRYDION (wchodząc).

Mylicie się ludzie moi. — Tubero przeżył już wszystkie dni swoje! (wstępuje na podstawę obeliska.) Cóż to znaczy? topory, puklerze na ziemi — sami w nieładzie stoicie jakbyście nie wiedzieli co czynić. Bracia, raz ostatni wołam was do boju — a potem sen i wiecznie!

(Chwile cichości.)

Cóż to znaczy? patrzycie ku mnie wzrokiem bojaźliwych — opuszczacie ramiona — przelatujące połyski bledną od bladości liców waszych! do broni!

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Wodzu, biłem się od mroku aż do zachodu miesiąca. —

DRUGI.

Kto ostał się przy nas? jedni leżą bez ducha — drudzy konają w torturach — inni sobie poradzili lepiej — przeszli do Cezara!

INNI.

Patrz na rany nasze — ledwo ustać możemy. —

INNI.

Arystommachus pół żelezca w piersiach mi załamał. Daj wody — wody trochę!

IRYDION.

Ognia, ognia tylko ci dać mogę!

WSZYSCY.

Ty okrutny — ty bezbożny!

IRYDION.

Diomedesie, tyś rodem z Koryntu. — Czy chcesz uniżyć się przed tymi, którzy Ojczyznę ci wydarli? I ty Lastenes i ty Glaucus i ty piękny Eutellu?

CHÓR GŁOSÓW.

Źle, źle nam — mdło i posępnie — co z naszych mąk umarłej ojczyznie?

IRYDION.

Chwała, Bluźnierce!

CHÓR.

Życia, życia, nie chwały —
Chleba, chleba, nie chwały!

IRYDION.

Nędzni! słyszałem wasze przysięgi — widziałem wasze zbroczone oręże — byliście dzielnymi kiedyś! — Lecz teraz nad grobem przyszedł na was koniec wspólny ludziom — nie rozpacz — nie wściekłość — nie zaślepienie — ale hańba podłości!

CHÓR.

Cezar kochał cię niegdyś — podaj nas i siebie do łaski Cezara — czas jeszcze o Irydionie!

IRYDION.

I wy myślicie żyć długo po przebaczeniu Romy? — Ja wiem że niesława nie skróci dni waszych — ale poszlą was na wygnanie, kędy piasek zeżre wam stopy, a słońce głowy na węgiel rozsypie; ale poić was będą trucizną na biesiadach świątecznych; ale oskarżać codzień o nowe zbrodnie! — Kto wejdzie w służbę, tego krew zawczasu wrogom przedaną będzie. — Kto zostanie w mieście, ten skona, budując teatra ludowi i wszyscy zginiecie jako na was przystało podłe niewolniki!

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Co ty nam złorzeczysz, ty któryś nas zdradził? —

DRUGI.

Obiecałeś zwycięztwo — dotrzymaj!

IRYDION.

Pilades! pchnij tego który cię trzyma i idź dalej.

ŻOŁNIERZ.

Głowa twoja skazana!

DRUGI.

Bracia, zanieśmy ją Cezarowi.

IRYDION.

Odrzuciłem tarczę — mierzcie — ale za nadto drżą wam ręce, byście trafili. — Ah! biedny mój Pilades!

PILADES.

Los twój gorzej mnie boli synu Amfilocha.

(Pada trafiony i umiera.)

CHÓR.

Czy widzisz te orły złote, tę purpurę cesarką? czy słyszysz trąby Legionów?

IRYDION (zeskakując z podstawy obelisku).

Każdy z tych mieczów gardło jedno przetnie — ty nędzny przejrzyj się w klindze Sygurda — ale ani kroku bliżej. — Zdrajca nie garnij się pod żelazo Tuberona — precz mi z drogi! Ułóżcie ręce do prośby — kolana w bruk wgnietcie — módlcie się do Rzymian!

(Przechodzi wśród nich i wstępuje na stos Elsinoi.)

CHÓR.

Synu nieszczęścia, niech krew poległych płynie przed tobą niech przekleństwa żyjących grzmią za tobą na ciemnych brzegach Styksu!

IRYDION.

Ojcze, umieram syt goryczy i krótkich dni moich! Ojcze, ty nie przebaczysz podłym! (powstaje Masynissa obok stosu.) I ty przybyłeś nareszcie — ustąp się człowieku! To nie twoja godzina jeszcze — to moja! Tam idź, idź — tam Cezar ci przebaczy!

MASYNISSA.

Za mną synu!

IRYDION.

Nie znam ciebie. —

MASYNISSA.

Strzegłem cię wśród walki — ale tyś mnie nie widział — wspierałem w rozpaczy — ale tyś mnie nie widział. — Teraz przychodzę cię zbawić!

IRYDION.

Giń wraz ze mną, jeśliś cnotliwy!

MASYNISSA.

A jeślim nieśmiertelny?

(Porywa go w objęcia.)

IRYDION.

Czemże jesteś!

MASYNISSA.

Bogiem!

(Zapada się z nim.)

(Wchodzą Arystommachus, Aleksander Severus, Ulpianus, rzymskie kohorty.)

ALEKSANDER.

Gdzie syn Amfilocha, odpowiedzcie buntownicy?

CHÓR.

Wstąpił na stos siostry i głos jego słyszanym był raz jeszcze i zniknął — ale my broń złożyli, ale my błagamy ciebie!

INNI.

O boski Cezarze, my go chcieli wydać Tobie. —

ALEKSANDER.

Przebrała się litość moja. —

CHÓR.

Bądź nam miłosierny — on jeden winny. — On nas omamił i zgubił!

ULPIANUS.

Vae victis! Zbliżcie się Liktory!

Szczyt góry. — Rzym w mglistej oddali — z drugiej strony morze. — Masynissa, Irydion oparty na jego ramieniu.

IRYDION.

O ty, którą kochałam dla mąk twoich Hellado, Hellado, czy byłaś tylko cieniem? Chmuro miłości mojej, czy ty odchodzisz na wieki? Wróg twój jak wprzódy stoi niewzruszony i marmury wyszczerza przed słońcem jak białe kły tygrysa! Po co mnie być tutaj? gorączka pali głębie czoła mego — myśli toczą mi duszę jak robaki trupa!

(Zsuwa się na murawę.)

MASYNISSA.

Odśwież siły w mgle poranku — pij chłodne powietrze i światło. —

IRYDION.

Jak ogniwo do ogniwa, do mojej dłoń twoją spiąłeś i przywlokłeś mnie, ale człowiek raz tylko żyje — ten raz przyszedł dla mnie — ja skonałem wczoraj.

MASYNISSA.

Synu! zawód twój nie skończył się jeszcze!

IRYDION.

Nie dręcz mnie. — Ojciec mój w twoich ramionach — siostra skonała w pałacu Cezarów. — Ja u stóp twoich dogorywam. — Czyż nie dosyć tobie? (podnosi się na w pół.) Niewinna, którą ci poświęciłem rozpłynęła się w powietrzu na żałosne jęki — głos jej drga w uszach moich — krzyż jej widzę na błękitach! Ah! gdyby jej Bóg żył nad wszystkiemi bogi — gdyby on był jedyną prawdą świata?

MASYNISSA.

Cóżbyś wtedy uczynił?

IRYDION.

Umierając z tem pryśniętem żelazem w dłoniach, wezwałbym jego!

MASYNISSA.

Ojcze, któryś jest w niebiesiech daj długich dni Romie! przebacz tym którzy mnie zdradzili. — Zbaw tych, którzy po wszystkie czasy nękali rodzinną ziemię moją!

IRYDION.

Nie — Ojcze któryś jest w niebiesiech ukochaj Helladę jak ja ją kochałem! — Opowiedz mi w ostatniej godzinie, Masynisso, ty który mnie zwiodłeś, ty któryś mi obiecał tyle, ty na którego łonie głowa moja w dzieciństwie zasypiała — ty który w tej chwili stoisz nademną, jakbyś światu rozkazywał — o mów, patrz, mięszają się myśli Irydiona, prędzej, mów prędzej: czy Chrystus jest panem nieba i ziemi?

MASYNISSA.

Sam wyrzekłeś!

IRYDION.

A więc świadczysz Jemu?

MASYNISSA.

Jak wróg nieśmiertelny — nieśmiertelnemu wrogowi! Dzisiaj on władnie starem niebem i zgrzybiałą ziemią — ale są przestwory kędy imię Jego zmazano, jako moje starte w niebiesiech. — Są światy nieskończonej młodości pracujące w bolach i w odmęcie, słońca bez blasku, przyszłe Bogi w okowach, morze nie nazwane dotąd, wezbrane wiecznie ku szczęśliwym brzegom! A on już ustał, już zasiadł na tronie i rzekł: — jestem — i opuścił skronie!

Nie zaprzeczam Go — widzę Go — oczy moje, ranne Jego blaskiem odwracają się ku ciemnościom, ku nadziejom moim. — Z nich będzie zwycięstwo! Wybieraj. —

IRYDION.

Statek żelaznego cierpienia czerni się na czole twojem — ale wśród tych zmarszczków pokaż mi nadzieję — nie — nie, ty z toni wieków nie podniesiesz się nigdy. — Ty zwiódł mnie i zgubił!

MASYNISSA.

Nie opuszczaj mnie jako ciebie opuścili nikczemni (porywa go z ziemi). Stań nad przepaścią — wejrzyj ku miastu nienawiści twojej! Czy wiesz kto je wyrwie z rąk braci twoich, kiedy według przepowiedni Grymhildy przyjdą rozorać Italię na bruzdy krwi i zagony popiołów? Czy wiesz kto zlatującą purpurę Cezarów podchwyci w powietrzu? Nazareńczyk! — i w nim zdrada Senatu i w nim okrucieństwo ludu żyć będzie niezatartą puścizną — włosy jego białe i serce nieubłagane jak u pierwszego z Katonów — mowa tylko czasem niewieścia i słodka — u stóp jego 'zdziecinnieją męże północy i On drugi raz ubóstwi Romę przed narodami świata!

IRYDION.

Ah! żądałem bez miary, pracowałem bez wytchnienia by niszczyć tak jak inni żądają bez miary, pracują bez wytchnienia by kochać i błogosławić przy zgonie temu, co kochali za życia. — Ah! a teraz ty konającemu zwiastujesz nieśmiertelność Romy!

MASYNISSA.

Nie rozpaczaj — bo przyjdzie czas, w którym cień krzyża spieką się wyda narodom i on darmo wytęży ramiona by raz jeszcze odchodzących przytulić do łona. — Jedni po drugich powstaną i rzekną: — nie służymy więcej. — Wtedy u wszystkich bram miasta słyszane będą skargi i narzekania — wtedy genjusz Romy znów twarz zakryje i płacz jego nieskończonym będzie — bo na Forum same prochy zostaną — bo na Cyrku same gruzy tylko — bo na Kapitolu sama hańba tylko! — I przechadzać się będą po tych błoniach, wśród trzód dzikich i bladych pasterzy, ostatnich mieszkańców Romy — i walka moja na ziemi zbliży się do końca!

IRYDION.

Znów serce mi bije. — Ah! dzień ten czy daleki jeszcze?

MASYNISSA.

Sam ledwo go przeczuwam!

IRYDION.

O Amfilochu! więc syn twój był tylko marzeniem — tylko cieniem odbitym od późnej przyszłości — i jak zawczesną igraszkę rozbiły go losy! (do Masynissy) Odejdź — ni tobie, ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojej — na tej skale, patrząc w oczy Romy, umrę jako żyłem w samotności ducha!

MASYNISSA.

O synu słuchaj mnie!

Bladość licow twoich odrzucę nazad śmierci. — Ognisko siły na nowo w sercu twojem rozpalę. — Dam ci niepamięć przeszłości — dam ci niewiedzę przyszłości!

IRYDION.

Precz odemnie!

MASYNISSA.

Dam ci żądz tysiąc i sił tysiące. — Umarłych piękności wskrzeszę ci kształty — każda nim się rozemdleje spali się w twoich uściskach — i Helena Trojańska i Idalska Venus i Ptolomeów córa.

W przejrzystej fali, w ogniu promienia, w czarnej, twardej ziemi, jeszcze będą tchnienia roskoszy dla ciebie!

IRYDION.

Nie kuś mnie!

MASYNISSA.

W dalekich stronach wydzielę ci plemię posłuszne w progach pałacu, dzikie w dniu bitwy. — Wśród czarów pochlebstwa ukochasz siebie jako Helladę kochałeś. — Zgrozą króla i miłością króla upoję cię synu! Aż przyjdę, aż znów mój znak położę na tobie i rzeknę: — Czaś wrócić do walki. —

IRYDION.

Nie kuś mnie! albo rozłam w gruzy sklepienia, których kamień każden przeklinałem. — Ha! jesteś potężny, choć raz wynijdź w pole. —

MASYNISSA.

Na dzisiaj próżna prośba twoja!

IRYDION.

A więc tobie na dzisiaj nie być panem moim!

MASYNISSA.

Słuchaj, słuchaj mnie jeszcze!

IRYDION.

Słaby genjuszu, w twoich skarbach nie ma nic dla Irydiona. — Umierając gardzę nim i tobą!

MASYNISSA.

A jeśli wieki zniszczę dla ciebie?

IRYDION.

Co?

MASYNISSA.

Jeśli cię wyrwę z pośród pędzących fal czasu i złożę na miękkim brzegu, uśpię cię na łonie nicości i zapomnienia — aż do chwili w której te wieże rozrzucę i wbiję do ziemi. — Jeśli wtedy obudzę cię takim jakim dzisiaj jesteś?

IRYDION.

W Rzymie po latach wielu?

MASYNISSA.

Tak, by dopełniła się jedyna żądza twoja, byś deptał ruiny i popioły!

IRYDION.

Ale nie, kiedy płomienie wrzeć będą — nie, kiedy bracia matki mojej zatrąbią w rogi swoje na siedmiu wzgórzach.

MASYNISSA.

Kiedyż więc?

IRYDION.

Kiedy na Forum będą prochy tylko!
Kiedy na Cyrku będą kości tylko!
Kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko!

MASYNISSA.

Ale wtedy synu. —

IRYDION.

Będę twoim — przysięgnij!

MASYNISSA.

Przyrzekam zachować twe ciało. — Przyrzekam duch twój uśpić i wskrzesić. — Przez to co On przezwał złem, przez jedyne dobro moje przyrzekam! Teraz daj rękę!

IRYDION.

Bierz tę nieszczęśliwą co na próżno walczyła!

MASYNISSA

Wszystkie potęgi nocy zgromadzone nad tobą i otchłań matka moja, słucha twej przysięgi! Wyrzekasz się wroga mego?

IRYDION.

Wyrzekam się. — Ah! jęk rozpaczy przeleciał mi nad głową!

MASYNISSA.

Nie zważaj!

IRYDION.

Patrz! skała porysowała się w krzyże i czarne krople na nich. — Ah! patrz krople krwi się sączą.

MASYNISSA.

Nie zważaj synu. —

IRYDION.

Burza zrywa się nad morzem. — Ah! ah! ktoś woła na mnie — tam — daleko — coraz dalej — czy słyszysz?

MASYNISSA.

A teraz?

IRYDION.

Milczenie. —

MASYNISSA.

Razem więc na wieki bez końca, bez odpoczynku, bez nadziei, bez miłości, aż dopełni się wiekuista zemsta.

IRYDION.

Razem, bylebyś wprzódy dopełnił śmiertelnej!

MASYNISSA.

Stało się — za mną teraz!

IRYDION.

Gdzie?

MASYNISSA.

Do brzegów jeziora, do chłodu jaskini, pod liście winne i bluszczane wieńce — kędy ni zorzy ni gwiazd nie masz, ni głosów, ni bolu, ni marzeń. — Tam spoczywać będziesz aż wnijdziesz do królestwa mego!

IRYDION.

Idźmy — mnie Rzym, tobie duszę moją!

DOKOŃCZENIE.

O myśli moja ty przetrwałaś wieki! Ty senną byłaś w dniu Alaryka i w dniu wielkiego Atylli — ni brzęk korony cesarskiej o twarde czoło Karla, ni Rienzi trybun ludu nie obudził ciebie! I święte pany Watykanu jeden po drugim przesunęli się przed tobą jak cienie przed cieniem! Ale dzisiaj ty powstaniesz o myśli moja!

Dzisiaj w Kampanji rzymskiej słońce wrzało nad pustynią i posępnie teraz u brzegów pustyni zachodzi. Nad piołunem piasków, nad sitowiem bagnisk, nad samotnemi sosnami wzgórzów, nad cyprysami dolin, już kołują cienie. — Gwiazda wieczorna, dawnych ludzi Bogini, żałobnie się wznosi i z nią kilka łez rosy tu i owdzie pada. — Tylko na morzu jeszcze w krwawych połyskach gra kipiąca piana.

W powietrzu skwar i milczenie — chmury żadnej, żadnego powiewu, a głębie się wzruszyły i pełnemi bałwany, piersią purpurową jęknęły ku niebu. — Ten który zamieszkał w otchłani, ten który obiecał, stanął na wirach fal i stopą czarniejszą od nocy gniótł niewolnice swoje.

Od jego postaci łuna wzbija się jakby drugie słońce zaszło. — Od jego ramion stacza się mgła na dalekie wody. — On idzie samotny i jak przed wiekami z nieśmiertelną starością na czole.

A kiedy dosiągł lądu, odetchnęło morze i w zmierzchu znękane usnęły bałwany. — On szedł dalej. — Górom Samnickim ślad swój zostawił na szczycie i zstąpił ku brzegom jeziora. — Tam w potędze jego czarów o Synu Zemsty! budzić się zaczęło życie twoje.

Wąż co strzegł stóp twoich zadrgnął i zdał się przeczuwać powrót pana swego. — Wzmogło się światło łusk bladawych — roztoczył sploty i na marmury łoża z nich sypnęły się iskry. Wspiął się w górę i czeka teraz jak gorejąca pochodnia, a w jej blaskach jaśnieją czarne głazy i spiekłe rysy twoje!

Z razu połysk czucia tlał ci na czole jak ognik nocny nad grobem — ale od progów jaskini głosy uroczyste, witając cię po imieniu, wznoszą pieśń życia twego i za każdym ich ustankiem jedną siłą zmartwychwstajesz więcej. — I dana ci wiedza lat zbiegłych od chwili zaśnięcia twego. — Gdyby dzieje dnia jednego ujrzałeś wszystkie męki Rzymu i tryumfy Krzyża!

Wszystkie, wszystkie na około ciebie wrą ognistemi barwy i kopyt tętna, i chrzęsty pancerzy i brzęki dzwonów i odgłosy hymnów przelatują nad tobą jak przeleciały nad snem twoim.

Umarłe Biskupy ciągną się długiemi rzędy — przed każdym idzie król jeden i na plecach swoich roztwartą, świętą księgę niesie. — Na siedmiu wzgórzach z dołu w górę i z góry na dół ciągle jednem kołem idą i wracają. — Jednym anioły wieńce kołyszą w powietrzu — drudzy samotni z znakiem zbawienia w ręku, z mieczem wojny u boku i czarą trucizny w lewicy!

A im bliżej obudzenia twego, tem mniej orszaku, tem głuchsze stąpania, tem bielsze głowy panów Rzymu i bardziej drżące ich dłonie. — Wtedy po nad wszystkie śpiewające głosy wzniósł się jeden pełen sił i rozkazów — głos który nie dochodzi niebios, ale któremu ziemia odgrzmiewa w wnętrznościach swoich i ten głos zawołał: — o Synu! —

Wtedy na szybach jeziora, na darni brzegów, na sklepieniu jaskini błysnęło i piorun powtórnego życia uderzył cię w łono, i jakoś był młody, i jakoś był piękny przed laty, powstałeś na łożu! i gorejące oczy twoje spotkały za pierwszem spojrzeniem bladą twarz Cyntji na szczytach Latyńskich — i odparłeś: — Jestem — a on skinął dłonią i prowadzi ciebie. — Stąpań nie powtarzają echa — jedno po czarnych wąwozach jak dwie czarne chmury żeglują wasze postacie.

Stanąłeś w Kampanji rzymskiej. — Przed twoim wzrokiem ona nie ma czem zakryć hańby swojej — gwiazdy migają jak tysiąc złotych wspomnień i urągań. — Czarne wodociągi idąc ku miastu, nie znachodząc miasta, stanęły — opadłe z nich głazy leżą pogrzebnemi stosy — tam powój się rozwlekł przysypan kurzawą — tam radzą ptaki nocne i jęczą!

Pojrzał syn wieków i uradował się w sprawiedliwości zemsty swojej. — Każda ruina była mu nagrodą i niziny wdowy amfiteatrów i wzgórza świątyń sieroty — z lekkich stóp swoich otrząsał proch i perzynę tam gdzie cyrk Karakalli, tam gdzie Mausoleum Cecylji, żony Krasussa. — I ulicą grobów starodawnych wiódł go straszny przewodnik do bram Rzymu. One same się roztworzą — nie słychać

zgrzytnienia zawiasów. — Weszli. — Straże nagle usnęły oparte na broniach. — Oni przeszli jak cienie!

I wśród długich samotnych kaplic ciasna im droga się wije.

O nocy jedyna, ostatnia! o nocy miłości mojej, coś słonecznego w twoich blaskach jaśnieje — nad każdą ruiną zasłonę cieniów rozdzierasz — i truchlejącą, nagą, wydajesz wrogowi. — Twój księżyc, nędzne domy i nędznych rzadkich mieszkańców, wytyka szyderstwa promieniem!

W krużganku Bazyliki stoi dwóch starców w purpurowych płaszczach. — Żegnają ich zakonnicy imieniem książąt kościoła i ojców — na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli — wsiedli do powozu — czarne schorzałe konie ich ciągną — i z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem konającem z głodu — i na ramach u okien i na listwach u dołu, ostatek pozłoty? Minęły zwolna jęczące koła, siwe głowy wychylone zniknęły. — To następcy Cezarów, to rydwan kapitolińskiej Fortuny — rzekł przewodnik, a syn Grecji pojrzał i klasnął w dłonie.

A teraz stromą pochyłością, sadzonemi schody wstąpili na puste dziedzińce — pośrodku posąg Aureliusza na koniu z wyciągniętą dłonią w próżniach powietrza. — Cezar bez poddanych. — Triumfator bez pieśni — a z tyłu czarne tło murów Kapitolu!

Obok skały Tarpejskiej ułamkiem miecza wracający na ziemię po latach tylu, zostawił znak swój na czole najlepszego z Cezarów — i dźwięk greckiego żelaza o spiż rzymską rozległ się jak dzwonu uderzenie pogrzebne, ostatnie! i z nad szczytów zamku odparł żałosny krzyk sowy i z odległych ulic odparło skowyczenie psa błądzącego po innych ruinach!

A przez via sacra, przez drogę zwycięstw stopniami ze żwiru i błota zeszli ku Forum. — Łuk Septyma Severa aż po piersi, i świątyń ostatnie kolumny aż po szyję zakopane w ziemię, wystają jak głowy potępieńców. — Inne nie tak zagrzęzły, stoją wysoko, samotnie, wysmukłością szkieletów.

Ich kapitele, kwiaty, ich liście akantu, co tak biało, tak nieznośnie tobie świeciły przed wiekami, dziś jak zbrudzone włosy na czole włóczęgi, dziś na pół pęknięte marmury ich kibici rozlatują się w proch jak fontanna w krople. — I nie mogłeś nic poznać, nic nazwać w godzinę tryumfu twego.

Tam pod resztą portyku dwóch nędzarzy śpi pod łachmanami płaszcza jednego — w księżycowej bladości ich twarze jak dwa głazy grobowe — jaszczurki ślizgają wśród ich ramion splecionych — a teraz jak liście jesienne przed wiatrem uciekły przed tobą. —

Powitałeś ostatki ludu rzymskiego na Forum — przechodząc trąciłeś ich nogą — ani się nie przebudzili!

Przewodnik wskazał ku ulicy drzew zgrzybiałych. — Tam cień Palatynu leżał na ziemi, tam Bogów poćwiertowane ciała się walały i bohatyrów rozpadłe piersi z jaspisu, z porfiru. — Tam bramą Tytusa pękniętą, zlepioną jak ogromna

rana, przeszli znów na jasne miejsca puste i stroskane. — Tu wydało się temu który zmartwychwstał, że Koliseum dotąd stoi cało, ale starzec głośniej jeszcze się rozśmiał — i wziął go za rękę!

Na milczącej Arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami u wierzchołków, z szczelinami w łonie, tyś podziękował losom za spodloną Romę.

Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — ztąd miałeś pójść kędy miljony.

I wszystko coś widział niegdyś, wszystko czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć — tam był tron Cezarów. — Ozwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski, przekleństwa. Słońca tylko nie ma, nie ma purpurowej obsłony co powijała na wierzchołkach Cyrku. — Księżyc blado świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących, niknących.

Z nich wszystkich został się głos Hymnu słyszanego niegdyś. — To niegdyś, było wczoraj. — Tu, wczoraj skonali Nazareńczycy. — Ich twarze były pogodne jak wieczór letni — i otóż na miejscu na którym padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku Areny — od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicze.

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żałoba ledwo za jej zbrodnie staje — nie strach obranego losu — ty za nadto cierpiałeś byś mógł się lękać — nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród snu wiekuistego zapominał — ale jakieś wspomnienie twarzy dziewiczej jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelezca!

Ale teraz zdało ci się, że walki z nim nie chcesz — i zdało ci się że on znużony jako ty — opłakany jak losy Hellady niegdyś — i zdało ci się w promieniach księżyca, że on świętym na zawsze!

Jednak nie uchylisz się od przyrzeczonej wiary — wstaniesz i pójdziesz ku starcowi pustyni. — On się wzdrygnął, on przeniknął duszę twoją i kołem ramion ogromnych, posępnych, otaczając ciebie, odrywa cię krok za krokiem od zbawienia znaku. — Ty stąpasz za nim zwolna jak ojciec twój w dniu śmierci!

I piękny, gibki, z tuniką czarną, z koturnem Argijskim stanąłeś i ku niebu wytężając ręce, byłeś wśród gruzów jako dźwięk szybki, ogromny, co połączy tysiąc innych zbłąkanych. — Korynckich festonów szczątki westchnęły za tobą!

— Synu, czas, wypiłeś napój, który ci wieki sączyły do czary i kropli nie zostało. — Synu! czas, zorza niedaleka — nam ubiedz długą drogę trzeba. —

Jęki słychać z pod ziemi, tam męczenników dosypiają kości — jęki słychać w powietrzu — tam ulatują duchy Chrystusa — ale od szczytów amfiteatru po nad te dźwięki żałobne, zabrzmiał głos pełen chwały!

Tam postać bieleje przejrzystą jasnością — tam zebrały się wszystkie miłości księżyca i jak wstęgi powiewne to skupiają się, to rozpuszczają się w promienie około anielskich, cichych, zwartych skrzydeł dwojga!

Ty ku temu słodkiemu licu podniosłeś oczy — poznałeś dawne kształty ale wyświeżone rosą, wyjaśnione tchnieniem niebios i spoglądałeś na nie jak ten co się żegna z pięknością na wieki!

Głos wyzwał starca na powrót przed stopnie krzyża, na sąd nierozstrzygniony jeszcze. — On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie i wrócił od bram cyrku. — Zgrzytał i rwał ci ręce i wołał: — potępiony, kto mi wydrze jego? —

Tu u stóp męki pańskiej, kiedy do zorzy blisko już było, kiedy miesiąc zapadł niżej Amfiteatru, kiedy cała Arena świetniała połyskami bijącemi od skrzydeł, brzmiała muzyką niewidzialnego chóru, zaczął się spór ostatni, wyroczny w około twojej poświęconej głowy!

A ty powyżej kusiciela, poniżej anioła, stoisz na stopniach krzyża — trwogi nie ma na czole twojem ni modlitw na ustach — jesteś jako byłeś zawżdy, samotny na świecie!

On wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje. — Wrogu nieśmiertelny, on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy. — Lecz anioł rozwięzując tęczę skrzydęł, potrząsając złocistymi puklami — o Panie! on jest moim, bo on kochał Grecję. —

I od walki potęg zamgliło się powietrze — uczułeś powtórne konanie. — Życie twoje stało się całe oczekiwaniem i rozdarciem — ogień piekieł palił ci stopy, blaski niebieskie raziły ci oczy — tłumy rwały cię na dół i drugie tłumy ciągnęły cię w górę — wtedy nadzieja boska wszczęła się w sercu twojem i zemdlała i znów się obudziła jak iskra i znów zagasła i stało się czarno — pusto — głucho jak w nicości — bolesno — gorzko — nieznośnie jak w rozpaczy — i słabo — nikczemnie jak w hańbie.

O godzino, przeznaczona każdemu z żyjących, oddal się od myśli mojej!

Ojcze niebieski! ty raz tylko jeden w wieczności, raz Syna własnego opuściłeś, by odtąd już nie opuszczać żadnego z dzieci twoich — nie — żadne dzieło twoje nie pójdzie w rozsypkę na wieki!

Powstań o synu Grecji — patrz! wróg dłoniami zakrył lica i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od próżnych jego wysileń — w mgle zarannej coraz posępniej mdleją kształty jego. — On kona, głowę oparłszy o bramy cyrku — głos jego już teraz jak szum wód dalekich. — Świadectwem Kornelji, modlitwą Kornelji ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecję!

Powstań! czy słyszysz ten głos co zagrzmiał nad milczeniem wszystkich duchów? O pierwszych połyskach świtu on zleciał jak piorun i woń wszystkich kwiatów dolin podniosła się ku niemu.

— Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów — poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci — po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców — poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy.

— Idź i zamieszkaj wśród braci których ci daję — tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysiąców wcielą się w jedno serce twoje.

— Idź i ufaj imieniowi mojemu — nie proś o chwałę twoją ale o dobro tych, których ci powierzam — bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — oni przeminą, ale ty i słowo moje nie przeminiecie!

— A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — udaruję was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem i tem co obiecałem ludziom na szczycie Golgothy — wolnością!

— Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu jako wprzódy było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym synem niebios! —

I weszło słońce nad ostatkami Romy — i nie było komu powiedzieć gdzie się podziały ślady myśli mojej — ale ja wiem że ona trwa i że ona żyje!

PRZYPISKI
DO
IRYDIONA.

PRZYPISKI DO WSTĘPU.

Strona 5. wiersz 1. Już się ma pod koniec starożytnemu światu.

Niniejsza powieść pomyślaną jest w trzecim wieku po Chrystusie. — Stan państwa rzymskiego w tych latach był stanem konania — rozwiązywania się — dezorganizacji. — Wszystko co niegdyś było życiem jego, co sprawiało ruch jego postępowy i byt, teraz wracało w nicość, słowem umierało — przetwarzało się. — Trzy systemata stały obok siebie. — Pogaństwo już bez życia, ale uzupełnione w Rzymie wszystkiemi religjami przybyłemi ze wschodu — jakby ciało we wszystkich częściach swoich, pysznie ubrane, leżące na marach. — Chrześciaństwo dotąd bez ciała prawie, bez kształtu, prześladowane, rosnące między ludem, wyzywające wszystkie wiary symboliczne przeszłości do walki z filozoficznemi, zaś to ucierające się, to godzące na przemian — podobne do ducha potężnego w pracy wcielania się swego — i barbarzyństwo rozmaite, dzikie, ruchome jak morze wśród burzy, mające także swoje myty, ale po większej części niepamiętne na ich łonie Rzymu, żyjące od dnia do dnia w legjach rzymskich, buntujące się przeciwko Rzymianom w północnych prowincjach, gwałtem jednak zewsząd cisnące się ku Włochom, czy zbrojną ręką, czy jako zaciężne żołnierstwo, pełne jakiejś niespokojności na wzór atomów, kiedy się zrosnąć i skupić

mają, ale bez poczucia się, bez wiedzy żadnej, bez conscientia sui, ślepe, straszne jak siły natury. — Była to materja już wrząca, już gotowa stać się kształtem, przylgnąć jako ciało do ducha przechadzającego się w katakombach — do Chrześciaństwa! Milczenie, które poprzedziło tę wielką burzę w której Rzym zniknął i przetworzył się na Europę chrześciańską, były to ostatnie biesiady Cezarów — była to nędza nieopisana ludu i niewolników we wszystkich częściach państwa. — W rzeczy samej zbytki materjalne i nędze materjalne są zawsze wielkiem milczeniem ducha czy indywiduów czy narodów — jest to życie zwierzęce na najwyższym lub najniższym szczeblu swoim — a życie moralne zda się odpoczywać tymczasem, by powstać i zagrzmieć — zresztą świat starożytny był raczej światem liczb i kształtów niż wolnych ruchów ducha — dla tego musiał konając konwulsyjne, ogromnie się tarzać w materji swojej — nasz zbytkuje duchownie raczej. —

Str. 5. w. 5. Fatum jedno spokojne, Rozum nieubłagany świata.

Fatum u Rzymian, ανάγκη u Greków według Hesioda, syn nocy i chaosu, znaczyło przeznaczenie, konieczność wyższą od wszystkich Bogów i duchów czy niebieskich czy piekielnych; wystawiali go pod postacią starca gniotącego nogami ziemię, a trzymającego w dłoniach urnę, w której spały losy śmiertelnych — najczęściej jednak w sensie idealnym pojmowany, znaczył jedność boską, ostatnią przyczynę, matematykę, uniwersum, której nic oprzeć się nie mogło.

Str. 6. w. 6. Motłoch i Cezar, oto Rzym cały.

Pod Cezarami ułożyła się równość wszystkich poddanych — przed Cezarem przyjęte zostały do prawa obywatelstwa tak skąpo rozdawanego przez patrycjuszów, wszystkie prowincje państwa. — Większa część Cezarów pochodziła z prowincji. — Trajan był Hiszpanem, Heliogabal Syryjczykiem, Maksymian Gotem, i t. d. Rzym, którego myślą było ujarzmić świat, a samemu zostać na boku, tak jak Bóg po stworzeniu świata; musiał koniecznością okoliczności otworzyć bramy swoje ludom północy i południa. — Egoizm jego nie mógł się utrzymać zawsze w tej samej, odległej, samotnej postawie — nie rozlał on swojej indywidualności, ale ci których podbił, rozdarli ją stopniami — każdy przyszedł upomnieć się o jej cząstkę. Sztuki Greków, filozofia grecka — pierwsze wcisnęły się do miasta — nauczyły miasto — wyosobniły w niem cząstkę duchowną sobie. — Tem samem zgubiły je — bo wielki egoizm materjalny dopóty silny, dopóki zupełnie jest materjalnym. — Ducha w nim obudzić a zgubić go, to jedno — bo naturą ducha jest dążenie zewnątrz, jest siła rozlewania się — wcześniej czy później od jego usiłowań pęknąć musi skupienie materjalne. — Dalej wschodnie podania, myty, obrzędy i czary przybyły do Rzymu. — One w gminie to samo sprawiły, co filozofia grecka w senacie i patrycjuszach. — One symbol egoistyczny wiecznego Kapitolu rozerwały — później okazały się dotykalnie skutki widome tych przyczyn niewidomych, moralnych. — Rzym stał się Grecją, Egiptem, Azją mniejszą, a nie Grecja, Egipt, Azja mniejsza stały się Rzymem. — Barbarzyńcy zasiedli w senacie rzymskim — pomięszały się wszystkie wiary i prawa w tej colluvio nationum, w tym składzie dezorganizującym się, upadły wszystkie dawne porządki i podania rzymskie. — Arystokracja zupełnie wyginęła, to przez zawiść Cezarów, to przez wyczerpnienie sił żywotnych. — Cezar konfiskując jej dobra lub biorąc zapisy, stał się jej dziedziciem — również zgromadził w sobie wszystkie prawa kapłanów i ludu — co mógł zniszczyć na swoją korzyść, zniszczył. — Siły zniszczonych zebrał w sobie. — Jednej tylko rzeczy, jednej jednostki nie mógł zniszczyć. — To jest ludu któremu panował. — Został się więc sam na sam z nim — a że w tej drugiej połowie państwa była siła materjalna, siła prostobytu, musiał jej nie raz ulegać, podchlebiać jej darami, igrzyskami, i t. d. Lecz prócz niego i ludu nic już nie było w Rzymie.

Str. 6. w. 18. Czy gdzie nie spotka Odyna, Boga ludów swoich.

Ze względu religji rozróżnić można plemiona germańskie na dwa wielkie oddziały. — Germanja, o której Tacyt mówi, a w której górują Suevy (Hermiones) ma religję natury, czci żywioły, drzewa, krynice. — Bogini Hertha (Erd, ziemia)

każdego roku na wozie przesłoniętym, powstaje z gajów dalekich od wysp północnego morza. — Rozmaite zapewne były u rozmaitych hord miejscowości, obrzęda, ale ogólnie biorąc, ich wiary jeszcze były bardzo pomięszane, niepewne. — Na tem tle bladawym mocne wycisnęły się barwy przez napad hord dalej ku północy mieszkających, Rzymianom nieznanych. — W tych hordach wszczął się już był ruch postępowy, bohaterski! objawienie jakieś religijne. — Temu objawieniu na imię było Odyn. — Odyn od Islandji, gdzie później jego religja najdzielniej i najobwiciej się rozwinęła, od brzegów Renu opanował umysły ludów. — Gothy, Saksony, Gepidy, Lombardy, Burgundy, były to Odyńskie pokolenia, wierzące we wcielenie się Odyna, w pewno opisane obrzęda, w nieśmiertelność za grobem, w nagrody w pałacu Odyna w Walhalli, w jakieś miasto Asgard święte na ziemi, zkąd wyszli ich ojcowie, o do którego wrócić mieli wcześniej czy później — z tego kształtu nadanego ich wiarom, z tych Mytów już opisanych wyszła ich siła popędowa. — Oni to poruszyli plemię Germańskie, leżące martwo w niższej Germanji. — Oni to ze Skandynawji zeszli po nad brzegi Baltyku, opuścili się ku Dunajowi i przebiegli całe Niemcy, ocierając się wszędzie o granice Cesarstwa. — Z ich runięcia od północy wszczął się chaos w Germanji, który później cały na Włochy się zwalił. — U Gothów później Odyn przybrał imię Wodona. — Saksony jeszcze przez czas jakiś nieporuszonemi zostali na brzegach morza niemieckiego. — Myty odyńskie w krótkości są następujące:

Przedewszystkiem był olbrzym Imer. — Tego zabił Odyn wraz z braćmi swemi Vile i Ve — z czaszki zabitego powstały niebiosa, z jego ciała ziemia, morze z krwi jego. — Inny olbrzym Norw był ojcem nocy. — Noc porodziła dzień. — Oboje nieustannie na niebie na dwóch wozach kołują. — Hrim — fax (zmarzła grzywa) koniem nocy. — Skin — fan (grzywa światlana) koniem dnia. — Most wielki wiedzie od ziemi do nieba — z trzech barw złożony, a na imię mu tęcza — przerwie się on kiedyś, kiedy złe duchy po zwycięztwie nad Bogami, przechodzić nim będą. — Świat ma skończyć pożarem. — W ostatniej walce świata złe duchy zwyciężą.

Odyn jest Bogiem nad wszystkimi innymi. — Dają mu imię Alfader, ojca wszystkiego, ojca bitew. — Zowią go jeszcze Hor, Janfchar i Thridi (wyższy, równy wyższemu i trzeci — Trójca) on poległych bohaterów bierze do swego pałacu w niebiesiech, do Walhalli — pięćset czterdziestoma bramami tam wchodzą. — Na ramionach Odyna siedzą dwa kruki — jeden zowie się Lugin (rozum) drugi Munin (pamięć — przez nich wie co się dzieje w przestrzeniach). — Synem Odyna jest Bóg Thor, Bóg wojny z młotem w ręku. — Młot stał się u tych plemion symbolem zdobycia. — Boginie dziewice wojny, zowią się Walkiryjes. — Jest ich dwanaście — a najpotężniejsza Frigga. — Loke jest Bogiem złudzeń i złego. — Bogi niebios okuły w kajdany syna jego wilka Feuris — w tym Loke skandynawskim jest jakby przeczucie Mefistofelesa. — Wodzowie pochodzący od Bogów, szlachta wiodąca do bitew zwana u Gothów Amali i Balty. — Saksoni dłużej pozostali spokojnymi — dopiero kiedy z jednej strony Franki, z drugiej przyparli ich Sławianie, ułożyli się w hordę wojenną, oddawna już przemagającą w składzie Gothów i rzucili się na Anglję. — Gothy zaś, Lombardy, Burgundy zaraz poddali się wodzom; u nich to rozwinęło się przywiązanie żołnierskie, początek feudalnego składu. — Oni to pierwsi rzucili się na dalekie błędy, goniąc za złotem i niewiastą. — To wszędzie było ich bohaterskim celem — ztąd później wyrosła poetyczna postać Sygurda w poemacie Nibelungów — w niej zarazem połączone rada i waleczność, to co rozdzielonem było w mytach greckich, Achilles i Ulisses. — Z tego więc pierwiastkowego objawienia się formy religijnej w Skandynawji wyszedł ruch i życie. — Ruch gwałtowny, dzikie życie, jak źródło z którego wypływało. — Nieopisaną jest ponurość podań skandynawskich. — Jedyną w nich moralnością jest chwała obiecana za odwagę. — W Walhalli biesiadują bohatery i wśród biesiad te szkielety zbrojne wstają i walki przeszłe odnawiają między sobą. — We wszystkich mytach odyńskich przebija wpływ natury północnej — znać w nich jakby brak nadziei, jakby rozpacz wieczną, połączoną z dzikiem bohaterskiem, męztwem, idącem zawsze naprzód, niedbającem na to, że koniec będzie straszny i fatalny. —

Myśl, że świat skończy nieszczęśliwie, że na końcu wieków złe duchy przemogą, kołuje jak zorza północna, krwawa, nad tą całą mitologją — w jej blaskach biją się do upadłego wojownicy na ziemi i goniąc wszędzie za niebezpieczeństwem, nie przepuszczając ni sobie ni wrogom, szukają zapomnienia — żyją taka gwałtownie zewnętrznie by nie myśleć wewnątrz! Taka myśl matka, takie przeczucie zniszczenia wszystkiego, musiało wcielać się w zniszczenie szczegółowe — musiało z tych ludzi utworzyć Alaryków, Genseryków, Attylów. — Jako chrześciaństwo w swoim najgłębszym początku jest duchem postępowym miłości, tworzenia, spajania, tak myty barbarzyńskie północne, były siłą postępową niszczenia, rozprzęgania. — Ale kiedy chrześciaństwo postawiło się w środku tego koła zdarzeń i plemion, działać na nie zaczęło atrakcyjnie, i zdarzenia i plemiona północne przetworzyły się na okrąg porządny, zamknięty. — Po dopełnieniu klęski, po ukaraniu Rzymu, ta materja rozerwana, ciężąca wszędzie śmiertelnie, ożywiła się i stała się. — Chaos powoli zaczął przechodzić w organizm — miłość ducha zwyciężyła opór materji. — Nasza powieść dzieje się jeszcze przed poczęciem się chaosu i tworzenia. — Irydion jest tylko przeczuciem chaosu a zatem i życia — bo chaos na to zdał się tylko, by stało się życie.

Str. 7. w. 11. Morituri te salutant Caesar...

Formuła, którą przechodzący zapastnicy przed rozpoczęciem igrzysk witali Cezara. — «Mający zginąć witają Cezara.»

Str. 7. w. 13. Na palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów.

Na wzgórzu palatyńskiem stał pałac Cezarów — dziś ostatki pałacu Farnezów na głębszych jeszcze gruzach pałacu Cezarów.

Str. 7. w. 20. Wzlatywały z katakomb...

Katakomby, przestronne lochy wydrążone pod całym Rzymem i częścią Kampanji rzymskiej, dochodzące nawet jak twierdzą aż do morza, pierwszych Rzymian smętarze dla chowania ubogich i niewolników, których nie stać było na stos: później schronienie chrześcian podczas prześladowania; dziś w niektórych miejscach jeszcze całe, dostępne, po większej części zaś zasypane, składające się z mnóstwa niskich i ciasnych manowców, czasem rozprzestrzeniających się w kwadratowe lub okrągłe ciemnice. — Ściany zaś zasute nadgrobkami męczenników. — Dotąd kości męczenników z nich wykopują.

Str. 8. w. 25. W Chersonezie Cymbrów. —.

Rzymianie tak nazywali półwysep Jutlandzki — i wszystkie plemiona skandynawskie nazywali ogólnem imieniem Cymbrów.

Str. 8. w. 25. W ziemi srebrnej potoków...

Sami barbarzyńcy tak nazywali Chersonez od białości śniegów i potoków tam płynących. —

Str. 8. w. 26. Brat za brat z królami morza.

U Anglów, Saksonów, Nord-Manów, u wszystkich Skandynawów wodzowie nazywali się królami morza. — Ich życiem były ciągłe rozboje morskie.

Str. 14. w. 9. Błota meockie (palus maeotis.)

Azowskie morze.

PRZYPISKI DO PIERWSZEJ CZĘŚCI IRYDIONA.

Str. 18. w. 11. A tymczasem w Gineceum.

U Greków kobiety jeszcze nie były doszły europejskiej wolności — coś jeszcze wschodniego zostało w sposobie ich życia i Greczynki wychowywały się w Haremach zwanych Gineceum od słowa γυναιχη niewiasta, i nie wychodziły ztamtąd przed zamęściem.

Str. 18. w. 15. Murzyny Heliogabala.

Tak przezwanym został syn Scemidy i Variusza Marcella, Varius Bassianus od Boga Halgal-Baal czyli Mitry, którego arcykapłanem był w Emezie, nim został Cesarzem rzymskim. — Dzieje Heliogabala są najmocniejszym dowodem, najwyraźniejszym symbolem zgrzybiałości ówczesnego świata. W piętnastym roku życia wstąpił na tron, w ośmnastym zaś zginął zamordowany przez pretorjanów; a w tym znikomym przeciągu czasu zużył wszystkie roskosze jakie potęga przynieść może.

On nigdy nie był młodym. — Imię jego, starość uosobniona. — Zdawałoby się jakoby przeszłość działalności, przeszłość czynnego Rzymu zostawiła w nim próżnię, której niczem zapełnić nie mógł. — Dwa znamiona jego charakteru są Nuda i Lubieżność — to samo zupełnie co starców cechuje. — Nuda albowiem jest męka pochodząca z uczucia wiecznej próżni i z daremnej żądzy jej odsunięcia. — Lubieżność zaś jest pracą wyobraźni na wynalezienie czegoś, coby rozbudzić mogło martwe zmysły. — Namiętność jest zawsze silną, prostą, jest to Synteza, jest to poezja ciała. — Lubieżność przeciwnie jest wymyślną, rozkładającą się na tysiąc szczegółów, jest raczej prozą Analizą. — Heliogabal nie dogadzał swoim namiętnościom bo ich nie miał — on miał tylko żądzę ich mienia — on szukał w całej naturze w całem państwie swojem, w całym sobie, tylko podniety, iskry coby zapaliła jakiekolwiek ognisko w jego piersiach — na tym trudzie nieszczęśliwym przeszło mu życie — dla tego wszystko co czynił byłoka prysem. — Taki skład, niepojęty byłby w człowieku młodym, gdyby na nim nie ciężyła już fatalna starość świata, w którym się urodził. — Heliogabal był starcem przez świat otaczający, a był młodym przez siebie — stąd wieczna sprzeczność, niemoc i żądza.

Ten starzec, ta jednostka spruchniała i zmagająca sama z sobą, to dziecię zgrzybiałe wychowało się w Syrji, w kraju czarodziejskich mytów i pochłaniającego klimatu. Babka jego Moesa była siostrą Julji żony Septymiusza Severa — po śmierci tego cesarza cała familja jego żony odsunięta od potęgi, poszła na wygnanie do ojczystego kraju, do Syrji. — Moesa miała dwie córki, Seemidę i Mammeę, matkę Aleksiana, sławnego później pod imieniem Aleksandra Severa. — Heliogabal przed czternastym rokiem życia jeszcze został arcykapłanem w świątyni Emeskiej. — Czczono w niej wielkiego Boga Halgal-Baal, czyli Mitrę, Boga Chaldejskiego, w którym zeszły się wszystkie podania wschodnie i egipskie. — Był to symbol słońca uważanego za Boga, czystego, najwyższego, jedynego, że tak powiem oderwanego. — Dla tego też nie miał posągu żadnego, tylko kamień czarny, ostrokręgowego kształtu był jego symbolem. — W tej samej świątyni inne

były Bogi — Baal-Fegor, czyli słońce już zmaterjalizowane, jako siła obudzająca wegetację — Gad-Baal, czyli słońce jeszcze bardziej ucieleśnione, ogłaszająca wyrocznie, Phoebus-Apollo-Astorto Aalis, Wielka Bogini, żona Halgal-Baala, czyli księżyc oświecony słońcem, natura ożywiona przez słońce. — Baalis-Benoth czyli Venera i Baalis-Dercoto czyli Afrodyte grecka, obie wyrażające naturę, już uczłowieczoną niewiastę. — Obchodzono w świątyni śmierć i zmartwychwstanie Adonisa czyli symbol natury opuszczonej w zimie od słońca i znów przezeń na wiosnę ożywionej. — Cała Azja słała dary do tej świątyni. — Z nadludzkim przepychem odbywały się jej obrzęda i ze zwierzęcą sprosnością zarazem. — Tam rozwinęły się nasamprzód myśli Heliogabala — tam wola jego wolna i siła wszelka, zabitemi zostały u wstępu do życia przez sceny fantastyczne, dalekie od rzeczywistości świata, przez wpływ rozwiązłego, zachwycającego klimatu — podług wszystkich podań był on niezrównanej piękności. — Biegały wieści pomiędzy ludem, że matka jego niegdyś była kochanką cesarza Karakalli, że on synem Karakalli, którego pamięć ubóstwiali żołnierze legjonów. — Makryn, prefekt pretorium po zamordowaniu Karakalli panował podówczas Rzymowi i światu — ale jego rządy słabemi były. — Legja przechodząca przez Emezę ujrzała młodego Heliogabala. — Piękność jego i pamięć ojca wzruszyły legjonistów — do tego przydać należy wszystkie przebiegi i starania się Moesy, nie mogącej zapomnieć, że niegdyś siostra jej była pierwszą w Rzymie. — Ona to w nocy przeprowadziła Heliogabala i Seemidę ze świątyni do obozu legji. — Tam syn Karakalli ogłoszony Cezarem. — Ulpius Julianus posłany przez Makryna, zbity na głowę — w tej bitwie Heliogabal pierwszy i ostatni raz w życiu pokazał się odważnym. — Makryn sam uciekając, dowiedziawszy się o zabiciu syna, zeskoczył z wozu i ramię złamał — głowę mu ucięli, zanieśli ją Heliogabalowi. — Odtąd poczynają się dnie jego panowania, czyli ciągłe marzenie, jakby się nudzić. —

I żeby się nie nudzić, Halgal-Baala sprowadził do Rzymu — do jego świątyni kazał zanieść wszystkich innych Bogów, bohaterów, palladjum trojańskie, Vestę i puklerze Numy —

z nich porobił służalców, urzędników, prokonsulów i nałożnice Bogowi swemu — potem szukał mu żony. — Palladę Ateńską dał mu zrazu, potem ją rozwiódł i z Kartagi Venerę sprowadził — ta została.

I żeby się nie nudzić, jeździł wozami z Sycylji, trzymał fletinarzy z Egium, kucharzy z Elidy, piekarzy z Aten; kobiercami libijskiemi zaścielał posadzki, kadził woniami z Syrji, posyłał po gołębie do Cypru, po perły do Lydji, po konie do wyspy Melos, po ostrygi do przylądku Pilos, po ryby do Hellespontu, po raki do Minturu, po gruszki do Eubei, po śliwki do Damaszku, po winogrod do Rhodu, po pomarańcze do Persji, po cedraty do Palmiry, po granaty do Antiochji, po daktyle do Fenicji, po migdały do Naxos, po wino z Tasos woniejące jabłkami, i po wino z Saprias rozlane wonią fijołek, róż i hijacyntów.

I żeby się nie nudzić, zaprzęgał do wozu swego wielbłądy, lwy, słonie — nosił długą szatę medyjską zamiast krótkiej rzymskiej tuniki, z wielkiem zgorszeniem Rzymian, nosił djadema na czole wewnątrz pałacu, bo nie śmiał tak występować przed ludem, nosił konturny z drogich kamieni. — Nigdy dwa razy nie wdział tej samej sukni, ni obuwia, ni pierścienia tego samego — pływał w ogromnych wannach marmurowych, w wodzie zaprawionej szafranem i najdroższemi woniami — spał na łożach srebrnych, na puchu łabędzim lub kuropatwim — pijał z czar kryształowych, bursztynowych, onyxowych lub złotych — za każdem daniem odmieniał wieniec na głowie — podczas pierwszego nosił wieniec róż — podczas drugiego wieniec z fijołek, na trzecie kładł mirtowy, na czwarte narcysowy, na piąte bluszczowy, na szóste wieniec z paparysu i róż splecionych — na siódme wieniec z lotusów aleksandryjskich.

I żeby się nie nudzić kazał sobie podawać grzebienie wyrwane żywym jeszcze kogutom — języki pawie i słowicze — muszczki z kwiczołów i kuropatw, głowy z bażantów, kanarków i papug — przed stąpającym w portykach pałacu lub w ogrodach idący niewolnicy rozsypywali róże i piasek srebrny. — Raz kazał przynieść sobie dziesięć tysięcy pająków — inną razą dziesięć tysięcy myszy — to znowu zachciało mu się dziesięciu tysięcy kun i kotów — po odbytych igrzyskach rozrzucał między ludem zgromadzonym żmije i bazyliszki. — Parasytom swoim posyłał w darze naczynia najdroższe, zalutowane; pełne ropuch i niedźwiadków. Spraszał ich na biesiady do sal, których podniebia się roztwierały i wypuszczały deszcz z fiołek, róż i innych kwiatów — z razu roskosznie się rozciągali pod temi spadającemi wieńcami — ale deszcz nie ustawał — coraz więcej przybywało kwiatów, sala się przepełniała i nazajutrz wyciągano ich ciała przyduszone pod małgorzatkami i liliami. — Czasem znowu kazał wprowadzać do sali lwów i tygrysów ułaskawionych — i napawał się trwogą senatorów, konsulów, dworzan biesiadujących.

I żeby się nie nudzić spróbował jak się jeździ po cyrku za pieniądze — został powoźnikiem i zbierał sztuki srebra rzucone przez widzów — potem został płatnym muzykantem. — Zdaje się, że jak ojciec jego Karakalla, namiętnie naśladować chciał Aleksandra, tak on sobie za wzór obrał był Nerona — tego Nerona, który przebijając się w jaskini jakiejś kampanji rzymskiej, wykrzykiwał do towarzyszów: — Patrzcie, jak artysta umiera! —

I żeby się nie nudzić, zamordować kazał Pomponiusa Bossussa — żonę jego młodą oderwał od ciała, które oblewała łzami i do swego łoża wprowadził — nazajutrz o świcie odesłał ją, już znudzony.

Dalej próbował czy też Vestalka święta, niepokolana, nie potrafi go zabawić, rozerwać. — Nikt nigdy w całej starożytności na Vestalkę się nie targnął — dla tego ten pomysł nowszym się mu wydał i przyjemniejszym — sam Akwilię Severę porwał z przed ognia Vesty — nazajutrz odesłał ją, już znudzony. Wyprawił potem naumachię czyli igrzyska wodne, wśród cyrku na jeziorze z wina i wody południowej. —

Siostra Scemidy Mammea odziedziczyła po matce silną wolę, bystry rozum i żądzę wywyższenia się. — Jako Scemis, wdała się była we wszystkie czary, symbola rozwiązłości wschodnie, tak Mammea oddawna poszła była drogą idealizmu, filozofji neoplatońskiej i nauk chrześciańskich — syna swego Aleksjana obznajomiła z niemi. — Aleksjanus miał w swojem **sacrarium** (kaplicy) posągi Pytagora, Abrahama, Orfeusza,

Apolloniusa z Tyjana, i Chrystusa — żył tylko owocami i nabiałem — wiersze sam pisał, i czytał nieustannie Senekę, Virgiliusa i Cycerona. — Mammea wmówiła w siostrzeńca, że najprzyzwoiciej jemu jako arcy-kapłanowi słońca, by trudnił się tylko nadziemskiemi czarami, a ziemskie sprawy, nędzne i mierne poruczył komuś. — Heliogabal zrazu uwierzył, uznał tę radę za godną siebie, przybrał do spraw ziemskich Aleksjana, którego zaraz mianował Aleksandrem Severem, Cezarem i konsulem — wtedy zaczęła się z początku ukryta, potem otwarta walka w pałacu. — Heliogabal chciał Aleksandra na swój obraz przetworzyć — a że Aleksander mu się nie dawał, rozwścieklił się na jego matkę i nauczycieli. — Retora Sylvina skazał na śmierć. — Ulpiana, sławnego prawnika wygnał. — Mammeę otoczył szpiegami — wreszcie siostrzeńca kilka razy otruć usiłował — ale nie udało mu się, bo czynne oko matki go strzegło. — Wtedy kazał senatorom, by tytuł Cezara odebrali Aleksandrowi, a pretorianom, by jego posągi zrzucili. — Senatorowie zbledli, nie śmieli usłuchać. — Pretorianie podbudzeni i przekupieni przez Mammeę rokosz podnieśli. — Heliogabal ten sam, który przed trzema latami na czele legji Emeskiej wyzwał był potęgę Makryna i dzielnie sobie poczynał na polu bitwy bez zbroi, bez hełmu, prawie nagi, z jednym tylko mieczem w ręku — teraz uniżony, struchlały, udał się do obozu za miastem i obiecał szanować i poważać brata Aleksandra. — Wróciwszy zaczął rozmyślać jakby się jego pozbyć najrychlej. — Po niejakim czasie dla wywiedzenia się ducha pretorianów, kazał rozsiać fałszywą wieść śmierci Aleksandra. — Znowu bunt się wszczął w obozie — znowu cesarz musiał brata żywego i całego pokazać żołnierzom, by ich uspokoić — ale kiedy stojąc na wozie przemawiał do nich oparty na Aleksandrze, usłyszał zewsząd wznoszące się groźby. — Zdjęty gniewem każe chwytać winnych zbrodni zelżonego majestatu — zamięszanie się powiększa — z jednej strony Mammea zagrzewa żołnierzy — z drugiej Scemis obiecuje im nagrody — ale Heliogabal ogarnięty strachem i przeczuciem śmierci ucieka. — W tej jednej chwili w życiu się nie nudził. — Stronników jego wyrzynają pretorianie. — Aleksander ogłoszony imperatorem.

Wieszczbiarze syryjscy oddawna byli zgadli, że ich arcykapłan niezwyczajną śmiercią zakończy życie — przepowiadali mu więc zawsze że sam się zabije — do tego on był sobie różne przygotował narzędzia — czary zatrute, klingi zatrute, podwórzec brukowany u stóp wieży marmurowej drogiemi kamieniami. — On chciał sobie śmierć przyprawić jako przyprawiał biesiady, rozpusty, igrzyska — ale w chwili śmierci, w tej jedynej chwili mocnego czucia, nienudy, zapomniał o wymarzonych przygotowaniach i lubieżnościach zgonu. — Z matką po prostu, bez dalszej analizy, skrył się w najodleglejszych tajnikach pałacu — w miejscach najnieprzystojniejszych Cezarowi rzymskiemu, o których nawet Neron nie był nigdy pomyślał w ostatecznem niebezpieczeństwie. — Tam pretorianie go wykryli i zabili — głowę mu ucięli, ciało jego i matki wleczone po ulicach miasta w końcu wepchnięto do kloaki, ale że otwór był ciasny, wyciągnięto nazad i do Tybru rzucono. — Ostatnie przezwisko Heliogabala było Tiberinus.

W nim uczłowieczyły się myty wschodnie, symbola pozostałe same w całej sprosności kształtów swoich, symbola głębokich prawdziwych myśli, tylko że niepamiętanych, zatraconych — uczłowieczyły się, by tem pewniej, jaśniej zniknąć z powierzchni ziemi. — Symbol wschodni mógł być tylko takowym. — Myśl najczystsza nie mogła na wschodzie przybrać formy czystej, bo jak tylko wcielała się, wpadła do prawa natury tamtejszej, natury pochłaniającej wolność ludzką — nęcącej do roskoszy, porywającej do zapomnienia, zaprzeczającej ducha przez własną piękność i siłę swoją. — Zwykle historycy z pogardą mijają krótkie dni Heliogabala. — Jako indiwiduum, on jest jej godny ale nie jako faktum historyczne. — Od niego albowiem zwycięstwo Chrystusa co dzień staje się pewniejszem — przez niego pogaństwo zeszło na najniższy szczebel — przez niego ukazało się oczywiście: że ono spruchniało, że owocu już żadnego nie wyda — bo w całej potędze, w całej rozległości swojej się w nim objawiło — nadaremnie. — Heliogabal we wszystkiem co czynił i wyobrażał, jest starością i śmiercią — jest brakiem ducha — jest materją w gniciu. — Opowiadają, że był nad miarę

urodziwym — było to materji a Lightning before Death, jak Szekspir mówi.

Str. 19. w. 10. Że senat przezwał cię już boską.

Po łacinie Diva — zwyczajnie wyrokiem senatu Imperatorowie i żony ich stawali się bogami — stawiano im posągi — świątynie. — Dla tego tylu chrześcian ginęło, że nie chcieli rzucać kadzidła na ołtarz palący się przed obrazami Cezarów. — Antionus, ulubieniec Adriana po śmierci zapisany został w regester Bogów za senatuskonsultem — i z wolą Adriana. —

Str. 25. w. 29. Jam August, Antonin, Aureliusz.

Imiona wielkich, Cezarów, policzonych po zgonie między Bogi, stawały się tytułami dla ich następców lub książąt z rodu cesarskiego. — I tak cesarze mianowali na Augustów, na Cezarów. — Tak Heliogabal przybrawszy jako honoryficzne tytuły imiona najlepszych cezarów, zwał się Antoninem, Aureliuszem, i t. d.

Str. 27. w. 20. Evoe Bachche!

Wykrzyknik używany przy tańcach świąt Bachusowych — oznaczający wesołość i komiczność.

Str. 28. w. 7. Me hercule!

Przez Herkulesa — wykrzyknik używany od Rzymian.

Str. 30. w. 1. Peristyl.

Peristyl był to salon starożytnych. — Domy ich po większej części składały się z ciągu komnat idących jedna za drugiemi tak, że stanąwszy w Vestibulum, t. j. u wejścia, najczęściej ciasnego, można było od razu przejrzeć aż do viridarium czyli ogrodu zwykle kończącego dom z drugiej strony. — Zaraz po vestibulum następowało Atrium czyli sień, w której niewolnicy siedzieli i goście podrzędni przyjmowani byli. — To vestibulum, pośrodku którego było impluvium czyli sadzaweczka okrągła lub kwadratowa na zbieranie się wody deszczowej, otoczone było małemi izdebkami sypialnemi — przez otwór nad Impluvium wchodziło światło dzienne. — Dalej było tablinum czyli przydłużna sala, wystrojona

w kosztowności domu — za nią dopiero Peristyl, kwadratowa przestrzeń otoczona zwykle kolumnami, zwykle bez dachu, przeznaczona przechadzce i rozmowom — potem następował Triclinium czyli pokój jadalny, połączony z vidarium lub często w samym Viridorium, gdzie stały posągi, kwiaty, krzewy. — Ten cały ciąg komnat był na oko jako jeden korytarz długi, urozmaicony tylko występującemi się ściany, posągami, freskami, ołtarzami Bogów domowych w Vestibulum, Bogów innych w Peristylu i w Viriadorium. — Izdebki, w których mieszkali niewolnicy, w których spali panowie, kuchnia, spiżarnia, i t. d. były tylko przydatkowemi ciupkami do tego korytarza głównego, z obu stron ciągnącemi się przy nim. — Rozumie się, że w Rzymie i że w pałacu Cezarów wszystkie części domu nabyły większych proporcji — ale w ruinach Pompei ten tylko korytarz główny przeznaczony na publiczność domowego życia, to jest na przyjmowanie gości, na biesiadę, i t. d. jest obszernym i pięknym, reszta złożona z pokojów ciasnych, niskich, słowem z ciupek.

Str. 34. w. 37. Wielkiego Septyma.

Septymiusz Severus, którego żona Julia siostra Moesy, matki Mammei i Scemidy. — Po Septymiuszu nastąpił syn Jego Karakalla, po nim Makryn, prefekt straży pretorjańskiej, a dopiero potem Heliogabal.

Str. 35. w. 19. Do Cyrku Flaviana.

Dzisiejsze koliseum wystawione przez Flaviusa Vespaziana.

Str. 37. w. 31. Czyż boska Sofia —

Sofia, σοφεια mądrość po grecku, ztąd φιλοσοφεια miłość mądrości.

Str. 38. w. 28. Przez Bogi many Antonina —

Bogi many, czyli cienie, duch czyjś po śmierci. — Na grobach nie pisali starożytny: poświęcone temu lub owemu — ale: Bogom manom tego lub owego — n. p.

Diis manibus
Pueri Septembri
onis. amor. XII. qui
Antipoli in Theatro
Bidno saltavit et
placuit —

Napis znaleziony w Antibes; w nim cała nieużytość świata starożytnego rzymskiego się odbiła — dla tegośmy mu tutaj dali pierwszeństwo.

Str. 40. w. 7. Sztuką Danaów.

Timeo Danaos et dona ferentes — Virg.

Str. 41. w. 9. Lucius Mummius nic nam nie zostawił.

Lucius Mummius zabił Grecję zburzeniem Koryntu.

Str. 41. w. 33. Dulces moriens reminiscitur Argos.

Cytacja z Enejdy: «Niech słodkie umierając wspomina Argos.»

Str. 43. w. 4. W Termach Karakalli.

Były to kąpiele wystawione przez Karakallę. Gmach, którego gruzy dzisiaj jeszcze są gmachem. U starożytnych, kąpiel nie była rzeczą tak krótką i mało znaczącą jak u nas. Najsłodsze godziny życia przepędzali w Termach. Były to budynki pełne portyków, ogrodów, bibliotek, przyozdobione arcydziełami sztuk pięknych. Tam wyszedłszy z wann marmurowych, namaściwszy się najdroższemi kadzidłami, przechadzali się lub słuchali filozofów, lub grali w różne gry, ćwiczyli się w gimnastyce. — Czasem w Termach bywały Teatra i Cyrki.

Str. 43. w. 14. Chyba go Tyresias w piekle zrozumie.

Tyresias sławny wieszczbiarz, syn nimfy Charycloe — oślepiony przez Junonę, darem proroctwa obdarzony przez Jowisza. Do niego, do piekieł, zstępowali bohaterowie, ciekawi przyszłości i objawień o tajemnicach życia.

Str. 44. w. 3. Prawdziwego Krotoniatę.

Mieszkańcy Krotony słynęli z siły i zręczności w zapasach.

Str. 44. w. 26. Jacta est alea.

«Kość rzucona!» słowa Juliusza Cezara przesadzającego Rubikon.

Str. 45. w. 6. Vae capiti ejus.

Biada głowie jego — zwykłe przekleństwo u Rzymian.

Str. 47. w. 18. Proh! Jupiter.

«Ach! Jowiszu» — zwykły wykrzyknik u Rzymian.

Str. 47. w. 29. Rąk potrząsających Tyrsami.

Tyrsy, święte laski oplecione bluszczem, zakończone gronem winnem, niesione w igrzyskach i świętach Bachusa. Ukazanie się tego widma Aleksandra wielkiego znane jest w historji.

Str. 47. w. 37. Podaj mi Falernu.

Falernu sławne wino u Rzymian.

Str. 48. w. 2. Dii avertite omen.

Poświęcony sposób mówienia u starożytnych dla odwrócenia złej wróżby.

Str. 48. w. 4. Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septymiusza (Karakalla) i t. d.

Ta cała mowa Irydiona zasadza się na szalonej miłości, którą powziął był Karakalla ku pamięci Aleksandra W. Karakalla był to człowiek bardzo mierny, o żelaznych kaprysach niewoli, niezmiernie chełpliwy, pełny drobnej miłości własnej, cierpiący niejako pomięszanie mózgu, zresztą odważny żołnierz. Koniecznie mu się wydało że jest bohaterem i że do ogromnych celów stworzyło go Fatum. Postać która najdzielniejszym bohaterstwa blaskiem świetniała nad światem Greckim i Rzymskim, postać Aleksandra W. obudziła w nim żądzę takiej samej chwały i we wszystkiem go naśladował. Dworzanie twierdzili że podobny jemu jak kropla do kropli — posprawiał sobie podobne zbroje, hełmy, szablę — głowę pochyloną na wzór jego nosił — ale że nie mógł był zdobywcą i genjuszem, pocieszał się mustrami legionów — a że nie mógł zdobyć Tyru ni Babylonu — pojechał do Aleksandrji, miasta swojego własnego i tam w jednym dniu wyrżnął połowę mieszkańców, udając przed sobą samym że gdzieś zwycięża i morduje jak niegdyś król macedoński. Nareszcie tyle kłamał sobie samemu, że uwierzył pod koniec dni swoich, że w rzeczy samej Metempsychosą duch Macedończyka wszedł w niego i zupełnie się ujednoczył z Aleksandrem Wielkim.

Str. 49. w. 20. Święty zamek.

Kapitol — arx sacra, aeterna.

Str. 49. w. 31. Genjusz miasta.

Każde miasto, każde państwo, w pogaństwie miało genjusza swego, ducha opiekuńczego, niby Anioła Stróża.

Str. 50. w. 30. Panowie Amfiteatru.

Tak nazywano motłoch rzymski.

Str. 51. w. 15. Io Triumphe!

Wykrzyknik używany w pieniach do Bachusa.

Str. 51. w. 33. Ich fibule.

Fibula, sprzączka na którą sprzęgała się toga lub tunika na ramieniu.

Str. 52. w. 33. Salve Eternum.

Formuła używana przy pogrzebach, pieśń przed zaniesieniem ciała na stos — tak samo jakby kto po polsku powiedział: «Ty wprzódy nad niemi wyrzeczesz wieczny odpoczynek.»

Str. 54. w. 35. Vale.

Formuła pożegnania u Rzymian, «Bądź zdrów.»

Str. 55. w. 35. Człowiek nowy.

U Rzymian homo novus zwał się plebejanin, co dostał się do urzędu, lub człowiek z miasta obcego nie mającego prawa obywatelstwa, co przyszedł do Rzymu i urząd pozyskał. Cycero był homo novus — (un parvenu).

Str. 57. w. 11. Skonał w Spoliarium.

Spoliarium nazywało się miejsce obok każdego Amfiteatru, do którego rzucano konających Gladjatorów, z ran odniesionych na Arenie.

Str. 59. w. 34. Alma Venus.

Alma przymiotnik zwykły Cybeli i Venery, znaczy wszystkorodząca.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI DRUGIEJ IRYDIONA.

Str. 65. w. 15. Pod Mausoleum Cecylji Metelli.

Zdaje się że obok tego pomnika wystawionego żonie Triumvira Krassusa, było ukryte miejsce do katakomb. — Dotąd stoi obok kościół Św. Sebastjana w Kampanji rzymskiej, od którego zchodzi się w tę resztę katakomb, po której chodzić można.

Str. 66. w. 12. Na forum romanum.

Tak zwał się plac przed Kapitoleum, na którym stały mównice i kurje, trybunały, w których odbywały się sądy, a czasem narady Senatu. — Od tego Forum wstępowały schody aż na szczyty kapitolińskiego wzgórza. — Tam na lewej wyniosłości, nad skałą tarpejską, stał kościół Jowisza Feretryjskiego, na prawej zaś Jowisza Kapitolińskiego. — Via sacra, czyli święta droga tryumfujących, szła na Forum przez łuk Fabiana, wychodziła zaś z niego, by już iść w górę na Kapitol, przez łuk Septyma Severa. — Naprzeciwko Kapitolu z drugiej strony Forum, stała świątynia i klasztor Vestalek, bliżej zaś stóp wzgórza Kapitolińskiego, świątynia Fortuny i Zgody — na samym zaś środku, na czystem miejscu była mównica. — Kształt całego forum był równoległo-boczny. — Boki jego wszędzie zasute były rzędami kolumn, ciągnącemi się przed świątyniami i bazylikami. — Widok ten musiał być nadewszystko uroczystym i wspaniałym. — W architekturze starożytnej nie było uniesienia Ducha odbijającego się w gotyckiej, ale za to, najwyższa powaga ciała wszędzie panowała.

Starożytny Patrycjusz niewzruszony, z zarzuconą togą, odpoczywający po ofierze złożonej Bogom jest obraz Architektury starożytnej. — W niej każda cząstka opisana ograniczona. — Idea miary i piękności, przeniesiona do okręgu zupełnie zawartego. — Niewzruszność i jedność są zatem jej piętnami, kiedy w gotyckiej ruch prawdziwy, rozmaitość i nieskończoność, żyją. — Możnaby powiedzieć, że architektura starożytna, jest duchem zupełnie wcielonym w rozmiary, w materję, a gotycka materją pracującą, by się zidealizować, by zduchownieć. — Dla tego też nie ma kościoła gotyckiego prawie, którego by budowa zupełnie skończoną była, a nie było kościoła pogańskiego, któryby nie był zupełnie dokończonym w każdej części swojej. — Ztąd pochodzi, że architektura pogańska, przenosi o wiele chrześciańską pod względem sztuki, chrześciańska zaś pogańską pod względem myśli, ducha. —

Str. 66. w. 18. Że w tych smętarzach śpią goście tylko.

Napis był na jednym z wejść do katakomb: — Caemeterium est domus, in qua hospites dormire solunt. — Smętarz jest domem w którym spać zwykli goście.

Str. 66. w. 37. To Lykański Orfeusz.

W katakombach pełno było rzeźb i malowideł symbolicznych po ścianach i na sarkofagach. — W początkach chrześciaństwa, sztuka była całkiem symboliczną. I tak Orfeusz, pierwszy mędrzec, poeta, założyciel towarzystwa, u pogan wyrażał Chrystusa — postać Noego, Izaaka, Józefa patryarchy, to samo znaczyły. — Złoty świecznik o trzech ramionach, wyrażał Chrystusa. — Latorośl winna to samo. — Lira była symbolem krzyża — palma zwycięstwa niebieskiego — krzyż z drogiemi kamieńmi, otoczony wieńcami róż, wiszącemi na złotych łańcuszkach, dwiema literami greckiemi alfa i omega, znaczył Boga, koniec i początek wszystkiego. — Paw był symbolem zmartwychwstania a czasem znowu szatana. — Oliwne drzewo było hieroglifem wieczności i pokoju. — Cyprys i sosna śmierci — kotwica zbawienia. — Ryby ludzi — z powodu słów Chrystusowych do Apostołów: Faciam vos piscatores hominum. — Delfin nadziei i umarłych, co z tego świata w lepsze strony się udali. — Samson z wyrwanemi bramami na barkach znaczył Chrystusa na tej zasadzie: Tollit portas civitatis est Inferni et removit mortis imperium. Tu civitas raz znaczy czyn Samsona realny, drugi raz oznacza świat starożytny cały, który był tylko składem civitatum miast (citée), czyli egoizmów zamkniętych, w sobie najsrożej uciskających. — W rzeczy samej, Chrystus zadał śmierć składowi temu, porządkowi całego świata starożytnego, powołując ludzi do braterstwa i wolności. — To dowodzi, że i Chrześcianie pierwszych wieków już czuli swoje powołanie polityczne. — Dalej jeleń znaczy Apostołów, kogut czujność pasterską — a krzyż zawsze składał się z czterech gatunków drzewa — z cyprysu, cedru, palmy i oliwy.

Str. 67. w. 22. Przynoszą mu Prochristum.

Prochristum była to flaszeczka zawierająca trochę krwi męczennika, złożona na jego piersiach w trumnie, z wyrżniętemi literami: p. Ch. co znaczyło za Chrystusa. — Dotąd w katakombach po takowym znaku poznają ciała męczenników, gdyż nieraz żadnego napisu nie ma przy nich, ani na grobie.

Str. 69. w. 30. Apage.

Znaczy precz — używana formuła na odstraszenie szatana.

Str. 70. w. 17. Czyś nie słyszała od wielu świętych, że już bliskie czasy.

Od śmierci Chrystusa aż do połowy prawie średnich wieków, trwała w chrześciaństwie posępna wiara, że świat bliski ciągle końca i sądu ostatniego. — Im dalej w lata, im dalej od Chrystusa, tam bardziej słabnęła ta wiara, lub odkładaną była na odleglejsze czasy — ale w pierwszych wiekach Chrześcianie, osobliwie mistycy, pustelnicy, anachorety, spodziewali się lada dzień powrotu Jezusa. Osobliwie na wschodzie, w Egipcie panowało to oczekiwanie. — Rzymski kościół od samego początku swego, był raczej praktycznym niż idealnym, raczej starającym się wcielić w kształt i potęgę, niż gotującym się na rozwcielenie się zupełne z wszelakiego kształtu; ale i na zachodzie jednak wielu wierzyło w bliskie ukazanie się Chrystusa. — Najbardziej do ustalenia tej wiary przyłożyły się natchnienia świętego Jana na wyspie Patmos, zawarte w znanej księdze Apocalypsis. — W pierwszych i następnych wiekach mnóstwo było podobnych ksiąg objawień, widzeń. — Niejeden męczennik konając widział otwarte niebiosa, przepowiadał koniec rzymskiej potęgi, a zatem świata, a zatem z niebios zstąpienie Chrystusa. — Bardzo pomięszane były i zawikłane pod tym względem domysły, nadzieje, życzenia pierwszych Chrześcian. — Jedni sądzili, że wróci Chrystus, i że na ziemi zacznie się jego panowanie — tę wiarę nazwano później wiarą w Millenium; bo później przeniesiono ostateczny termin sądu na rok tysiączny. — W rewolucji angielskiej siedemnastego wieku, znów znalazła się sekta polityczna i religijna, która tę wiarę wskrzesiła. — Drudzy myśleli że w rzeczy samej próba materjalna się zakończy, że ziemia zniknie z przestworów, wraz z Rzymem — że umarli powstaną,

i że się objawi w przestrzeniach obiecana przez świętgo Jana nowa Hierozolima. — Nic dziwnego w tem wszystkiem nie było. — Naprzód na niektórych słowach samego Chrystusa przed śmiercią, mogła zasadzać się ta wiara. — Dalej ludzie przyjmowani na łono Chrześciaństwa w pierwszych czasach, byli jeszcze bardzo materjalnie wszystko sobie wyobrażający, były to po większej części wyobraźnie rozgorzałe, cierpiące, rozdrażnione poniżeniem i niesprawiedliwością świata, pragnące by wszystko i ludzie i natura przetworzonemi zostali. — Codzień powtarzano im formuły chrześciańskie — że świat ten materji jest tylko złudzeniem, że życie ludzkie jest cieniem znikomym — że jest inny świat duchowny, wyższy — codzień widzieli ginących z nadludzką odwagą, by do tego drugiego się dostać; i jakże nie było im czasem pomyśleć, że ten drugi wkrótce zejdzie, zniszczy niższy i sam jeden zostanie. — Oni czuli się powołanymi do obalenia świata realnego, prześladującego ich. — Oni jeszcze nie wiedzieli prawdy moralnej, że myśl zwycięża zawsze materję, jak kropla co kamień przedrąża po wiekach wielu — sądzili więc, nie widząc w samych sobie żadnej potęgi świeckiej, że im Chrystus i Anieli przyjdą w pomoc, że w dniu jednym runie Kapitol i zarazem rozpadnie się ziemia, bo wiara także równie silną, zakorzenioną w świecie ówczesnym była, że Roma stoi dopóki świat stoi. — Wreszcie wspólnem to jest przesądem wszystkim ludziom, że nie jasno pojmują jakoby mógł świat żyć dalej po skonaniu tego w czem wzrośli, czego sami częścią byli. — Państwo rzymskie oczewiście wtedy zbliżało się do śmierci. — Co potem nastąpić miało, nie mogło wcisnąć się w mózgi ludzi żyjących wśród państwa tego — a zatem bez dalszych domysłów świat cały na śmierć skazywali, błędnem przeczuciem. — Zdaje mi się jednak, że to było tylko wiarą ludu, ale nigdy naczelników Chrześciaństwa. — Biskupi Romy przeczuwali, że nauka Chrystusa wcieli się jeszcze na ziemi w jedynowładztwo materjalne. — Na tych to podaniach o końcu świata, o zmartwychwstaniu świętych o zniszczeniu Romy zasadza się spisek Irydiona w katakombach. —

Str. 71. w. 1. Trawa nie porośnie gdzie mój koń przeleci. Słowa Attyli.

Str. 72. w. 21. Wyzwoleniec czytał mu Fedona.

Dialog Fedona o nieśmiertelności duszy, dzieło Platona, które Kato odczytał przed zabiciem się w Utyce.

Str. 80. w. 26. Cenotafy po ścianach.

Cenotaf nadgrobek po grecku.

Str. 86. w. 34. Przed laty Herman.

Po teutońsku Herman, po rzymsku Arminius, ten sam który wyrżnął Legie rzymskie pod dowództwem Varrusa. Znany jest żal Augusta i słowa: Varrusie, wróć mi Legiony moje!

PRZYPISKI DO TRZECIEJ CZĘŚCI IRYDIONA.

Str. 94. w. 7. Irydion dobywa tabliczek i stylem pisze na nich.

Starożytni nosili zawsze przy sobie tabliczki polane cieniuchną warstwą wosku, po której pisali ostrym metalowym piórem zwanym stylus. Ten stylus zatknięty mieli zwykle u przepaski tuniki — używali go czasem miasto puginału. Większa część spiskowych którzy zabili Cezara, przyszła do senatu uzbrojona tylko w stylusy. Brutus pchnął go stylusem.

Str. 94. w. 12. Byśmy go na krzyżu rozbili.

Najohydniejszą śmiercią u starożytnych była śmierć na krzyżu, to samo co u nas na szubienicy.

Str. 95. w. 7. Aż po Hyrkańskie Sytyty i pustynie Jazygów.

Hyrkania, była pod brzegiem Kaspijskiego morza, blisko Partji. — Pustynie Jazygów między Dnieprem a Donem.

Str. 95. w. 35. Przecie Hekatombą.

Hekatomba z Greckiego, ofiara z stu byków złożona — w przenośni każda wielka ofiara.

Str. 97. w. 23. Zemsta jest roskoszą Bogów.

Stare greckie przysłowie.

Str. 100. w. 35. Od bram Kurji.

Kurja każden budynek w którym sąd lub senat się zbierał.

Str. 103. w. 26. Eheu!

Po łacinie: niestety!

Str. 107. w. 2. Hesperus.

Gwiazda wieczorna Venera.

Str. 109. w. 8. Polać zdrojem Nafty.

Nafta gatunek oleju ziemnego, palnego.

Str. 110. w. 2. Zwycięstwem pod Zamą.

Pod Zamą Scypion Afrykański zbił na głowę Hannibala.

Str. 110. w. 15. Całun z Amiantu dla popiołów Romy.

Żeby rozeznać po spaleniu na stosie popioły ciała od popiołów stosu, starożytni zwykli trupy obwijać w koszule utkane z włókien kamienia zwanego Asbest. — Takie włókna prząść się dają i zowią się Amiantem.

Str. 111. w. 2. Manipule Severa.

Legia rzymska we trzy rzędy ułożona stawała na pobojowisku. Pierwszy rząd składali Hastati, drugi Principes, trzeci Triarji. Każdy rząd dzielił się na dwanaście Manipulów. — Dwie Manipule stanowiły Centurię, której przełożony zwał się Centurion, a trzy Manipule składały Kohortę. W Manipuli bywało najmniej po sześćdziesiąt, najwięcej po sto dwadzieścia żołnierzy.

Str. 112. w. 33. Włosy Bereniki.

Konstellacja z siedmiu gwiazd złożona, tak nazwana od siostry i żony zarazem Ptolomeusza Evergeta, króla Egipskiego, która przyrzekła włosy swoje uciąć i zawiesić w świątyni Marsa, za powrotem męża z wyprawy do Azji. Dotrzymała obietnicy — ale włosy tej samej nocy zniknęły. Conon z Samos nadworny astronom przysiągł wtedy, że wyobserwował jako Zefir za rozkazem Venery wniósł je do niebios — i nazwał siedm gwiazd świecących obok ogona Lwa włosami Bereniki.

Str. 113. w. 34. Ludowi Rzymskiemu przypomnę Brennusa.

Brennus, wódz Gallów, który zdobywszy miasto i senat wyrżnąwszy, kiedy okup żądany brał od Rzymian, rzucił jeszcze do szali miecz swój z tem słowem sławnem: Vae victis — biada zwyciężonym.

Str. 114. w. 16. Potrójna Hekato.

Dla tego potrójna, że nazywała się księżycem w niebiesiech, Dianą na ziemi, Prozerpiną lub Hekatą w piekle. Epitet jej zawsze jest: Dea feralis — zgubna bogini.

Str. 114. w. 17. Jeżeli jesteś moim złym Geniuszem.

Było wiarą ustaloną pomiędzy starożytnemi, iż każdy z nich ma dobrego i złego Geniusza. Brutusowi ukazał się jego zły Geniusz przed bitwą pod Filippami.

Str. 123. w. 3. Darujcie mi Kwirity.

Quirites, imię Rzymian od pocisku zwanego Quiris.

Str. 124. w. 19. Sit tibi terra levis.

Formuła, którą umarłych żegnali Rzymianie, odchodząc od stosu lub od urny. — Zwykle nawet te słowa pisano na każdym nagrobku: Ziemia niechaj ci lekką będzie.

Str. 124. w. 21. Wśród tych Kolumbariów.

Pomnik dla uboższych ludzi podobny z kształtu do gołębnika z framugami, w których stały urny, nazywał się Columbarium.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI CZWARTEJ IRYDIONA.

Str. 132. w. 31. Stanął u. progów Attala.

Znaną jest rzeczą, że Senat Rzymski wydzieliwszy najpiękniejsze prowincye zdobyte na Antiochu wielkim, Attalowi, królowi Pergamu, kiedy tenże Attal umierał bezpotomnie, kazał je sobie zapisać i darować.

Str. 132. w. 34. Podniósł się wśród Isthmijskich igrzysk.

Przed wdaniem się jeszcze czynnem i zdobywczem do spraw greckich, poseł rzymski oświadczył publicznie na igrzyskach isthmijskich przed zgromadzonymi mieszkańcami wszystkich miast greckich, że senat i lud rzymski wziąwszy na uwagę o ile niesprawiedliwe są żądania króla macedońskiego i o ile piękną i pożyteczną jest niepodległość Grecyi, obiecują jej bronić wszelkiemi siłami przeciwko napadom tegoż króla.

Str. 133. w. 7. Syn Latony.

Phoebus Apollo.

Str. 133. w. 34. Bite drogi Aedylów.

Aedyle, urzędnicy przełożeni nad budowaniem publicznych gmachów, drog, mostów, wodociągów, i t. d.

Str. 134. w. 1. Od Gadezu po ultima Thule.

Gades, Kadix dzisiaj. — Thule Islandja — prawie zawsze starożytni przydawali do niej ten przymiotnik ultima ostatnia, bo ją uważali za najodleglejszy kraniec ziemi.

Str. 134. w. 3. Stoików obłąkane cienie —

Ostatnim wyrazem szkoły greckiej Platońskiej, byli przy kończącym się starożytnym świecie stoicy. — Idealizm starożytny w nich się wcielił tak, jak materjalizm u Epikurejczyków. — Cnota stoika była wielką ale niewzruszoną. — Umieli umierać ale żyć nie umieli. — Pierwszą ich zasadą było słowa ἀπέχου — wstrzymuj się. — Wstrzymywali się więc od wszystkiego, smutnym wzrokiem spoglądali na świat obumierający, ale nie szli go ratować. — Zawarci w sobie, korzący się tylko przed sądem dumy własnej, którą nazywali sumieniem, wyszli na samolubów moralnych, pełnych nadzwyczajnej egoistycznej godności, ale nie związanych z sobą, nie natchnionych iskrą wspólnego, towarzyskiego życia. — Ich myśli i przepisy krążyły ciągle w idealnym świecie, nigdy nie dały się przystosować do ziemskiego — i dla tego też

zostały nam tylko podania o ich sławnych zgonach, nie zaś o ich życiu. — Marek Aureliusz Cesarz tchnął ich najczystszym najpiękniejszym duchem. — Jego maksymy przez długi czas pocieszały niejako ten świat codzień bardziej się rozrabiający w rozprzęgnieniu śmierci — ale i one nic nie utworzyły wielkiego, żyjącego. — Systema stoickie możnaby nazwać testamentem, w którym konający nic nie zapisuje dziedzicom swoim, prócz kilku smutnych uwag nad życiem. — Pierwsi Stoicy wprowadzili na świat chorobę zwaną spleen, odziedziczoną przez Anglików, której ostatecznem przesileniem jest samobójstwo.

Str. 134. w. 13. Jako ojciec rodziny, dzieci, jak patrycjusz plebejan —

Wyobrażenia prawnika rzymskiego. —

Str. 134. w. 23. Jak w lasach Hercyńskich zbladłe klękają pod nożem ofiary.

W lasach hercyńskich Herman czyli Arminius, otoczył legie Varrusa i pierwszych naczelników zabił w ofierze Bogom Germańskim.

Str. 134. w. 24. Nie lotnym gromem Aleksandra —

Nigdy nic idealnie wyniosłego nie było w dziejach Rzymu — ale za to nikt nigdy na ziemi nie był bardziej realnym, praktycznym. Praktykował Senat Rzymski niesłychane podstępy i podłości od samego początku aż do końca Rzeczypospolitej. — Nieprzyjaciół najczęściej pozbywał się zdradą, (Hannibal, Jugurtha, Sertoriusz, zburzenie Kartagi, Mitrydat,) przyjaciół zaś i sprzymierzeńców oszukiwał na wszystkie sposoby. (Grecya, Azya mniejsza, Pergam, Egipt, Gallia, i t. d.) Wytrwałość w złych losach, wiara że Rzym stać powinien, bo powinien, bezczelność, która się niczego nie wstydziła, sprawiły wielkość tego miasta. — Nigdy Rzymianie nie puścili się na wyprawę młodzieńczą, poetyczną, na wzór Aleksandra wielkiego — nigdy myśl cywilizacji nie postała w ich sercu, jak w sercu ucznia Arystotelesa. — Egoizm ciężko-materjalny wiódł ich wszędzie — dla tego nie starali się spajać ludów razem, nie usiłowali ich narodowości po-

łąkzyć w harmonię, uczynić organicznej całości, ale zagubiali, niszczyli, wytępiali. — Wyroki Senatu rzymskiego są wzorem obłudy i nieskończonego świadczenia się Bogów, powtarzania rozmaitych przepisów cnoty, sprawiedliwości, pobożności. — W imieniu sprawiedliwości wyzuwali z własności, kraje wolne zamieniali w prowincje lub królestwa, którym umarli krolowie ogłaszali swojemi na zasadzie praw najśmieszniej wynalezionych, najbezwstydniej utrzymywanych. — Zarazem przybierali na się wszystkie pozory szlachetności, występowali ciągle niby to w obronie słabych, skrzywdzonych — a potem i skrzywdzonych i krzywdzących ogałacali z posiadłości i władzy. — Układy zawierane przy niepomyślnych okolicznościach przez wodzow Rzeczypospolitej były tylko igraszką, bo Senat zwykle ich nie potwierdzał, tłómacząc się tem, że ów Pretor lub Konsul nie miał dostatecznej władzy, i wydając jego samego za karę. — Potem ciągnął dalej wojnę, korzystając ze straty czasu wyłudzonej na wrogach. — Rzymian potęgą były także frazesa. — Ich posłowie u dworów zagranicznych wciąż kłamali, wciąż opisywali siły swoje z największą bezczelnością i pychą. — Udawało się im. — Papilius Lenas najpotężniejszego mocarza wschodu Antiocha wielkiego, nie wypuścił z okręgu zakreślonego na piasku, nim odpowiedział na jego żądania — a jednak jeszcze wtedy Azja ledwo była słyszała o Rzymie — słowem — nikt Rzymowi nie zrównał w praktycznym rozumie — ale nikt też tak ciągle, bezprzestannie światu nie kłamał — nikt tak niecnie przysiąg nie łamał, nikt na tyle potęgi nie wydał tak ogromnego zapasu złej wiary. — W świecie ducha dla tego też słabemi pozostali Rzymianie — nic nigdy nie wynaleźli, nie odkryli. — Literatury, sztuk, nie mieli. Rozum ich był przedewszystkiem adwokacki. Ich zdobycze podobne procesom z wielką sztuką prowadzonym — a ich ostateczne zwycięstwo, ich panowanie światu stało się zepsuciem i śmiercią świata. — Ludzkość zgniła pod ręką Rzymu. — Jedność o której marzyli, była tylko skupieniem mechanicznem cząstek — nie organicznem ożywieniem wielkiego ciała — na czem się znali, to nam zostawili. — Kodeksa — prócz tego nic a nic — bo wszyscy ich pisarze są tylko odbłyskiem cywilizacji greckiej,

prostem jej naśladownictwem i to bardzo niewolniczem. — W świecie materji panami byli, w świecie ducha niewolnikami. Karę swoją wycierpieli w samych sobie, przez siebie samych. — Zginęli przez to, że nigdy prawdziwego życia politycznego ni towarzyskiego nie pojęli — przez to że podbijali, nie urządzali — że wygubiali, ni pomnażali — że uciskali, nie uwalniali — że zbijali siłą, nie spajali duchem. — Kiedy przyszło umierać Rzymowi, obejrzał się na okół czy gdzie iskry życia nie odkryje, którąby mógł w stare swoje żyły zaszczepić, ale nic nie ujrzał prócz trupów leżących u stóp swoich — i darmo wołał na nie w godzinie śmierci — one się nie przebudziły!

Str. 136. w. 1. Euge, Euge!

Wykrzyknik, to samo co nuż a nuż po polsku.

Str. 137. w. 2. Przy Rostrach.

Rostra, mownica.

Str. 137. w. 9. Ultimum Vale.

Ostatnie pożegnanie przy pogrzebach.

Str. 137. w. 25. Diespiter.

Miasto pater diei, ojciec dnia.

Str. 138. w. 6. Ojcem ludzi i Bogów.

Epitet zwykły Jowisza.

Str. 138. w. 10. Czyż posiał kły smoka.

Jason dobywając runa złotego zabił smoka i kły jego posiał — z nich natychmiast z pod ziemi zbrojni męże wyskoczyli.

Str. 138. w. 21. Marspiter.

Zamiast Mars pater, mówili Rzymianie

Str. 141. w. 29. Gemonii.

Studnia w którą rzucano trupy złoczyńców.

PRZYPISKI DO DOKOŃCZENIA IRYDIONA.

Str. 155. w. 11. Bladą twarz Cyntji.
Imię Diany.

Str. 158. w. 14. Nie ma purpurowej obsłony.
Podczas igrzysk rozciągano nad całym Amfiteatrem zasłonę zwaną velarium, dla uchronienia się od promieni słońca.

TRZY MYŚLI.

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Regestra, listy do przyjaciół i instrukcje dla officjalistów, pisać — pisałem, ale co innego ni umiem, ni chcę, ni potrzebuję — a czemu dziś biorę się do pióra? ba! do druku, pokrótce opowiem.

Na wiosnę tego roku, przypłynąłem z żoną i dziećmi do Sycylji, sam nie wiem po co i na co — ale za co, to wiem. — Ja wiem i mój komisarz pan Ordasowski, chociaż siedzi w Polsce. — Święte przysłowie — gdy czego zachce się kobiecie, to i sam szatan nic nie wskóra. — Zachciało się żonie mojej do Włoch. — Z kraju mnie więc powlokła aż do Florencji, skąd chciałem powracać, a z Florencji do Rzymu, skąd chciałem powracać, a z Rzymu do Neapolu, skąd chciałem powracać: aż tu, patrzaj, dalibóg musiałem z nią popłynąć morzem do Palermo. Przeprawa jaka taka, w nocy wiatr się zerwał; niech mu Pan Bóg nie pamięta, ale tak kołysał się ten okręt parowy, że aż wszystkie gwiazdy nieustannie nam dygały pokłony na niebie — ale co prawda to prawda — nad rankiem cudne znów było powietrze. — Zatoka gdyby tylko błękitna, ale to aż granatowa — góry, wyspy, zdają ci się pędzlem malowane na niebie — a samo Palermo, miasto duże i porządnie stawione — lud tylko gałgański, skacze, biega, piszczy, wrzeszczy, żebrze, kradnie, zdziera, czy na ulicy, czy w gospodach, zwyczajnie Włochy, aż pfuj! do licha!

Lecz nie o tem mowa — podróży pisać nie myślę — niech żona, jeśli się podoba Jejmości, napisze. — Uczyła się języków, umie grać i śpiewać, czyta francuskie romanse, Balzaków,

Szatobriandów i wielu innych, którzy mnie nudzą — ona może pisać. — Ja chcę tylko po prostu powiedzieć, jakom się dostał do tych rękopismów, które dziś wydawać muszę.

O trzy mile włoskie (pół naszej ukraińskiej) od Palermu, jest wioska Morreale, w której mówią, że tam kiedyś mieszkali królowie sycylijscy. — Gdyby nie katedra, smętarz i parę pałaców, toby nie było na co patrzyć — nie ma nawet zajezdnego domu — brudno, pusto, ciasno. — Dalibógci u nas lepiej! Żona moja koniecznie prosi się tam jechać. — Album bierze z sobą, chciała rysować widok — ja biorę dubeltówkę, bo mówili że niebezpiecznie, nająłem powóz, sadzam dzieci, pojechaliśmy. Nie ma co mówić — znać to człowiek już za morze się dostał — wszędzie koło drogi wzgórza krągłe jak głowy cukru, najeżone w kaktusy, w aloesy — kwiatów czerwonych, jakich nigdzie nie ma, krocie — cyprysów tyle co dzid kozackich — a powietrze ma w sobie coś mydlanego, niby kapie ci do płuc, jak przedziwna oliwa, wyborne dla suchotników, szkoda że od urodzenia zawżdy miałem piersi jak mur.

Jedziemy więc bardzo powoli, bo wciąż pod górę. — Żona siadła na przodzie, patrzyć na dolinę w miarę jak się odkrywała. Ja fajkę palę. — Pułkownik Wilczek, któregom tej zimy spotkał w Liwurnie, wracającego z Orjentu, dał mi dwa funty tytuniu — mówił że Sułtan innego nie kurzy. — Nic smaczniejszegom na życiu nie palił.

Przyjeżdżamy wreszcie — musieliśmy stanąć w kawiarni — bo gospody nie ma. — Ledwośmy wysiedli, dwóch, trzech czterech, dziesięciu obdartych, jak z pod ziemi wysypało się hultajów — każden krzyczy że jest przewodnikiem, Cicceronem, jak to tam ich zowią — musiałem ich sam rozganiać, bo żonę chwytali za suknię, wrzeszcząc moro di fame, co znaczy, umieram z głodu; a potem complimentate me! co znaczy, daj co, bo u Włochów kompliment to milczek — a jeden z nich mniej obszarpany, poznał że my Polacy; okropny węch mają Włochy do cudzoziemców, i wysunąwszy się, rzekł do mnie, ja zaś już po włosku nie źle rezumiem i gadam, choć nie lubię tej komedji z łacińskiego języka przerobionej; otoż ten Włoch prawi do mnie:

— Eccelenza (nie ma z czego się pysznić, bo wszystkich tak mianują), ja znam Polaków, ja zaraz poznał że Signor z tą piękną Signorą, po polsku mówi. — O, Polacy to dobrzy panowie — niech im Madonna Santissima zdrowie daje. —

Zdziwiłem się niepomału i mówię: — Kiedyś taki sprytny, to cię biorę na Cicerona — a innych odpędziwszy, poszedłem zaraz z żoną i dziećmi do katedry, pytając się po drodze Włocha, jakimby on sposobem znał język nasz?

A ten mi zaraz bajać zacznie, że tu niedawno umarł na suchoty młody Polak, co przypłynąwszy z Malty, mieszkał sześć miesięcy w Morreale, znać dla zdrowia. Że go wszyscy znali, co dzień widywali, kiedy w południe wychodził, opierając się na ramieniu służącego, z którym rozmawiał tym samym językiem co ja z żoną — że ten służący nigdy słowa po włosku nie mógł się nauczyć, że tylko o swoim panu mówił — Liienza, Liienza! — i płakał przed ludźmi, bo codzień pan gorzej się miał; chudł, aż nareszcie umarł; a służący go na smętarzu pochował.

— Cóż to znaczyło to Liienza? — zapytałem się.

— A to było imię młodego pana — odparł mi Włoch.

— Pleciesz — nigdy żaden Polak nie zwał się Liienza — to chyba Włoch jak ty sam. —

A hultaj mój kiwnął głową i powtórzył, zaklinając się na bożka Bachusa, że to był Polak, i że zwał się Enriko Liienza.

— Prowadź na smętarz, ty! zawołałem — zobaczym — jeśli prawdę mówisz, piastra — jeśli kłamiesz, kijem, by cię nauczyć, nie mięszać Włochów z Polakami. —

A on przystał, pewny swego, i wesół jak chłop co idzie do karczmy — lecz chciał bałamucić — wprzódy katedrę nam pokazać.

— Na smętarz! krzyknąłem, już zły, a chcąc skądinąd prawdy dociec, czy też może być, by leżał wśród samych Włochów, sam jeden, biedny, szlachcic polski. — Jeśli tak, to warto nasamprzód pójść do niego — a ciekawości i antyki na potem!

Żonę więc pod rękę, i syna naprzód, i walę za Włochem. — Włoch do klasztoru. — Gdzie ty tam idziesz? — pytam

— on mi prawi, że smętarz w środku klasztoru — kiedy tak, to idź. —

I prawda — prowadził nas poganin przez korytarzy malowanych mnóstwo — chciał freski tłumaczyć — ja go ręką w plecy ale delikatnie. — Co mi tam freski, kiedy o kilka kroków dalej Polak leży. — Aż tu weszliśmy w ogromny czworobok, bez dachu, otoczony rzędami kolumn — ładne kolumny — cienkie jak grube trzciny — dziwnie wyrabiane u spodu i góry, w grona winne, ptasie dzioby, głowy ludzkie a każda obwiedziona mozajką zieloną i złotą, gdyby pasem perskim.

Żona moja zaraz powiedziała, że to architektura po Maurach — nie w ciemię bite były te Maury, kiedy takie Marcypany stawiali.

W środku czworoboku, na łące pełnej róż i cyprysów, kamień po kamieniu białym, pomniki, figle, posągi — aż w głowie się kręci. — Lecz to na potem wszystko; choć żona chciała oglądać, ja nie dałem i pcham Włocha przed się — a mój wiercipięta skacząc przez groby i krzewy, bieży do kąta pod murem i krzyczy: Eccolo! i wyciąga rękę mówiąc znów: Complimentate me.

Dalibóg, gdy się zbliżę, gdy spojrzę, znak święty krzyża uczyniłem. Czym mógł się spodziewać?... oto stał przedemną krzyż drewniany, niski, ledwo że ostrugany, a na nim napis farbą czarną:

ZGON HENRYKA LIGENZY.
1840 ROKU, 12 KWIETNIA.

— A co nie Liienza, a co nie piaster? — zawołał Włoch.

Ja mu trzy rzuciłem, i zdjąwszy furażerkę, mówiłem Zdrowaś Marja, a potem zacząłem przypominać Imości, że to niegdyś wielka familja była w Polsce, z osiem kartek w Niesieckim jest o niej, ileż to dygnitarzy i senatorów z tego gniazda wyszło — a teraz co? — pożal się Boże! — Ostatni, bo nie słyszałem by inni jeszcze to imię nosili w kraju; a może są, którzy go noszą, ale nie wiem o nich. — Tak, zapewnie, ostatni z Ligenzów tu leży za morzem, na wyspie, wśród obcych, prawda że pod ciepłem niebem i między kwiatami — ale co mu po tem niebie i kwiatach!

Syn mój starszy Kazio (młodszy, Tadzio, został w domu z guwernantką), i moja Teodolincia (matka tak ją przezwała, choć ją ksiądz wyraźnie ochrzcił z wody i z ceremonji Barbarą, Urszulą), oboje uklękli i pacierz zmówili.

Tymczasem żonie mojej przyszło na myśl, by zaraz kamień uczciwy sprawić P. Ligenzie wśród tych magnatów włoskich, bo aż wstyd że szlachcic polski tak nago śpi na cudzej ziemi — z takiem krótkiem słowem, przez poczciwca służącego, niezgrabnie napaćkanem — i zaraz też, bo dowcipna kobieta, zaczęła, chodząc wzdłuż i wszerz, inny napis, zdaje mi się wierszami, układać.

A ja wołam: — Moja panno kochana, trzeba naprzód do wsi wrócić, a tam o wszystko się dopytać, wywiedzieć — z kamieniarzem się rozmówić — i dopiero wtedy pisać, a nie teraz, gdy jeszcze nic nie wiesz. —

Włochowi zatem, obiecuję dobry kompliment, jeżeli mnie zaprowadzi do gospodarza u którego mieszkał p. Ligenza — Włoch zaraz idzie, słowo w słowo żyd faktor u nas. — Żonę z dziećmi zostawiłem na smętarzu. — Tak Imość chciała, mówiąc, że będzie czytać na grobie włoskim, jakiegoś poetę Niemca.

Co niechlujnych i ponurych kątów w tym Morreale, to strach! — Wreszcie doszedłem do porządnego domu, na wzgórzu, z ogrodem, skąd widać miasto Palermo i całą zatokę — anim patrzał — gospodarz stał na progu i jadł melona — mój Ciceron mrugnął na niego. — Już to oni sobie zaraz tam na migi, wszystko co chcieli, powiedzieli. — Gospodarz jednak wyglądał na poczciwego i łebskiego ćwika — z żalem prawić zaczął o panu Ligenzie:

— Signore, szkoda tego młodego pana. — Taki był cichy, spokojny, wspaniały. — Żył miernie, ale regularnie płacił za wszystko — grosza długu nie zostawił — prawda że i grosza na pogrzeb także, ale ja i służący pochowaliśmy ciało. — Mówiłem służącemu: Zostań z nami, wykieruję cię na Vetturyna — ale on nie chciał ani się po włosku nauczyć, ani tam zostać gdzie pan na jego ręku skonał, i odpłynął pierwszym statkiem — nie wiem gdzie — podobno do Francji — ale i on nie długo pożyje, bo po śmierci pana rozpił się z rozpaczy.

Wtedym się zapytał, czy nie zostawił p. Ligenza jakich papierów lub rzeczy.

Gospodarz jakby sobie nagle coś przypomniał, wziął mnie za rękę, i przez wschody zawiódł do porządnej izby, na drugiem piętrze.

— Tu mieszkał — na tem łóżku umarł, patrząc się w morze i na Concha d'oro (jak przezwali sobie dolinę w której leży Palermo), a przed śmiercią sam widziałem jak pieczętował zwój papierów, i zasuwał potem w głąb tej szafy. — Służący pewno o nich zapomniał, bo gdy ztąd ruszał, był jak warjat jaki. —

To mówiąc otworzył szafę. — Prawda, pod półką leżały papiery — wziąłem — ołówkiem na wierzchu, napisano było: Ostatni ślad myśli znikającej. — Jeżeli kiedykolwiek wpadnie w ręce Polaka, niech czyni z nią co mu się podoba — ja chciałbym, by ją wydrukował. — I nic więcej, tylko te słowa, i owe trzy ułamki, które w niniejszym tomiku wydaję.

Przyznam się, że czytając je, mało com zrozumiał — nawet nie zupełnie, oprócz dobrych chęci. — Są to i każdy powie to samo co ja, dziwaczne szusy umierającego na suchoty, bo jużci pytam się wszystkich w obec i każdego z osobna, co te wiersze o Cieniach znaczyć mogą, gdzie, jak twierdzi żona moja, która je na czysto przepisywała, raz to niby o człowieku, to znowu o Panu Bogu mowa? Co widzenia Chrystusów, te święte Piotry co padają, kiedy świętego Piotra na własne oczy widziałem i wieki jeszcze stać będzie bo tak mocno stawiony jak żaden inny kościół na świecie — co, ten niby kardynał, niby Jan apostoł co papieża żegna i błogosławi — a to wszystko, smalone duby — ale darmo, woli ostatniej p. Ligenzy musiałem dopełnić, kiedy mi opatrzność jego dziełko tak dziwnie do rąk wtrąciła. Z umarłym nie można jak z żywym! Czy umarłemu co wyperswadujesz? a kiedy już tak żądał, niechże i tak będzie! Tęskno mi było za nim, serdecznie tęskno — gospodarz mnie odprowadził aż do smętarza. — Idąc plótł rozmaite szczegóły o nieboszczyku — powiadał że był śniadej cery, bardzo zapadłych ale świetnych oczu i dziwnie powolnych ruchów — lecz kiedy raz się rozgniewał na trzy miesiące przed śmiercią, to Włocha

który z nożem gonił za żoną, jak to zwyczaj u nich, gdy porwał za piersi i wstrząsł, to Włochowi aż krew z nozdrzy i z ust buchnęła. Zresztą nigdy nikt go niecierpliwym ni złym nie widział. — Często grywał na fortepianie który sobie z Palermo sprowadził. — Lubił całe noce czuwać i grać — to mu nawet mocno szkodziło! A na kilka dni przed śmiercią zawołał gospodarza do siebie i biorąc pałasz kosztownie oprawny rzekł do niego — nie mam już z czego płacić tobie — wkrótce już za nic nie będę potrzebował płacić. Sprzedaj ten pałasz i weź com ci winien — a gdy to mówił, miał łzę dużą w oku.

— I cóżeś wasan uczynił — zapytałem gospodarza.

— Sprzedałem — odpowiedział.

Mało com Włochowi w oczy nie plunął, osobliwie kiedy mi zaczął opisywać pałasz. — Zdaje się, stara to broń była, po Ligenzach, na rękojeści turkus — na klindze krzyż i imię familijne.

Jeszcze mi się tęskniej i smutniej zrobiło.

Ale czem był p. Ligenza, ale gdzie ostatni raz widział się z swojemi, czy miał krewnych jakich, czy odbierał od nich listy, czy przepędził życie w kraju, czy za granicą, czy teraz tylko z Malty, czy z innych stron odleglejszych tu przybył, tego na żaden sposób dociec nie mogłem, bo i sam gospodarz nic a nic o tem nie wiedział.

Zatem nie wiele żonie do nagrobku pomogłem, gdym wrócił nie smętarz — ale już był w jej głowie napisany. Ułożyłem się z p. Balducinnim (tak zwał się gospodarz) by mi wynalazł rzeźbiara. — Sztukę marmuru białego kupiłem, a po tygodniu gdym wrócił z Palermu, by przekonać się czy mnie też czasem nie oszukali Włochy, zastałem na smętarzu kamień mój z napisem żony mojej, zaraz przy krzyżu, który zostawić byłem kazał — bo co sługa na grobie pana postawi, to święte. — Po tem Bóg sądzi że to dobry pan być musiał!

A napis nasz taki:

TU. ZASNĄŁ. DO. CZASU.
Ś. P. HENRYK. LIGENZA.
NARODEM POLAK.
ZNAKOMITEGO, NIEGDYŚ. W. RZECZYPOSPOLITEJ.
RODU.

ŻYCIEM. NIEZNANY.
ŚMIERCIĄ. WŚRÓD. OBCYCH.
NA WYSPIE. DALEKIEJ.
GODZIEN. ŻALU. I. MODŁÓW.
POCHOWANY. PRZEZ. SŁUGĘ.
WIERNEGO.
POMNIKIEM. UCZCZONY.
PRZEZ. PODRÓŻNYCH. ZIOMKÓW.
KTÓRZY. GO. NIGDY. NIE. ZNALI.
TYLKO. MYŚLI. JEGO CZYTAJĄC.
UCZULI, ŻE. ON. BYŁ. ICH. BRATEM.
NA. ZIEMI.
A TERAZ. ŻE. O. NICH. MODLI. SIĘ.
W. NIEBIESIECH.

Tak żona moja chciała; trochę tam kadzidła co do tych myśli czytanych — no — cóż robić — lepiej podchlebiać umarłym niż żywym!

Com miał powiedzieć, powiedziałem — napisałem. — Ale to już ma pójść do druku, to jedno jeszcze dodam, że mi się we Włoszech dwie tylko rzeczy podobały — podpora w Koloseum postawiona przez papieżów, by te stare mury nie gruchnęły i błota Pontyńskie, całkiem do naszej Pińszczyzny podobne — chciałbym był w nich polować ale czasu nie miałem.

Niechże Bóg teraz świeci nad duszą pana Henryka Ligenzy, com mógł uczyniłem dla niej!

Pisałem w Szafuzie na przejezdnem, 1 lipca 1840 roku.

STEFAN, SZCZĘSNY, BOGDAN MIELIKOWSKI,
przydomku i herbu Gozdawa.

SYN CIENIÓW.

5. Tedy Anioł, któregom widział stojącego na morzu, na ziemi, podniósł rękę swoją ku niebu.

6. I przysiągł przez żywiącego na wieki wieków, który stworzył niebo i to, co w niej jest, i ziemię i to, co na niej jest, i morze i to, co w niem jest, że czasu już nie będzie.

OBJAWIENIE Ś. JANA, Roz. X.

Syn cieniów patrzy w otchłań, w ziemię, na dół.
Moc go nieznana z ciemnic wyrzuciła,
Dzika wilczyca piersią wykarmiła,
I pod Tytanem stęknął ziemi padół.

Poszedł wpółsenny i darł się po górach.
Zawisł; ssie wilgoć na gór szczycie, w chmurach,
Aż mgła wisząca pęknie u skał szczytu,
I światło spadło z krainy błękitu.

Pojrzy syn cieniów w oddal, w górę, w niebo,
Wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata;
Choć z ziemi rodem, już ziemią pomiata,
Nektar gwiazd mlecznych ust jego potrzebą!

Ale nim wdzieje szaty człowieczeństwa,
Nim się rozbierze z powicia natury,
Musi z nią walczyć i znosić tortury
Olbrzymie, straszne Tytanów męczeństwa.

Aż z starożytnej odmętu zawiei,
Wyjdzie przemienion i — jestem — zawoła,
Ludzka mu piękność wyjrzy wtedy z czoła,
W sercu zakwitnie kwiat błędnych nadziei!

Choć Boga tylko, zna on gniewu panem,
Choć pozór dotąd mu prawdą jedyną,
I przeciw losom brata się z szatanem —
Ta dola płynie — bole te przeminą!

Przez długą pracę ludzkiego męczeństwa,
Znów się rozbierze z szaty człowieczeństwa;
Myśl która truje, krew własna co krwawi,
Glinę mu z serca wyżre i przetrawi. —

Cierniów koronę przywiąże do skroni,
I łzę miłości nad bracią uroni,
Cierpiąc i wierząc w ojca niebieskiego,
Jak duch nieszczęsny — lecz wolny od złego!

Aż znów się zbudzi odwieczna tęsknota,
Dni zwątpień wrócą, pokusa się wzmoże,
Znów mu się wyda, że z niego sierota,
Rzucony oślep na zaguby morze!

Ale złe przejściem — tylko pyłem drogi —
Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —
Jeżeli cierniem — to łodygi róży,
Której kwiat płonie tam gdzie Bogów progi!

Ten co dziś wątpi — co od wieków jęczy,
Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi;
Bo w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi
Wiążąc go z niebem, innej wstęgą tęczy.

Stąpaj więc dalej o synu światłości!
Stąpaj ku światów nieodkrytych stronie!
Wszystko co żyje, świeci, dźwięczy, płonie
Twojem, na drogach twej nieśmiertelności!

Coś myślą pojął — dosięgniesz ramieniem —
Ujrzysz na oczy — coś przeczuł natchnieniem —
Z strun twojej lutni rozpierzchnięte dźwięki,
Weźmiesz jak perły widome do ręki.
Gdy wrócą kiedyś świeże i stwardniałe,
W życie wcielone, z próżni zmartwychwstałe.
Na wieki wieków dane tobie — tobie
Coś marzył czasem że twój koniec w grobie!

A hańbą ową nie dręcz się pielgrzymie —
Gdziekolwiek idziesz, tam wre anioł życia;
Twarz jego czasem w czarnym śmierci dymie —
Lecz jak kwiat róży, nim wyjdzie z ukrycia!
Jak uśmiech dziecka, nim błyśnie z powicia!
Bądź znów jak Tytan, wielki — silny — dumny.
Wszędzie kolebki — nie ma nigdzie trumny —
I wszędzie niebo — nie ma nigdzie ziemi —
I wszędzie Bogi — nad tobą i w tobie,
Na każdem miejscu i o każdej dobie,
Byłeś — nie jesteś, lecz znów będziesz z niemi!
Aż kiedyś ujrzysz jak z lazurów łona
Jasność jasności, Bóg Bogów powstaje.
I znów do niego wyciągniesz ramiona,
I on cię porwie w inne — dalsze raje!

Znów za nim pójdziesz ty anioł, ty święty,
Lecz on ci jeszcze będzie niepojęty —
Choć w innem ciele, choć na skrzydłach gromu,
Coraz to chyżej i wyżej niesiony —
Ty tęsknisz dotąd, boś nie znalazł domu —
I świat twój jeszcze nie jest nieskończony!

Choć wstęgi mleczne u stóp twoich płyną,
Jak niegdyś ziemskich oceanów fale,
Ty na nie patrząc, nowe czujesz żale —
Wiesz że i one jak tamte przeminą!
Dotąd ci czegoś brak, synu światłości!
Choć latasz wolny po światów przestworze,
Cień twoich skrzydeł dotąd w nim się toczy,
Mgła niepamięci dotąd ćmi ci oczy,
Ostatek bolu w twojem sercu gości,
I jeszcze wołasz na Boga — Ty — Boże! —
Duch twój dopiero u progów wieczności!
Aż przejrzysz Pana, jakoś ty przejrzany,
I poznasz siebie — a w tej samej chwili
Noc niepamięci w tobie się przesili —
Wspomnisz nareszcie, żeś z Panem nad Pany

Duch ten sam, jeden, na wieki i wszędzie,
Co jest już teraz — ni był, ani będzie!

Bo pierwsze, wszystkie kształty przeminięły —
Bo sen twój mijał jak fal miliony —
Ten sam ty byłeś lecz nieprzebudzony,
Boś śnił o falach co w tobie płynęły!
Teraz żyć poczniesz — boś uczuł żeś razem
Potęga marzeń i marzeń obrazem!
W jednem wspomnieniu po długim pogrzebie
Tyś zlał się z sobą — tyś przypadł do siebie!
I wszystkie dusze co wierzyły tobie
I przez ciąg wieków spać się kładły w grobie,
Coraz to wyżej z grobu w grób na zmiany
Wschodząc i żyjąc — do ciebie wróciły!
Tem są na końcu czem w początku były —
Świat jeden ducha z twoim duchem zlany —
Lecz każda dusza na ciebie wyrosła,
I siebie samą w twoje łono wniosła,
I wie o sobie — że stała się synem
Równym ci Ojcze i wiecznie jedynym.
Bo w każdej jeden ty jesteś o Panie!
I w każdej wołasz — Ja — a oprócz Ciebie,
Nigdzie nic nie ma i nic nie powstanie!

Teraz myśl — kochaj — stwarzaj — niebo w niebie!

SEN CEZARY.

1. Choćbym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłości bym nie miał; stałem się jako miedź brząkająca, albo cymbał brzmiący.

2. I choćbym miał poroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność, i choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, nicem nie jest.

LIST PIERWSZY S. PAWŁA DO KORYNTJAN, Roz. III.

Cienie zewsząd w duszy mojej i w około ócz moich — głos mnie zawołał po imieniu «Cezara, Cezara» i wyszedłem i idę sam nie wiem gdzie, ale za tym głosem pójdę jeźli trzeba, aż na koniec świata!

Widzę wieżę czarną przy wielkim kościele — kazano mi wejść do niej, wstępuję ciasnemi wschody — głos przedemną leci i woła «Cezara, Cezara.»

I nagle, grube mury stały się jakoby hafty, jakoby rąbki, jakoby kwiaty z kamieni; pośród ich liści i kielichów światło miesięczne się wkrada. Im wyżej, tem więcej takich kwiatów, tem wysmuklejsze, przejrzystsze i światła też coraz więcej przybywa. — Głos wciąż woła «Cezara, Cezara.»

Okrążyły mnie poręcze granitowe — przepaść bezdenna podemną — nademną dzwonnica pleciona przeźroczysto, róże gotyckie kładzione na różach, arkady podesłane arkadom, świat ostrołuków pnący się ku niebu — a przez każden z nich gwiazdę jedną widać, a przez jeden z nich księżyc złoty, szeroki, tam daleko, tam nad górami!

Głos wstąpił w dzwonnicę, i jak słowik ukryty w gaju woła na mnie «Cezara, Cezara.» Okolica jak świat szeroka roztoczyła się przedemną. Zdało mi się, że widzę pomięszane wsi, miasta, wzgórza, doliny i bory uśpione, księżyc nad niemi płynie, wszystko się stało bladem, złotem i ciszą!

W tem z pod stóp moich nagle, od razu, wzbiły się dźwięki poważne, jakby organów szum pomięszany ze śpiewem ludu. I coraz głośniej i coraz pełniej te akordy wschodzą z dolnego kościoła — idą do mnie — otoczyły mnie!

A za każdym akordem światło miesiąca żywszem sie staje, gwiazdy się rozszerzają jak źrenice coraz większe, ognistsze —

niebo całe jak jedno morze jasności wisi nademną — ziemia cała jak jedno zwierciadło kędy się ta jasność odbija, leży podemną — wieża tylko i katedra tylko czarne, jak skała czarna!

I wszędzie, wszędzie ujrzałem jakoby tłumy narodów przechadzające się po tej jasności — usłyszałem krzyk ich mowy i odgłos ich stąpań. — Szli nie zawracając — gdzie się spotkali tam wrzask się wszczynał, a czasem wznosiła się pieśń błoga pokoju — i szli coraz dalej w nieskończoność widnokręgu — księżyc już teraz jak ogromne, krwawe słońce gorzał nad niemi, a gwiazdy wszystkie patrzały z góry jak kołujące księżyce.

I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi, ubranych w szaty żałobne, garstkę ludzi ujrzałem niosącą sztandar na którym napisano było «naród»; ujrzałem ostatnie pokolenie wielkiego plemienia, idące zwolna, jakby za pogrzebem, idące także w nieskończoność. — A gdziekolwiek spotkało się z drugiemi tłumy, torujące sobie drogę ostatkami szabel. — Wielu z nich dźwigali szczątki łańcuchów na nogach i dłoniach, byli bardzo bladzi i bardzo znużeni — nieśli dzieciątka konające w ramionach, inni w objęciach trzymali zemdlałe niewiasty podobne do umarłych aniołów — wielu z nich, znaczyli ślady swoje krwią z ran płynącą i na ich piersiach głębokie rany widziałem — na ich czołach jakoby wieńce cierniowe — w ich ręku jakoby krzyże zwiędłemi kwiaty oplecione, a milczeli tak jak groby milczą — bez krzyku walczyli — bez jęku padali — bez pieśni zwyciężali — bez narzekania szli dalej na nową bitwę i śmierć tę samą! — Długom patrzał czy też kto ich nie przywita miłosiernem słowem lub uściskiem bratnim. — Lecz nigdy i nigdzie nikt im ręki nie podał, nikt z drogi się nie usunął, by mogli ci umierający przejść w pokoju. Tłumy narodów jak mury czarne stawały w poprzek im; jak potoki czarne płynęły przeciwko nim — jak stada drapieżnych ptaków pastwiły się nad ich obalonemi ciałami.

I żal serce mi objął i łzy do ócz mi się cisną. Zrozumiałem katedry ponure jęki, owe podziemne akorda bijące ku niebu — one grały pogrzebną pieśń ludu tego! — A głos z wnętrza dzwonnicy zaszumiał ku mnie «Cezara, Cezara! oto lud, co zchodzi z ziemi i nie powróci nigdy.»

A gdym spojrzał znowu, oni bili się otoczeni zewsząd i już bez nadziei — bo ów księżyc jasny jak słońce, oblewał ich promieńmi, a nad ich wrogami wisiała jakoby mgła połyskami przetkana — i było im bardzo ciężko i skwarno — wszystkie kule i cięcia prosto w nich trafiały. Ich miecze, ich groty, daremno błądząc w cieniach, wrogów zabijać nie mogły. I było im nieznośnie gorzko!

I każden z nich wzniósł w górę dziecię swoje, i rzekł «leć do Boga, sieroto.» — A zdało mi się że na chwilę zbladł księżyc i z nad ich głów się odsunął — i przepaść jakaś lazurowa wydrążyła się w niebie — i w nią wleciały owe wszystkie maleńkie, jak rój białych aniołów — wlecieli i zniknęli — i zamknęło się niebo i znów księżyc roziskrzył się krwawym blaskiem i walka na nowo się rozpoczęła na ziemi!

A umierających coraz mniej, umarłych coraz więcej widzę! Jednak żaden dotąd nie rzucił broni, nie kląkł — nie błagał przebaczenia — nie zdał się na hańbę niewoli! Słyszę głosy wołających tłumów. «Żyjcie i bądźcie naszymi sługi.» Umierający wstrząśli korony cierniowe na czołach i odpowiedzieli jednym, wielkim krzykiem, jak gdyby ostatniem wyzwaniem do Boga!

Krąg wrogów jak pierścień żelazny ścisnął się koło nich, nad tym pierścieniem druga obręcz z dymu i błyskawic zaokrągla się w powietrzu — wtedy każden z umierających rzekł do zemdlałej niewiasty, którą trzymał w objęciu «obudź się i powiedz, czy chcesz żyć dłużej odemnie!»

A owym aniołom bladym roztworzyły się oczy i każda odrzekła z westchnieniem: «Ziemia wasza, ziemią naszą. I grób wasz, grobem naszym. Tam razem z wami mieszkać będziemy.» I uśmiech miłości nieskończonej zakwitł na tych wszystkich ustach. I każden z umierających jak stał z podniesionym mieczem, tak utopił go w piersiach tej, którą kochał — potem złożył jej ciało na murawie i pobiegł naprzód, ku wrogom. — Znów się straszna walka rozpoczęła na ziemi!

I zdało mi się, że z tych postaci białych, leżących na zielonej murawie, powychodziły dusze lekkie i srebrzyste, w wielkim smutku, i jak wieniec lilii nadpowietrznych zawisły

tam w przestrzeni i płakały nad tymi, którzy walcząc ginęli — i nad tymi którzy jeszcze dotąd zginąć nie zdołali, nad ostatkami wielkiego narodu!

Głos słowiczy jęknął z dzwonnicy «Cezara, Cezara! patrz, patrz, bo to ich ostatnia godzina!» Katedra zadrżała od akordu co wzbił się z jej lochów. Ten akord jak piorum co bije z głębin ziemi ku niebu, rzucił się i rozległ się wszędzie, i znów zebrawszy się razem, pieśnią żałobną wyżej podniósł się, i wyżej jeszcze, i słyszałem go wciąż nad sobą jakby doszedłszy kończyn świata, jeszcze brzmiał tym samym dźwiękiem rozpaczy, tam gdzie gwiazdy świecą i gdzie ten krwawy księżyc błyszczał.

A gdym oczy obrócił ku ziemi, ujrzałem tłumy narodów przechadzające się jako dawniej; na miejscu gdzie owa garstka poległa, już trupów ni krwi ni broni nie było — murawa zieleniała — usłyszałem jakoby śpiew ptasząt w krzewinie — jakoby szmer ruczajów w oddali — uczułem jakoby woń spokojnych kwiatów lecącą ztamtąd i zdjął mnie strach że tak cicho na tak wielkiej mogile!

A głos anielski mój, zawołał na mnie: «Cezara, Cezara, patrz co zostało się po nich.» Ja w stronę głosu spojrzałem — a księżyc był znów mały i śniady — gwiazdy drobne i migające, okolica ta sama co na początku, wieńcem wzgórzów otoczona, białych wiosek zasiana milczeniem.

Głos woła ciągle «Cezara, Cezara» ale zdało mi się że wyszedł z dzwonnicy i ciągnie mnie nazad ku wschodom wieży. I szedłem za nim coraz niżej zstępując, szedłem wśród dużej ciemności, w tęsknocie ducha mojego i nie wiedziałem kędy idę, czułem tylko po wzrastającym smutku że chyba do grobu.

I obrócił głos wzdychając, ku przejściu pełnemu blasków odbitego światła. — Szum dziwny słychać jakoby szelest wielu liści suchych, wijących się pospołu w lekkim wietrze — jakoby mowę wielu głosów przyciszanych bolem — jakoby skargę przebudzonych w trumnie i zasypiających znowu.

A głos rzekł: «Cezara! teraz módl się za nich» — i ujrzałem przed sobą wnętrze katedry bardzo długiej, nad którą stałem jak gdybym stał na podniosłości chóru, i z chóru zaglądał

w tę głąb pełną kaplic, ołtarzy, filarów, ławek czarnych i lamp płonących przed obrazami, przed posągami, tu i owdzie nad pomnikiem rycerza, tu i owdzie nad chrzcielnicą, nad amboną, wszędzie u stóp i na szczytach słupów gotyckich i na arkadach i wzdłuż ostrołuków — ale ich promienie przyćmione były i zwiędłe, jakoby od łez wiszących w powietrzu — od mgły ledwo widzialnej, co się przesuwała w przestrzeni!

I ujrzałem pośrodku katedry wielki otwór rozwarty, jakoby wstęp do podziemnych grobów czekających na kogoś i ogromny kamień leżał przy tym czarnym otworze, kamień ogromny, biały jak alabaster i długą taśmą krwi obrąbiony, krzyżem krwi pośrodku znaczony a pod krzyżem było to słowo, także krwią napisane: naród.

I pusto było w tym wielkim kościele. W tem zdało mi się, że słyszę jakoby przeczucie muzyki tajemniczej w sercu, i z serca mego na jaw powschodziły słabiuchne dźwięki i już teraz chwytam, słucham nuty, do kropel kapiącej rosy podobne — i z nich powiązała się plecionka szmerów melodyjnych — i ta wielka katedra rozpłakała się dźwiękami.

Każden jej ołtarz, każden filar, każden głaz jej posadzki zadrgnął jak struna — każden jej posąg jęknął, ale pieśnią; i ta pieśń rosła spokojnie, poważnie, jakoby śpiew duchów niewidomych, cierpiących serdecznie i serdecznie modlących się o ulgę, o sen zapomnienia, o miłości i litości trochę — do wielkiego Boga!

W tem grzmot z organów uderzył — raz tylko — i rozwarły się bramy katedry — i głos mój rzekł do mnie «Cezara, Cezara, patrz, bo to oni wchodzą.»

I szli polegli, szli umarli, szli jeden za drugim, sztandar swój niosąc jak za dni życia, trzymając w objęciach pozabijane anioły swoje — trzymając w ręku pęknięte oręże; szli jak mgły chodzą, bez szelestu, szli ze spuszczonem czołem, pełnem wspomnień bolu. — Dzieciątek ich tylko nie było z nimi — ale jak tylko przestąpili próg katedry i zaczęli stąpać w stronę wielkiego ołtarza, tam, kędy zdało mi się że widzę biały posąg Chrystusa, tam kędy zdało mi się że marmurowych aniołków grono wychyla się ze sklepień, ot! muzyka stała się miękką i tkliwą jak szczęścia wspomnienie — ot! jakieś wieńce

nagle błysnęły w powietrzu i róż białych tysiące spadły na posadzkę — ot! tych aniołków grono motylich skrzydeł opasało się tęczą i każden rączki wyciągnął, oderwał się od sklepienia, zawisł w powietrzu, i ważąc się w powietrzu, jasnemi oczętami zdał się szukać i poznawać, a poznawszy leciał ku nim, ku nadchodzącym, i skrzydełkami wieńczył głowy ojców poległych i matek uśpionych snem śmierci!

A męże podnieśli czoła i uśmiechnęli się, poznając przemienione dzieci — a matki rozemknąwszy oczy krzyknęły z radością i z objęć mężów zstąpiły na ziemię i podnosząc dłonie ku tym aniołkom, nazywały je po imieniu, wołały każda swojego i wspinając się na palcach stóp, ustami goniły te nadpowietrzne twarzyczki, przesuwające się jak kwiaty i gwiazdy nad niemi.

Aż drugi raz zagrzmiały organy — wtedy w pustych ławkach usiedli męże i odetchnęli jakby po męce życia całego — przed niemi koło stopni wielkiego ołtarza usiadły niewiasty i wnet zdały się na nowo bardzo blade i niewzruszone i głęboko śpiące. — Męże broń poskładawszy na ziemię, zdjęli z głowy korony cierniowe i podnieśli je w stronę posągu Chrystusa; ale nic wyrzec, ale o nic prosić nie mogli, bo ich piersi przebite były i usta oniemiałe z bolu i znużenia.

A lampy ciemniały coraz bardziej — mgły zstępujące z sklepień wiły się nakształt całunów — gromnice gasły jedna za drugą — tony owe miękkie i tkliwe cichły pod jękami organów. — A im ciemniej i huczniej się stawało, tem posąg Chrystusa ów biały, wysoki, daleki, bielał i rósł przedemną — aż cały kościół zanurzył się w mrok szary — aż przestrzeń cała przemieniła się w grzmot nieustanny, podobny do huku trąb archanielskich. — I postać owa wysoka, daleka, nad wielkim ołtarzem, jasną, bliską, żywą, zstępującą się wydała. — Ona jak słońce — oni wszyscy czarni i cały kościół czarny i drżący jak drzewo w wietrze jesiennym. — A postać zstąpiła i stanęła nad samemi niewiasty i pojrzała ku mężom siedzącym — a wzrok jej, była to jasność biała jak djamentu!

Niewiasty się podniosły i zasłaniając oczy rękoma, westchnęły — O Panie, oddaj nam dzieci nasze. — I męże padłszy na ziemię, zawołali — O Panie, oddaj nam Ojczyznę naszą. —

A postać zstąpiła jeszcze niżej i oni wszyscy powstawszy szli za nią, a ona wiodła ich ku roztwartym grobom, nie tykając ziemi stopami ale płynąc i unosząc się.

I pierwsza w grób wstąpiła jak słońce co zachodzi, w grób ten czarny, mówiąc — Odpocznijcie — kamień nad wami jak nademną zasunięty będzie. — Alboż ja nie przy was? Czemu się wahacie? — I oni wszysci zeszli i zniknęli, wszyscy aż do ostatniego idąc za postacią Chrystusa. — I widziałem jak się podniósł ten głaz ogromny z napisem naród i zapadł nad niemi. — I ostatni grzmot uderzył — i zgasła ostatnia gromnica.

A wśród ciemności usłyszałem jakoby chór duchów śpiewający ostatnie pożegnanie im:

— Złóżcie dłonie na zimnej pościeli — złóżcie czoła na trumny wezgłowiach — niech ostygną rany wasze — niech odpoczną serca. — Zapomnijcie! aż przyjdzie na was i na ziemię waszą powtórnej wiosny godzina! —

— Ten sen będzie siłą wam; bo Pan czuwa nad waszemi trumny i czeka aż chwile przeznaczone miną, a teraz pokój wam — teraz zaśnijcie głęboko. —

I stało się wielkie milczenie — a głos który mnie strzegł, powtórzył zcicha te same słowa co pierwej: «Cezara, Cezara, patrz, co zostało się po nich.» — A ja nic nie widząc zapytałem — co? — A głos rzekł znowu: Patrz — oto ślad jeszcze po nich na ziemi.»

I naglem ujrzał jakoby modrych wyziewów gromadę, a w samym środku ich jakoby obraz malowany powiewami wiatru — ujrzałem twarz niewieścią i całą postać niewieścią na pozór przemijającą — a doskonale piękną z smutku wiecznego wyrazem na czole! — Jej szaty lekkie jak myśli, na wzór myśli tęsknych na około niej płynęły, takie białe! — Jej wzrok wbity był w próżnią przestrzeni. — I dumny był ten wzrok, choć łzawy — i harde to czoło choć, obarczone cierpieniem — i uroczysta ta postać, choć do snu nikłego podobna.

A głos zawołał na mnie: «Strzeż jej, Cezara, bo ona siostrą tych, którzy walcząc polegli.» Ona jedna ocalała, by piękność rodu tego nie zaginęła całkiem na ziemi. —

A gdym drugi raz spojrzał, uczułem że kocham ją — i

zdało mi się że idę za nią, w świat mi nieznajomy, gdzieś pośród mgieł jesiennych, gdzieś w puszcze stroskane, kędy słychać potoków przesłonionych szumy, kędy liści zżółkłych kręcą się tumany i orzeł jakiś krwią zbroczony, mgłę przecinając, prowadzi panię swoją.

A ona stąpa, zawsze równie blada i lekka i piękna: zawsze równie samotna i smętna i dumna — zawsze do snu podobna, a jednak widna ciągle — ciągle błądząca, ciągle w milczeniu — a ja strzegę jej wiecznie. — I gdzie ona pójdzie tam i ja pójdę — i gdzie ona spocznie tam i ja usiędę — i gdzie ona zniknie tam i ja zniknę z nią razem!

I zdało mi się, że dni i nocy mijają jak fale białe i jak fale czarne jednego potoku — czasem widzę widmo słońca za chmurami, czasem księżyc przesuwający się na szczytach gór — niekiedy po za mgłą słyszę miast dalekich gwary — i w górze pieśń przelatujących duchów — i gdzieś w dole, pod stopami, zdało mi się, że słyszę płacz kopiących w kopalniach — i niżej jeszcze, śmiech podziemny szatana!

Lecz nie słucham, lecz nie patrzę. — Ja tylko idę za nią. — Zmierzch nas wiecznie otacza — smutek nas wieczny pojednał — nadzieja ta sama nas wiedzie. Ona czasem odwróci oczy od przestrzeni w którą patrzy, od przyszłości, w którą zagląda i spojrzy na mnie — ona czasem rozemknie usta i zawoła: «Cezara» czasem z mgły śnieżną dłoń wychyli, a ja dłoń tę chwytam i opieram na sercu aż odpocznie anioł mój. — I tak idziem w nieskończoność. — Jeśli żyć mamy, ożyjem. — Jeśli zaginąć, zginiemy. — Gdzieś słońce to samo świeci, gdzieś grób ten sam czeka na nas — a idziem niepewni, czy w stronę słońca, czy w stronę mogiły. Tylko Bóg nam dał, że idziemy razem!

I nie zliczę czasu i nie powiem jak, lecz zdało mi się, że już część życia mego ubiegła, a sen mój trwał, w dalsze mnie coraz uwodząc pustynie — a miłość moja coraz większą była i smutek jej coraz większy także!

I nie pomnę gdzie, i nie pomnę kiedy, wydało mi się żem ujrzał cypel skały, po nad mgłę wytknięty. — I duch tam siedział podobny całkiem do czerstwego, starego człowieka,

tylko że mu z ramion wisiały bezpiórne skrzydła jak u nocnych ptaków.

A siedząc na urwisku, trzymał harfę o jednej strunie i zaśpiewał:

— Wstrzymaj się niedoświadczony — tu granica między krajem życia a padołem śmierci. — Jeśli ją przekroczysz, dusza twoja osłabnie na wieki. —

A jęk żelazny z owej struny się rozległ i strach mnie ogarnął.

— Opuść tę która nie ożyje nigdy — piękność jej tylko przeszłości wspomnieniem — nie wierz, gdy spojrzy na ciebie lub rękę ci poda — bo iskry miłości nie ma w tej źrenicy — bo siłę uścisków los wybrał z tej dłoni. —

I znów uderzył w jednostrunną harfę!

A postać stanęła i obróciła twarz ku mnie. Wszystkie sny niedopełnione, wszystkie zabite nadzieje jej rodu, całe życie ich, cała duma ich i zgon ich i sen ich teraz w grobie, razem, w jednej chwili, odbiły się na niej!

A duch znów zaśpiewał:

— Wracaj i żyj pośród ludzi żywych. — A ja tu z nią zostanę i śpiewać jej będę śpiew mój bez nadziei na tej strunie ostatniej — bo inne przebrzmiawszy, pękły — wszystkie razem niegdyś zwały się wiarą, odwagą, kochaniem. — Ta jedyna dzisiaj zowie się nicością. —

I zdało mi się że powstał i harfą rozcina mgłę na prawo i w lewo — i odsłoniły się za skałą wielkie smętarze, stosy kości i stosy pruchien, koni szkielety i psów szkielety i sępów szkielety, na ostatkach zwłok ludzkich ubranych w płaszcze, w ornaty, w korony, wśród pancerzy i mieczów i siodeł — i rozwalone kaplice i ruiny bez końca na brzegach zamarzłego morza — i kłęby śniegu chodzące jak olbrzymy po szybach lodu — i chmury niewzruszone jakby drugi taki sam ocean ścięty wrozem na niebie!

A duch wskazał w tę wielką przeszłość i rozśmiawszy się wskazał znów ku drugiej stronie skały — a tam rozwiodła się zieloność i błękit zaświecił — tam na tysiącach wież tysiące sztandarów, każden w barwach wiosny, tam białe kłęby pary i słupy żywe dymu.

Ale wnet oczym odciągnął i znów je wlepiłem w twarz postaci.

I zdało mi się że zebrawszy ostatek sił, ona postąpiła naprzód, jakby dojść jeszcze chciała do tego brzegu ruin — by przynajmniej wśród umarłych ludu swego, rozemdleć się i zniknąć!

Duch szczytu skały, duch złego, duch co mnie kusił, rzekł do mnie: «wybieraj.»

W tej samej chwili głos jej zawołał: «Cezara.»

A jam poszedł za nią, za tą, ktora nie powróci nigdy, na śmierci smętarze.

Śnieg krąży nad nami jak grób nadpowietrzny. — Orzeł co leciał przed nią, padł na umarłe sępy i skonał. — Ledwo już dostrzedz mogę płynących jej włosów — daremno szukam raz ostatni jej dłoni wśród cieniów. — Ta którąm ukochał, wśród zawiei znika!

I sen mój się nie przerwał — uczułem wszystkie męki rozdziału, wszystkie próżnie nicości. — Zdało mi się że ich postać Chrystusa oszukała zstępując z niemi do grobu; bo oni już się nie przebudzą! — i że ta którą strzegłem, oszukała mnie także; bo zostawiła mnie wśród umarłych na wieki! I usiadłszy na brzegach morza tego, prosiłem się duszy mojej by wyszła ze mnie.

A głowę trzymałem w ręku, a przez palców szpary widziałem na lodach cień owego ducha z harfą, przechadzający się w oddali. — I przechadzając się urągał mi.

Potem usiadłszy na wzgórzu śnieżnem, naprzeciwko mnie, zaśpiewał:

— A co teraz? —

I z pod stóp jego, zerwało się stado kruków i każden z nich ciągnąc mi nad głową, powtórzył krakając: — A co teraz? —

I zdało mi się że ze stosów kości i z głębi ziemi zamarzłej wydobyło się to samo słowo — A co teraz. —

Duch wtedy bez żadnego brzęku zerwał ostatnią strunę i rzucił ją pod lody, mówiąc: — Wieczność się zaczęła. —

I zdało mi się że duszę własną przeklinam, konając.

W tem głos dawny, głos anielski, co mi śpiewał na tej

wieży, odezwał się gdzieś — czy w głębiach serca mego, czy za temi chmurami!

A jam się zerwał i wołał: — Ratuj mnie, bo konam; a konam, boś ty zawiódł mnie. —

Lecz słowik mój, lecz aniół mój, na to: «Cezara, Cezara, czemu żałujesz żeś życie poświęcił dla umarłej? Alboż nie wiesz że jest zmartwychstanie? — A jakżeż zmarwychstaną serca umarłe, jeśli ich nie ukochają żywe i krwi im swojej nie udzielą połowy? Ta co zabrała życie twoje odda je tobie, bo śmierć jej tylko była złudzeniem! Patrz!»

Jak nowonarodzoną gwiazdę ujrzałem postać wschodzącą z kończyn widnokręgu. — Uczułem że będę nieśmiertelny bom nieśmiertelną ukochał — i koło mnie z prochu dźwigali się mężowie i widmo Chrystusa bielało nad nimi w powietrzu. — Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię wśród zmartwychwstających.

LEGENDA.

18. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam Tobie: Gdyś był młodszym opasowałeś się i chodziłeś kędyś chciał; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce Twoje, a inny cię opasze i poprowadzi gdziebyś nie chciał.

. . . .

20. A Piotr obróciwszy się ujrzał owego ucznia, którego miłował Jezus pozad idącego, który się też był położył przy wieczerzy na piersiach Jego i rzekł był: Panie któryż jest ten co Cię wyda?

21. Tego ujrzawszy Piotr rzekł Jezusowi: Panie, a ten co?

22. Rzekł mu Jezus: Jeślibym chciał żeby on został aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdź za mną.

Ewangelja według S. Jana. Roz. XXI.

Zdało mi się, że w samą wigilią Bożego Narodzenia wychodzę z bram Rzymu, i że idę przez kampanję. — Pogańskie tam grzały się groby w promieniach słońca — ranek był — niebo czyste jak zawsze i pustynia smutna jak od wieków.

Szedłem dzień cały, niesion ducha potęgą. — Stare wodociągi póki mogły szły za mną, lecz jam poszedł dalej. — Bluszcze jak zielone żłoby Chrystusa szumiały po świątyń ruinach. — Leciały nademną białych ptaków stada — przedemną w dole pełzał gad błyszczący. — Huk morza zaczął wołać na mnie!

A kiedym stanął na ostatniem wzgórzu ziemi — kiedym ujrzał wody, słońce już zachodziło! — a daleko na wodach stała plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku mnie — wreszcie ogromna gdy słońce zgasło, a zmierzch padać zaczął.

Wielki to i posępny okręt, płócien i masztów — a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodka jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.

Coraz to ciemniej — on jak widmo czarne toczy się w przestrzeni, grzmiąc — dwa ogniki nocne spadły przed nim w morze — głos wtedy z pokładu się odezwał: — Czy dziś ostatnia wigilja Bożego Narodzenia? —

Ja w duchu przerażony odparłem ze wzgórza: — Zaprawdę dziś wigilja jest — i wnet stanął okręt przy samych brzegach, blada para rozwiodła się nad nim, żużle i iskry sypnęły się z jego boków, w świetle czerwonem zajaśniał pokład na znikomą chwilę.

Stały tam postacie w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących — usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów —

zdało mi się że pada ciężki most, długi most od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach wiją się te postacie i dążą ku mnie.

A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: — Kędy droga do Rzymu? —

Jam odparł: nie ma tu drogi — tu pustynia. — A oni odrzekli: — prowadź nas zatem. — A kiedym się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: — Myśmy ostatki szlachty polskiej. — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku, i welon żałoby na czole — lecz mieni że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał. — Długośmy płynęli — wielkie tam były wichry i słoty na morzu — lecz dopełni się wola Pańska, jeśli dziś o północy staniem w Bazylice Piotra. —

A ja im na to: — Idźcie za mną nieszczęśliwi ludzie. — I nazad ku miastu od brzegów morza stąpać zacząłem, drżąc i modląc się jakbym przechodził przez smętarz, a z tyłu za mną wstawali umarli.

Wiatr się zerwał, a żadnej chmury nie widać — gwiazdy wszędzie lśnią na ciemnem, na głębokiem niebie — w dole taka czarna równina! szare tylko czasem mijamy mogiły — czasem bladych gruzów zaspę — czasem wodociągów bramy z daleka słychać wielkich trzcin szelesty — w górze niekiedy krzyk nocnego ptaka — i bliżej gdzieś wśród rozwalonych grobów, tam, szmery podziemne!

Oni idą za mną z tyłu — czuję na moich barkach ich piersi oddechy — a chyżo stąpam bo oni się śpieszą — słyszę jak ich płaszczów fałdy wiją się z wiatrami!

I zdało mi się że widzę ognik błądzący w oddali — wnet drugi i trzeci — a gdym jeszcze postąpił, ujrzałem wielką mnogość świateł na równinie — przesuwały się one, dążąc z stron różnych, a ku jednej stronie — i oto zaczął gwar głosów wielu szumieć w pustyni.

A gdym podszedł bliżej, obaczyłem jakoby mnóstwo pielgrzymów idących przez kampanję, z pochodniami w ręku. — Łuna koło nich rozpostarta, szła razem z nimi, wśród dwóch wielkich ścian ciemności, a w niej wysokie krzyże i obrazy świętych i różnych narodów sztandary w powietrzu.

W sam środek tych tłumów wwiodłem hufiec mój — wtedym ujrzał zasępione lica ich — tych, którzy szli za mną i jakieś natchnienie w ich oczach, ale nie życia natchnienie — i szable na których się opierali jak tamte pielgrzymy na kosturach swoich.

A ledwom wszedł z niemi pod światło pochodni, zdało mi się, jakoby stanęły tłumy pytając ich: — Co wy za jedni, i zkąd idziecie? —

Oni się zatrzymali, i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: — Azaż nikt nas nie poznał na świecie? —

Cichy szmer, szmer rosnący rozległ się na około, zdało mi się, że wszystkie hufce pielgrzymów zawołały razem: — Znamy was — wyście ostatnie bohatery ziemi. —

Wtedy oni ciągnęli dalej: — Widzieliśmy anioła z czarną zasłoną na czole — on nam kazał spieszyć do Rzymu — a wy, mówcie, czyście słyszeli głos jaki?

Wzbił się wielki jęk tłumu odpowiadający im: — Amen. — Ten sam anioł kazał nam domy porzucić — głos jego rósł nocą, nad nami w powietrzu, i nie dawał nam zasnąć. — Dni onych, mówił, Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już, ani umierać nie będzie na ziemi.

I umilkło mnóstwo, i stało jakby własnemi przerażone słowy.

Pierwsi Polacy, ruszyli z miejsca, białe na ramiona zarzuciwszy płaszcze. — Z wszystkich stron kampanji coraz więcej tłoczy się pielgrzymów — już widne mury miasta — już słychać dźwięk dzwonów — a im bliżej tem jaśniej, bo na bramach, na wieżach palą się wieńce świateł — i tem huczniej, bo tu i tam i jeszcze dalej jeden po drugim budzi się i brzmi, każden kościół Rzymu.

Zdało mi się, że noc w dzień biały zmieniona — ulic, którem z rana opuścił, nie poznaję wcale. Tam gdzie gruzy tylko, tam gdzie puszczyk siada tylko, kołyszą się teraz snopy kwiatów i lamp płonące — i rzymski lud ciśnie się tłokiem, wołając: — Weselmy się, weselmy, bo Chrystus dzisiaj narodzi się nam. —

A gdy ujrzeli szlachtę polską wstępującą w bramy, i piel-

grzymów potok płynący za nią, krzycząc, skakali z radości — pytają się tylko: — Czemuście tak ponurzy goście? Jeśli was długa droga znużyła, odwilżcie usta sokiem pomarańcz. — Zrzućcie białe czapki i ciemne kapelusze — oto są myrtu gałązki — oto kamelje — skroniom je waszym rzucamy na wieńce.

Ale w milczeniu i brew zmarszczywszy idą pośród nich Polacy, a idąc mówią do mnie: — Gdzie Bazylika Piotra? nam spieszno — nam tęskno — wszak już bliska północy godzina? —

A ja ich prowadzę przez Forum. — Zdało mi się że Amfiteatr Flaviana, ten ciemny, ten stary, jak ogrom światła stoi teraz, od stóp po olbrzymie szczyty kagańcami rozwieszon — każden listek bluszczu znać na nim — w jaskrawych szatach niewiasty i dzieci przechadzają się po piętrach gmachu i klaszcząc w dłonie, witają nas przechodzących.

I wszystkie łuki na Forum i wszystkie kolumny palą się, jaśnieją — i na wzgórzu ścianą z złotych ogni, wznosi się Kapitol — od wielkiej łuny gwiazdy pomdlały na niebie.

Lud ciągle krzyczy: — Hosanna, Hosanna! — A pielgrzymy śpiewają psalmy pokutne. — Lud ciągle bieży i zawraca, brzdąka na gitarach, roztrząsa iskry w powietrzu — a samym środkiem morza tego, my idziem czarno — powoli — w ducha żałobie.

Z wszystkich ganków, z wszystkich dachów, ulic, spadły na nas fijołki i róże.

Już dzwon Kapitolu brzmi daleko z tyłu — a przed nami dzwon świętego Piotra odezwał się w przestrzeniach — on jeden, sam bije teraz — głośniej po nad wszystkie inne!

W stronę wołania tego spieszym się — most na Tybrze przechodzim — domy na krzegach, jak ciche pożary — rzeka jak wstęga z płomieni. — Zamek Anioła najeżon działami — co chwila jedno działo, to błyśnie, to zagrzmi.

Zawracamy teraz — już wchodzim na dziedziniec Piotra — kopuła w lamp szkarłatnych tysiące ubrana — krzyż na jej szczycie jak djament — z obu stron kolumny dziedzińca wydały mi się kręcone z ognia. — Fontanny pośrodku jak tęcz płynących dwoje — i lud wielki obaczyłem czekający tam — i bramy kościoła rozwarte — i wnętrze kościoła jakoby nieskończoność płonącej jasności!

Póki mogli, szli Polacy i pielgrzymi, lecz na wschodach, u stóp portyku, mnóstwo zewsząd zamknęło im drogę. — Stanąwszy, o przejście wołają — lecz coraz bardziej, i z tyłu i z boków, zgraje ciążą na nich.

I powstały głosy Rzymian: — Alboż my nie pierwsi — alboż ten kościół nie nasz od wieków i na wieki? — A wśród pielgrzymów inne słychać głosy: — Dotąd szlachta polska torowała nam drogę — czyż i ona teraz przed nami, wejdzie do świątyni? —

I ujrzałem jako Polacy wznieśli pałasze na znak, że się bronić będą — szczerym ogniem zaświatniały ich klingi w jaśni powietrza!

Lecz w tej samej chwili, na krużganku Bazyliki, wysoko po nad ludem, ukazała się postać w purpurze, która rzekła, a głos jej donośnym był bardzo: — Puszczajcie tych, którzy dla wiary katolickiej niegdyś naród cudzy od śmierci zbawili, a później za tęż wiarę poginęli sami. — Umarłych puśćcie naprzód. — I wzniósł rękę kardynał w prawo i na lewo, jakby tłumy rozdzielał — w dole rozdzieliły się tłumy — a on zobaczył i cofnął się nazad do gmachu.

A jam poszedł zaraz z Polakami prosto przed wschody, prosto przez portyk, w sam kościół, i przez kościół cały, aż przed lampy co się palą na grobie Piotra. — Tu stanęli, i zdjąwszy karmazynowe czapki, i białe płaszcze rozklamrowali na piersiach — przyklękli i modlili się, nagą broń trzymając w ręku.

Pogoda śnieżna marmurów jaśnieje w pustyni kościele — dymy kadzideł srebrno, przejrzysto, wstępują pod kopuły sklepienia wiszące nad nami — na mozaikach posadzki rozrzucone kwiecia i palmy. — Ze wszystkich kaplic odzywają się chóry miękkich głosów radujących się — tam, w dali, koło drzwi, zaczyna się przestrzeń napełniać. — Pielgrzymi idą przez ten świat śpiewu i światła, jako szli przez miasto całe czarni i niepocieszeni. — Potok też ludu rzymskiego wbucha do Bazyliki, hucząc.

A gdy każden orszak zajął miejsce pod sztandarem swoim,

przy ołtarzu swoim, przestrzeń ta wielka, cała, znów umilkła jakby pustą była — śpiew ustał po kaplicach — a od strony Watykanu odezwą się trąby na znak, że papież zbliża się do nas.

Przechodzą środkiem kościoła wszyscy zakonnicy Rzymu, starce po starcach, i inni starce i znów starce jeszcze, w białych habitach, w szarych włosiennicach, z krucifixem w ręku — przechodzą biskupi w infułach, srebrne pastorały wlokąc za sobą — idą kardynały w rażącej czerwieni — koło nich księża w dalmatykach i tłum śnieżnych dzieci niosących wino, kadzidło i wieńce.

A gdy przelał się ten potok w stronę wielkiego ołtarza — tam gdzie rozstąpiły się tłumy, tam na pustej ulicy między dwoma ścianami z żywych ludzi — które teraz uklękły nagle — szedł bardzo powoli siwy starzec w potrójnej koronie, z białą komżą na złocistych szatach.

Daleko za nim zostali się żołnierze i służba i tron niesiony przez kapłanów — on sam jeden stał w środku ludu i kościoła — sam jeden stąpał ku wielkiemu ołtarzowi i zdało mi się że każden krok jego trwa chwil wiele i że nigdy nie dojdzie do nas.

A gdy tak szedł wśród bijących czołem — niekiedy oczy przymykał jakby ulgi oczom szukał od świateł tylu — czasem nad ludem kreślił, nie dokreślał drżące znaki błogosławieństwa w powietrzu — aż stanąwszy westchnął i wzniósł ręce ku niebu — lecz nie mógł ich utrzymać — opadły!

Na to westchnienie ludzie głowy podniosą. Od smutku ojca wszystkich pobledli wszyscy — wtedy zdało mi się że od wielkiego ołtarza zawrócił jeden z kardynałów, ten sam który wpuścić nas kazał i wzniosłym chodem poszedł ku starcowi starców i podał mu rękę, oczyma jak błyskawicą wskazując mu grób Piotra. — Starzec znów postąpił kroków kilka i wzdrygnął się — kardynał długich włosów pierścienie wstrząsł ruchem głowy na bok i znak dał tym co zostali z tyłu — oni pośpieszą, tron złoty niosąc.

Wtedy ojciec który jest na ziemi, uchwycił bladą ręką za poręcze tronu i siadł na nim — a wzniesiono go zaraz w górę i trąby znowu grzmią w kościele — kardynał idzie przy tronie. — Lud zrywa się z ziemi — dzwon uderzać zaczyna

— dwanaście razy zdało mi się że zadrżały sklepienia — koło wielkiego ołtarza chmura kadzideł się wznosi — w niej papież na wschody wstępuje — a kardynał rzekł: — Chrystus się narodził. —

Zaraz z tłumu pielgrzymów wzbił się jęk żałosny — wszak nie sprawdzą się słowa anioła, że po raz ostatni? —

A lud rzymski krzyknął wściekle: — kto śmie bluźnić w kościele Piotra? —

Jeden z szlachty polskiej wystąpił, wołając: — oni nie bluźnią, a my się nie lękamy was — oni prawdę mówią — ja sam i bracia moi widzieliśmy smutnego anioła. —

A kardynał znów jak książę potęgi ręką skinął i rzekł: — pokój ludziom dobrej woli, niech się modlą bo msza się zaczęła — a czas krótki — a modlitw dziś potrzeba na ziemi i niebie.

I my wszyscy zaczęli się modlić w wielkiem oczekiwaniu.

A ojciec nasz święty siedział przed nami na tronie.

Z kaplic znów wzniosły się głosy gdyby chmury anielskie, pełne niebieskiej roskoszy. Część nocy upłynęła — przyszli bieli kapłani i podali ręce ojcu naszemu — on z tronu zstąpił i poszedł ku ołtarzowi i wziął kielich w ręce, bo pora świętej ofiary nadchodzi — kardynał nalewa doń wina.

A w samą chwilę podniesienia, gdy wszyscy przypadli do marmurów, usłyszano jakoby głos w powietrzu który wymówił — jestem — a gdyśmy drżąc podnieśli głowy, ujrzeli wszyscy wielką postać opartą czołem na środkowej bramie, znikającą zwolna, coraz bardziej mglaną, a ręce jej były krwawe i nogi krwawe, lecz sama cała śnieżna — i jak śnieg topniejąc, zniknęła.

Wtedy kardynał, gdy papież trzymając jeszcze kielich w ręku wzdrygał się, sam rzekł: — Ite missa est — a potem zawołał głosem ogromnym: — Czasy dopełniły się — i rozdarłszy purpurę na piersiach, rękę wyciągnał w stronę grobu Piotra mówiąc: — Obudź się i mów. —

Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty i wieniec płomieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom — i stojąc po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło — biada. —

A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim, że sklepienia kopuły pierwszy raz się porysowały.

A kardynał rzekł — Piotrze, czy poznajesz mnie? —

A ciało odpowiedziało: — Głowa twoja ostatniej wieczerzy spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi. —

A kardynał odparł: — A teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako pan głowę moją ostatniego wieczora. —

A ciało odparło: — Czyń jako ci kazano jest. —

Wtedy kardynał skinął znowu jak książę potęgi — a ciało powtórzyło: — Biada mi — i zapadło z strasznym łoskotem, jakby w otchłań, nazad w grób swój — i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia.

Nam wszystkim tak straszno się stało. — Jedna szlachta polska patrzy śmiałem okiem, oparta na szablach.

A papież w potrójnej koronie przykląkł na stopniach ołtarza i jak posąg niewzruszony klęczy.

Kardynał rzekł: — Wychodźcie wszyscy, i wy i wy i wy i wy jeszcze, by żaden z was nie zginął pod gruzami tych murów. —

A ludy odrzekły zewsząd: — prowadź nas ty, któremuśmy się dzisiaj dostali w opiekę. —

I wzniósł się krzyk trwogi, bo coraz huczniej pękały sklepienia, bo wszędzie drżały kolumny i słupy, a lampy tłukły się w wietrze wielkim i gasły.

Wtedy kardynał: — Ojcze mój czy tu się zostać chcesz? —

A starzec rękę podnosząc i przytrzymując koronę, odparł głosem zbolałym: — Ja tu umrzeć chcę — zostaw mnie synu. —

I lud wszystek usłyszał tę odpowiedź i krzyknął: — uciekajmy. —

I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.

I każden hufiec ruszył się z pod ołtarza swego, z swoim sztandarem i jął uciekać.

Kardynał wtedy przyklęknąwszy raz ostatni, złożył usta na czole starca i znak błogosławieństwa zostawił koło jego korony, gdyby wianek silnego światła w powietrzu, potem zstąpił i z przedziwną jasnością koło skroni, szedł ku bramie

kościoła. — Cały kościół giął się w podrzutach jako ciało umierające ale on wzniesioną dłonią zatrzymał rozdarte sklepienia nad ludem i patrzał aż wyjdzie ostatni z ludu.

A przechodząc rzekł do szlachty polskiej: — Ludzie idźcie za mną. —

Nic nie odpowiedzieli.

On jeszcze głowę odwrócił i rzekł: — Idźcie za mną. —

Oni się nie ruszyli.

A gdy dochodził bramy pędząc lud przed sobą jako pasterz, raz ostatni jeszcze ręką skinął ku nim.

Lecz oni podnieśli tylko szablę w górę jakby na ich ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury, i zawołali razem: Nie puścim starca tego. — Samemu gorzko jest umierać — a kto z nim umrze jeśli nie my? — Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać. —

Kardynał zatrzymał się na samym progu i rzucił im z daleka znak błogosławieństwa, wianek sinego światła także — i łzę miał tej chwili w oku, mówiąc: — Chwila jeszcze a poginiecie. —

Lecz oni szli już wtedy ku wielkiemu ołtarzowi, podać ręce klęczącemu i umierającemu — szli w białych płaszczach i w połysku szabel — a owe cztery kręcone filary ołtarza pękły jak ścięte drzewa i runęły — i baladachin spiżowy runął — i kopuła cała jak zstępujący świat biało spadała na ziemię.

I wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny jak dwa białe gołębie przypadły do ziemi konając, a lud uciekał coraz dalej jak morze wyparte z brzegów —

I zdało mi się że już ranek jest — że słońce dotąd nie wschodzi — i że widzę tylko gwiazdę jutrzenki nad stosem gruzów tak wysokim, tak ogromnym, jako była niegdyś bazylika Piotra.

Wstępował na ten olbrzymi kopiec kardynał, a mnie się zdało żem poszedł za nim, niesion ducha potęgą.

A gdy on doszedł szczytu, zasiadł gdyby na tronie i spojrzał na świat — a nawet szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną — i księga była w ręku Jego — i schylił głowę ku jej kartkom i uważnie czytał.

A twarz Jego była jakby przepojona miłości wyrazem, a pełna pokoju.

Zbliżyłem się zatem do niego i rzekłem właśnie w chwili gdy wschodziło słońce: — Panie, czy prawda że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś nie ma? —

A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ócz z nad księgi, odrzekł mi: — Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi. —

A ja to słysząc zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: — Panie, a ci których przywiodłem wczoraj, czy na zawsze leżą pod tymi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca?—

A ów biały święty odrzekł mi: — Nie trwóż się o nich. Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący tak jak wschodzący, umarli jak żywi są z Pana — owszem, im lepiej będzie i synom synów twoich. — A gdym zrozumiał, ucieszyłem się i duch mój się przebudził.



Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.



